Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 40 (1436) ROK XXVIII 5 PAŹDZIERNIKA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ

- Wieniec z liści bobkowych
- Rozmowa z prof. Zygmuntem Gzellą
- Sport i pieniądze
- Anastasis

Szara i smutna Jesień '85

TERESA JERZYKOWSKA

Z niektórych cyfr pozornie wynika że było wspaniale, lepiej niż ubiegłej jesieni: 1300 wystawców czyli o 200 więcej niż rok temu (i to przy zachowaniu zasady dobrowolności uczestnictwa), po kilkuletniej przerwie powrócił do Poznania przemysł meblarski i maszynowy. Łączna wartość oferty wyniosła 323 mld zł, to jest o 54 proc. więcej niż w roku ubiegłym. A jednak, po obejrzeniu ekspozycji Krajowych Targów Poznańskich — Jesień'85 przypomniały mi się słowa piosenki śpiewanej przez Marylę Rodowicz *„no i co? no i pstro, a myślałby kto że co"*.

Bo tak naprawdę to i do oglądania było niewiele i o zaopatrzeniu rynku w I półroczu przyszłego roku nic pewnego powiedzieć nie można na podstawie tego, co działo się na targach.

Mimo nie najgorszej pogody nie bardzo tym razem dopisali zwiedzający. Bilety wstępu na teren targowy kupić można było bez kolejki, a ci którzy się na to zdecydowali przebiegali prędko przez hale wystawowe, gdzie nic prawie nie przyciągało uwagi na tyle, aby zatrzymać się dłużej i ustawiali się w kolejkach po kiełbasę z rusztu i frytki. Były to zresztą kolejki dość krótkie, co także świadczy o niezbyt dużym zainteresowaniu targami wśród mieszkańców Poznania.

Ci, którzy „z urzędu" oglądali ekspozycje przez kilka kolejnych lat, twierdzili często że wszystko to już widzieli. W niektórych przypadkach była to złośliwość — pokazano przecież wiele nowych wzorów we wszystkich ze 172 grup towarowych, przywiezionych do Poznania z całego kraju, w innych natomiast (np w przypadku garnków i naczyń emaliowanych) przygotowujący ekspozycję nie pofa-

6

Fotor Grzegorz Gałasiński

Tabor cygański na bazarze Wiśniewskiego

(1)

(Korespondencja z Grecji)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Od pewnego czasu odczuwam potrzebę zdefiniowania różnicy pomiędzy podróżowaniem a podróżnictwem. Podróżny to człowiek, który trafia do najodleglejszych zakątków świata w sposób wygodny, podróżnik natomiast piętrzy na swojej drodze przeszkody — gdzie mógłby pojechać samochodem jedzie rowerem, albo idzie pieszo, zbaczając przy tym najchętniej z utartych szlaków pogardzając hotelami w miastach na rzecz przeszytych wiatrem szałasów w uroczyskach nawiedzanych przez dzikie zwierzęta i wilkołaki. Podróżny nie wstydzi się wypchanego portfela i nie ma nic przeciwko temu, aby powiększyć jego zawartość, podróżnik zaś jest goły jak święty turecki — tu coś wyłudzi, tam wyżebrze, żywi się skromnie i tylko od przypadku do przypadku, przy czym podstawę jego pożywienia stanowią suchary, korzonki i źródlana woda.

Podróżny zgrywa się zwykle na wielkie panisko, podczas gdy podróżnik przybiera pozę męczennika dumnego ze swoich haniebnie podrapanych nóg i rąk, ze swoich skołtunionych włosów, potarganej brody i piejących na grzbiecie łachmanów.

W trakcie swojej ostatniej zagranicznej wyprawy, którą odbyłem w towarzystwie żony i siedmioletniego dziecka, czułem się na zmianę podróżnym i podróżnikiem, a potem całkiem niespodziewanie poczułem się włóczęgą.

1.

W piątek 23 sierpnia pojechałem z rodziną do Ambasady Polskiej w Atenach, gdzie zostaliśmy przyjęci przez pana ambasadora Józefa Tejchmę i jego małżonkę, panią redaktor Alicję Tejchmową. W tydzień później, kiedyśmy ruszyli w stronę granicy tureckiej, zaskoczyła nas znienacka noc i zboczywszy za Kawalą, miastem u brzegów Morza Egejskiego, w jakąś wąską wyboistą drogę, stanęliśmy raptem na wielce malowniczym placyku, który jak na późną porę i ustronne położenie był niebywale hałaśliwy i straszliwie zatłoczony. Początkowo nie mogliśmy zrozumieć, co to jest — camping? (widać było jakieś namioty), czy dworzec autobusowy? (tu i ówdzie obok wozów osobowych majaczyły strupieszałe cary, jakich używa się na zapadłej polskiej prowincji do przewozu chłopstwa). Niebawem jednak miało się okazać, że trafiliśmy na dzikie targowisko, gdzie można było to i owo sprzedać, to i owo kupić oraz to i owo ukraść.

Dominowała na tym targowisku ludność polska. Grecy pod względem liczebności byli dopiero na trzecim miejscu, na drugim zaś uplasowali się Cyganie, nie biorący niby bezpośre-

11

Żyć demokratycznie — to znaczy jak?

(1)

ALFRED LUTRZYKOWSKI

Wiele istotnych powodów skłania dziś Polaków do głębszych refleksji nad teoretycznymi i praktycznymi aspektami naszego życia zbiorowego, a zwłaszcza nad funkcjonowaniem instytucji i struktur organizujących je i kierujących nim. Nie sposób oczywiście pominąć tu zasady działania owych mechanizmów sterujących całokształtem życia społecznego i poszczególnych jego dziedzin. Nie można też rozpatrywać zjawisk i procesów społecznych w oderwaniu od różnorodnych ich uwarunkowań, a instytucji i struktur sterowniczych bez ideologicznego, doktrynalno-politycznego i programowego kontekstu.

Obecnie niemal wszyscy, bardziej i mniej poprzednio aktywni czy interesujący się polityką obywatele zaczęli bacznie przyglądać się władzy, oceniać metodologię jej sprawowania, efektywność itd.

Powstające na bazie tych obserwacji oraz zbiorowych i indywidualnych doświadczeń refleksje — co tu ukrywać — nieraz pełne goryczy, zawodu i zwątpienia są próbą odniesienia społecznej, politycznej i ekonomicznej rzeczywistości do modelu socjalizmu, jego ideologicznej wizji i doktrynalno-politycznej konkretyzacji. W zestawieniach tych poszukuje się odpowiedzi na niezliczoną liczbę pytań. Na tej drodze i w ten sposób jednostki i grupy społeczne (małe, średnie i wielkie) budują swój pogląd na stopień realności czy — jak chcą sceptycy — utopijności założeń teoretycznych formacji komunistycznej. Tak kształtują się istotne elementy jednostkowej i grupowej świadomości oraz oceny trafności doktryny politycznej mającej określać warunki i tendencje danej fazy rozwojowej społeczeństwa, a także wskazywać cele etapowe budowy socjalizmu. Wreszcie przez pryzmat tych refleksji oceniany jest konkretny, w danym momencie realizowany program obejmujący zestaw zadań, których wykonanie ma służyć urzeczywistnianiu założeń ustrojowych socjalizmu.

Można by rzec, iż dziś każdy nie pozbawiony refleksyjności i wrażliwości społecznej Polak zastanawia się i ocenia, w jakim stopniu „słowo jest czynu testamentem", jak to ujął C. K. Norwid? A więc, jak realizujemy założenia socjalizmu? Jak dalece jesteśmy zaawansowani w jego budowie? Czy jesteśmy ciągle na etapie okresu przejściowego, czy już z tej fazy wyszliśmy, budując rozwinięty socjalizm? W jakim stopniu i jak realizujemy założenia i zasady demokracji socjalistycznej?

Otóż, właśnie! Pojęcie demokracji jest dla wielu jakby magicznym zaklęciem, uniwersalną kategorią służącą do opisywania i oceny zasad i mechanizmów sterowania życiem zbiorowym. Nie zawsze jednak w tych rozważaniach, ocenach i dyskusjach we właściwy, poprawny sposób stosowane jest pojęcie demokracji. Nader często w ostatnich latach nadawano mu sens taki, jakby chodziło o stan stosunków społecznych będący „demokracją w ogóle", „demokracją integralną" bądź „demokracją totalną". Po dziś mówi się niekiedy o demokracji absolutnej, dla wszystkich we wszystkim — słowem o takiej demokracji, która jako żywo przypomina bardziej stan określony przed wiekami przez Greków mianem anarchos — bezrządu niż demokrację właśnie czyli stan w którym demos — lud sprawował kratos — władzę.

Tymczasem sprawę władzy, dominacji i polityki należy bez kamuflażu stawiać w świetle aktualnego, rzeczywistego zróżnicowania społeczeństwa, jego struktury klasowo-warstwowej i zasad funkcjonowania mechanizmów zapewniających ekonomiczną, polityczną i ideologiczną supremację klasy najsilniejszej. W taki też sposób ujmowana być powinna zawsze kwestia demokracji socjalistycznej. A więc nie w oderwaniu od wewnętrznej struktury społeczeństwa, lecz w ścisłym związku z obrazem rzeczywistych podziałów, odrębności poszczególnych wielkich grup społecznych, rozbieżności i sprzeczności ich interesów.

Marksizm-leninizm jako teoria i ideologia klasy robotniczej bardzo mocno akcentuje naturalną więź wszystkich odłamów i warstw ludzi pracy. Dlatego ustrojowo-polityczna koncepcja socjalizmu opiera się między innymi na twierdzeniu o obiektywnej zbieżności interesów ogółu mas pracujących. Tezę tę eksponują ustawy zasadnicze społeczeństw i państw socjalistycznych. W Konstytucji PRL motyw ten przewija się wielokrotnie. Jej Wstęp rozpoczyna się zdaniem: *„Polska Rzeczpospolita Ludo-*

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa - Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta ewkla jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 2895. P-14.

Przegląd prasy

Już kilka razy — a może i więcej — poruszyłem w „Przeglądzie prasy" tematy z najnowszej historii Polski. Są one frapujące, a przy tym nie do końca wyjaśnione. W wielu wypadkach dyskusyjne. Dla jednych wiążą się ze wspomnieniami młodości, ale dla innych są już tylko historią znaną z podręczników i książek. Ale razem, w sumie, dla nas wszystkich stanowią niezbędną wiedzę o naszej — często nie tak dawnej — wspólnej przeszłości. I przez to są tak ważne. Dla wszystkich.

ROK 1948

był przełomowym w najnowszej historii Polski Ludowej. Dzieli nas od tamtych wydarzeń zaledwie 37 lat, albo — można też powiedzieć — już 37 lat. Mimo wszystko wydawałoby się, że to niedawno, a przecież wydarzenia z 1948 roku rodzą rozliczne spory nie tylko tych, którzy brali w nich udział lub byli świadkami, ale też wśród historyków, którzy chcieliby poznać jak najpełniejszą prawdę. Redakcja kwartalnika poświęconego dziejom ruchu robotniczego „Z POLA WALKI" w nr 2 z 1985 roku przynosi stenogram dyskusji redakcyjnej pt. „*ROK 1948*". W dyskusji tej udział wzięli: Bogdan Brzeziński, Stefan Jędrychowski, Zenobiusz Kozik, Władysław Ważniewski, Mieczysław Jaworski, Ignacy Loga Sowiński, N. Kołomiejczyk, a swoje wypowiedzi do protokołu złożyli: Andrzej Sokolnicki, Czesław Bobrowski i Tadeusz Sierocki. Do redakcji „Z POLA WALKI" list nadesłał Edward Ochab, zawiadamiając, że nie może wziąć udziału w dyskusji oraz prezentując swoje stanowisko w omawianych sprawach:

„Pragnę zaznaczyć — pisze w tym liście Edward Ochab — *że nadal solidaryzuję się z ówczesnym KC PPR, a zwłaszcza z wystąpieniami wybitnych robotników kapepowców, którzy na czele z Bolesławem Bierutem, Aleksandrem Zawadzkim, Pawłem Wojasem, Franciszkiem Jóźwiakiem dali słuszny odpór licznym błędnym tezom towarzysza Gomułki i uchronili partię przed zepchnięciem jej na pozycje w gruncie rzeczy antyradzieckie i awanturnicze.*

Sumienny marksistowski badacz polityki PPR w 1948—1949 r. nie może rozpatrywać tej polityki w oderwaniu od sytuacji w całym międzynarodowym ruchu robotniczym i zaostrzającej się walki z ofensywą i knowaniami imperializmu. PPR i PZPR zacieśniły więzi z KPZR i wniosły swój wkład w utrzymanie jedności światowego obozu komunistycznego, bez niego wówczas nie byłoby ani przełomowego zwycięstwa w Chinach, ani skutecznej obrony Korei Północnej, ani rozgromienia imperializmu francuskiego w Indochinach, ani odparcia amerykańskich prób gruntownego podcięcia układu sił w Europie."

Redakcja „Z POLA WALKI" zapraszając do dyskusji sformułowała

KILKA PYTAŃ

„1. Czy można mówić o społeczno-gospodarczych źródłach bądź uwarunkowaniach zmiany linii politycznej PPR? Czy i jaką rolę odegrały w tym względy doktrynalne?

2. Czy były i jakie odmienne koncepcje polityczne — i związany z tym układ sił — w kierowniczych kręgach PPR?

3. Kto i dlaczego był zainteresowany w dokonaniu zwrotu, jakie były przyczyny „rywalizacji" Bierut — Gomułka? Czy Stalin odgrywał rolę mediacyjną?

4. Dlaczego wywołaniem otwartych rozbieżności w kierownictwie stał się referat Gomułki na plenum KC PPR w czerwcu 1948 r., dotyczący miejsca walki o niepodległość w tradycjach polskiego ruchu robotniczego?

5. Jakie zmiany w procesie zjednoczenia PPR i PPS spowodował zwrot 1948 r.?

6. Czy referat A. Żdanowa o sytuacji międzynarodowej, wygłoszony na posiedzeniu Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych, znamionował zwrot w międzynarodowym ruchu robotniczym?

7. O co chodzi w konflikcie między WKP(b) a KPJ i jakie były tego reperkusje?

8. Co było wspólnego, a co odmiennego w zmianach polityki partii komunistycznych i robotniczych krajów demokracji ludowej w latach 1947—1949?"

Przytoczyłem cały zestaw pytań, aby uświadomić Czytelnikowi zakres i rozmiary problemów przedstawionych do dyskusji, a zatem jeszcze do końca nie wyjaśnionych, budzących wątpliwości i rodzących coraz to nowe zagadnienia. Zrozumiałe, że w krótkim omówieniu tej bogatej i wielowątkowej dyskusji będę mógł sprezentować Czytelnikowi niektóre z poruszanych i dyskutowanych problemów. Proszę też nie sądzić, że dyskusja wszystko już wyjaśniła. Nie we wszystkim istniała zgodność poglądów między dyskutującymi, co jest naturalne i czego należało się spodziewać.

Przypomnę jeszcze, że na XII plenarnym posiedzeniu KC PZPR 31 maja 1983 roku zostało przyjęte *„Sprawozdanie z prac komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej"* i w tym sprawozdaniu znajduje się takie oto określenie dyskutowanych wydarzeń z 1948 roku:

„W połowie 1948 r. została gwałtownie i w sposób zaskakujący partię przeprowadzona daleko idąca zmiana w linii politycznej PPR. Istotą tej zmiany — którą poprzedził kryzys w kierownictwie partii — był zwrot o charakterze dogmatyczno-sekciarskim. Wyrażał się on w odejściu od dotychczasowych koncepcji i form stopniowej socjalistycznej przebudowy struktur politycznych i społeczno-gospodarczych oraz w dużym, woluntarystycznie założonym przyśpieszeniu tempa tej przebudowy, przy znacznym udziale środków przymusu pozaekonomicznego. Głębokie wokół wymienionych spraw w kierownictwie PPR powstały i rozwinęły się poważne rozbieżności.

Wielce znaczącą rolę odegrały przy tym okoliczności zewnętrzne, a przede wszystkim zmiana sytuacji w ruchu komunistycznym i robotniczym Europy."

Mieczysław Jaworski postawił w dyskusji pytanie:

CZY MOŻNA BYŁO TEGO UNIKNĄĆ?

I odpowiedział na to: *„Wydaje się, że nie. Zdeterminowała go ówczesna sytuacja międzynarodowa i sytuacja w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Zwrot taki dokonał się we wszystkich partiach krajów demokracji ludowej. I PPR nie mogła być wyjątkiem w tej ogólnej wówczas prawidłowości występującej w kształtującym się bloku państw socjalistycznych".*

Warto tu może przypomnieć, że kształtujący się blok państw demokracji ludowej był znacznie zróżnicowany w swoim historycznym rozwoju. Na przykład Bułgaria i Węgry zakwidowały monarchię w 1946 roku, a Rumunia ogłosiła się republiką dopiero pod koniec 1947 roku. W lutym 1948 roku dokonano w Czechosłowacji prawicowego puczu, przed którym KPCz obroniła demokrację wzywając do walki robotników. We wszystkich krajach istniało rozbicie ruchu robotniczego.

Czesław Bobrowski twierdzi na przykład — co też jest dość istotne — że *„termin i koncepcja „demokracji ludowej" były zbudowane ad hoc — nie rozwinięto teoretycznie tej koncepcji. Jest pod tym względem charakterystyczne, że jeszcze na spotkaniu w Szklarskiej Porębie w 1947 roku powstała potrzeba trochę bliższego sformułowania definicji: demokracja ludowa".* A zatem w teoretycznych rozważaniach o przyszłości krajów, w których dokonywała się rewolucja kierowano się niezbyt precyzyjnymi pojęciami. Ignacy Loga Sowiński powiada na przykład słusznie, że *„nasza partia w socjalizmie widziała wspólną ideę uniwersalną, lecz uważaliśmy, że droga do socjalizmu nie może być jednakowa dla każdego okresu historycznego".*

Partie komunistyczne i robotnicze, które do końca wojny były w opozycji wobec klas panujących, które — jak PPR — szukały sojuszników i próbowały tworzyć szeroki, ale demokratyczny front narodowy do walki z najeźdźcą, po 1945 roku znalazły się u władzy To musiało spowodować zmianę sposobu widzenia nie tylko zadań najbliższych i perspektywicznych, ale też i stosunku do spraw wewnętrznych i zewnętrznych. *„Bez dokonania zjednoczenia PPR i PPS* — powiedział Ignacy Loga Sowiński — *nie można było podjąć się przeobrażeń na szerszą skalę w kierunku budownictwa socjalistycznego, i co do tego nie było różnic w naszym kierownictwie".* Wprawdzie — jak to określił na I Zjeździe PPR Władysław Gomułka — *„PPR stała się partią nie tylko jednej klasy, ale również partią narodu polskiego"*, to przecież polski ruch robotniczy był nadal rozbity wobec faktu istnienia PPS. Zjednoczenie ruchu robotniczego było koniecznością i czymś nieuniknionym. *„Narastanie* — jak to określił Czesław Bobrowski — *sytuacji politycznej w skali europejskiej i światowej, nazwanej później „zimną wojną", siłą rzeczy popychało do przywiązania większej wagi do jednolitości działań, do budowy monolitycznego obozu".*

Nie zapominajmy też, że zaraz po wojnie

ROZCHODZIŁY SIĘ DROGI BYŁYCH SOJUSZNIKÓW

Przypomniał o tym Stefan Jędrychowski, wspominali i inni dyskutanci. W 1946 roku W. Churchill wygłosił słynną mowę w Fulton w USA, gdzie wzywał do wspólnego frontu Wielkiej Brytanii i USA przeciw ZSRR. W tymże 1946 roku minister Byrnes, szef dyplomacji USA, wzywał do rewizji granic na Odrze i Nysie W marcu 1947 roku została ustanowiona doktryna H. Trumana, a w czerwcu 1947 roku ogłoszono plan Marshalla, który pod pozorem pomocy miał doprowadzić do podporządkowania krajów europejskich USA. Związek Radziecki był niebywale zniszczony przez działania wojenne. W 1946—1947 r. rolnictwo, przede wszystkim Ukrainy, nie osiągnęło nadowalających plonów. Wojna zabrała ZSRR 20 milionów ludzi, w tym głównie ludzi najbardziej twórczych, zdolnych do dużego wysiłku, których zabrakło teraz do odbudowy wojennych zniszczeń. To wszystko musiało doprowadzić do konsolidacji w bloku państw demokracji ludowej.

„Wszystkie partie — skonstatował Mieczysław Jaworski — *uznawały kierowniczą rolę WKP(b) i państwa radzieckiego w kształtowaniu wspólnej polityki zagranicznej i obronnej. Dla siebie jedynie rezerwowały w tej ogólnie stosowanej polityce globalnej miejsce wynikające z bezpośredniej racji stanu. Dla Polski takim czułym miejscem był problem niemiecki".*

We wrześniu 1947 roku w Szklarskiej Porębie powołano do życia Biuro Informacyjne. Władysław Gomułka — jak utrzymuje Mieczysław Jaworski — *„był za koordynacją działań, a nie za powrotem do metod Kominternu".* Ale wielu działaczy wychowanych w partyjnej dyscyplinie Kominternu przyjmowało wszystko, co płynęło z Biura Informacyjnego bez sprzeciwu i dyskusji. *„Działał na komunistów autorytet tak wybitnych postaci III Międzynarodówki, jak J. Stalin, P. Togliatti, G. Dymitrow czy K. Gottwald".* A Władysław Gomułka miał wątpliwości i to w sprawie sporu ZSRR z Jugosławią i w sprawie nasilenia kolektywizacji. Jerzemu Albrechtowi i Ignacemu Lodze Sowińskiemu przecież powiedział: *„jeśli będą towarzysze chcieli iść na kolektywizację wsi, to beze mnie".*

Wydarzenia roku 1948 były złożone i złożone miały przyczyny. Zainteresowanego szczegółami Czytelnika odsyłam do omawianego numeru „Z POLA WALKI".

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

PIĘKNY JUBILEUSZ

24 września br. w lokalu łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich odbyła się piękna i podniosła uroczystość: KAZIMIERZ PASZKOWSKI obchodził swoje 90 urodziny. Piękny to wiek i piękna droga tego twórcy od lat związanego z Łodzią i jej kulturą.

Urodził się w 1895 r., we Lwowie. Był świadkiem dwu wojen, w których brał czynny udział jako oficer artylerii. Przeżył atak gazu bojowego — fosgenu — i bardzo poważne zranienie. Posiada najwyższe odznaczenia bojowe i cywilne, a wśród nich Krzyż Virtuti Militari V klasy, Krzyż Niepodległości, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Przyjaźnił się i znał osobiście wielu sławnych ludzi, m.in. Oscara Wilde'a, Władysława Reymonta, Stanisława Przybyszewskiego i jego znakomitą córkę Stanisławę, Kornela Makuszyńskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Jana Lechonia...

W 1922 r. został członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich. Był także edytorem i dziennikarzem.

Przez całe swoje długie, piękne i obfitujące w niezwykłe przypadki życie pisał wiersze, opowiadania, dramaty, książki dla dzieci. Drukował w „Wiadomościach Literackich", w innych pismach w tym w „Odgłosach". W swoim dorobku posiada m.in. zbiór opowiadań „Miłość na wschodzie", powieść „Przygody Fraulen Doctor", zbiór wierszy „Rymy serdeczne"... A przecież przez lata współpracował z filmem, pisał scenariusze, dla teatrów ma kilka sztuk scenicznych.

Prezydent Miasta Łodzi kierując list gratulacyjny na ręce sędziwego Jubilata, napisał: *„Długoletnia twórczość literacka, która cechuje zawsze ogromny humanizm, zapisuje Pańskie imię na trwałe w świadomości środowiska literackiego oraz w pamięci szerokiego grona czytelników".*

Do życzeń dołącza się także i nasza redakcja.

E.IW.

NA OKĘCIU W NIEDZIELNE PRZEDPOŁUDNIE

wylądował samolot LOT, na pokładzie którego powróciła z Kuby i z sesji ONZ polska delegacja z gen. Wojciechem Jaruzelskim na czele. Delegację powitali członkowie najwyższych władz partyjnych i państwowych oraz licznie zgromadzeni warszawiacy Wojciech Jaruzelski podzielił się z obecnymi na lotnisku swoimi wrażeniami z pobytu na Kubie i w ONZ.

Premier rządu PRL wygłosił przemówienie w ONZ, które spotkało się z dużym zainteresowaniem zarówno podczas sesji ONZ, jak i w kraju i za granicą. Spotkał się z wieloma politykami, udzielił kilku wywiadów, a także przyjął delegację amerykańskiej „Polonii".

Zgromadzeni na lotnisku warszawiacy odśpiewali Wojciechowi Jaruzelskiemu „Sto lat" oraz „Okę".

NIE TYLKO MŁODYM DO DYSKUSJI

przedstawił „Sztandar Młodych" opublikowane w miniony piątek 27 września 1985 roku *„Założenia projektu ustawy o rozszerzeniu udziału młodzieży w życiu społeczno-politycznym, gospodarczym i kulturalnym kraju".* W tezach tych czytamy między innymi:

„Przez określenie młodzież w ustawie rozumie się osoby, które nabyły zdolność do czynności prawnych zgodnie z przepisami Kodeksu Cywilnego i nie ukończyły (wariantowo: 25, 30, 35 lat)".

Ponieważ ma nad tym być dyskusja, już wypowiadam się za 30 latami, jako granicą formalnej przynależności do młodzieży. Nie postarzajmy młodych!

W tezach tych czytamy dalej:

„Celem ustawy jest stworzenie warunków prawnych rozszerzających:

— udział młodzieży i jej organizacji w życiu społeczno-politycznym, w umacnianiu państwa, socjalistycznej demokracji i praworządności;

— aktywność produkcyjną oraz możliwości poprawy warunków startu życiowego i zawodowego młodzieży;

— możliwości intelektualnego, kulturalnego i fizycznego rozwoju młodzieży".

W PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ CZĘŚCI MOSKWY

jedna z ulic otrzymała imię Konstantina Czernienki. Z tej okazji odbył się wiec ludności, w czasie którego odsłonięto płaskorzeźbę przedstawiającą zmarłego niedawno przywódcę KPZR i ZSRR.

W BUŁGARII OD 1 WRZEŚNIA 1985 ROKU

wprowadzono nowe zasady podejmowania pracy przez emerytów i rencistów. Ci wszyscy emeryci, którzy podejmą pracę w przedsiębiorstwach górniczych, metalurgicznych, elektrotechnicznych, chemicznych i przemysłu drzewnego, a także w rolnictwie, leśnictwie i budownictwie zatrzymują pełną emeryturę niezależnie od wysokości osiąganych zarobków. Spełniać muszą wszakże jeden warunek: muszą pracować bezpośrednio w produkcji.

Emeryci, którzy będą pracowali jako szatniarze, palacze, inkasenci, a kobiety jako sprzątaczki lub pielęgniarki nie stracą swojej emerytury pod warunkiem, że ich zarobek nie przekroczy 145 lewów. Natomiast ci, którzy podejmą pracę jako wychowawcy lub w służbie zdrowia nie stracą pełnej emerytury, jeśli ich płaca nie przekroczy 170 lewów i podejmą tę pracę w tych rejonach Bułgarii, gdzie występuje deficyt tego typu pracowników.

Nie ma natomiast żadnych ulg dla emerytów lub rencistów, którzy chcieliby pracować w urzędach. W przypadku rencistów nowe zasady stanowią, że nie tracą oni pełnej renty, jeśli podejmą dodatkową pracę tylko wtedy, kiedy ich płaca nie przekroczy 120 lewów W myśl nowych zasad przejście na emeryturę może odbyć się tylko za zgodą obu stron: przyszłego emeryta i przedsiębiorstwa.

W DOMU TAŃCA I MUZYKI W ZABRZU

odbyło się uroczyste pożegnanie „Lata z radiem". Być może fakt, że za oknem już prawdziwa jesień, a w mieszkaniu zimno wpłynął tak, iż pożegnanie wypadło blado i było jakby senne. Prezenterzy robili co mogli, aby ożywić publiczność, ale niewiele mogli Jeden z nich nieustannie powtarzał, adresując to do radiosłuchaczy: *„szkoda, że państwo tego nie widzicie"!* Jakoś nie żałujemy.

A. B. SEKATOR

ze str. 1

wa jest republiką ludu pracującego", zaś art. 1 pkt. 2 brzmi: „W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi".

Owa zbieżność interesów, dążeń, celów i aspiracji świata pracy nie musi kreować automatycznie ani na podstawie najdonioślejszych choćby uchwał w pełni harmonijnego, bezkonfliktowego organizmu ustrojowo-politycznego. Ale jest to naturalna podstawa porozumienia i współdziałania dla realizacji wspólnych celów i zapobiegania konfliktom bądź rozwiązywania spornych spraw. Tak kształtuje się, choć nie bez trudności i oporów, syndrom sił rozstrzygający o biegu współczesności.

Zaspokajanie potrzeb, realizacja interesów i aspiracji klas i warstw ludzi pracy nie dokonuje się również samoczynnie, tak jak współdziałanie rozmaitych sił społecznych nie zbiorowym. Jest to ujęcie trafne, choć dziś wymaga ono twórczego rozwinięcia i uzupełnienia, adekwatnego do aktualnych warunków i wymogów oraz perspektywy czasów, które nadchodzą. Socjalizm nie jest bowiem ustrojem na dzisiaj i wczoraj, lecz porządkiem społecznym przyszłych pokoleń przede wszystkim. To my musimy tę bazę wyjściową umocnić i udoskonalić, jeśli nie chcemy zmarnować bezpowrotnie szans i możliwości, które obiektywnie mamy.

Wprawdzie nigdzie nie jest zapisane ani nie dekretuje tego materializm historyczny, że każde społeczeństwo musi rozwijać się krocząc tylko drogą postępu, to jednak sama koncepcja socjalizmu i programy realizacyjne opierają się na prawie postępowych form rozwoju społeczeństwa. Postęp zaś — szczególnie w obecnych warunkach — to nie tylko coraz lepsze funkcjonowanie mechanizmów organizowania i kierowania życiem zbiorowym, na czym koncentrują się przedstawione wyżej założenia koncep-

Jeden z uczestników konferencji organizowanej przez Warsztat Opinioznawczy Centrum Badania Opinii Społecznej, w której miałem okazję uczestniczyć, wyraził jakże gorzką i niezbyt odległą od prawdy ocenę, iż my Polacy umiemy bardziej gardłować za demokracją, a nie umiemy żyć demokratycznie.

Tej właśnie umiejętności — potrafić żyć demokratycznie w warunkach, które mamy i tworzymy, bardzo dziś potrzebujemy. Musimy przyswajać ją sobie nieustannie, poszukując nowych sposobów i form układania stosunków społecznych. Trzeba pamiętać i uświadamiać tę prawdę nieustannie szerokim kręgom społecznym, że tylko zgodnym wysiłkiem możemy stworzyć odpowiadające naszym aspiracjom i potrzebom materialne warunki bytu. Oczywiście organizatorem i kierownikiem tego procesu jest władza, której działania w coraz wyższym stopniu muszą być funkcjonalne wobec interesów społeczeństwa, zwłaszcza ludzi pracy. Mechanizm sterowania jest republiką ludu pracującego miast i wsi, zaś art. 1 pkt. 2 brzmi: „W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi".

Owa zbieżność interesów, dążeń, celów i aspiracji świata pracy nie musi kreować automatycznie ani na podstawie najdonioślejszych choćby uchwał w pełni harmonijnego, bezkonfliktowego organizmu ustrojowo-politycznego. Ale jest to naturalna podstawa porozumienia i współdziałania dla realizacji wspólnych celów i zapobiegania konfliktom bądź rozwiązywania spornych spraw. Tak kształtuje się, choć nie bez trudności i oporów, syndrom sił rozstrzygający o biegu współczesności.

Zaspokajanie potrzeb, realizacja interesów i aspiracji klas i warstw ludzi pracy nie dokonuje się również samoczynnie, tak jak współdziałanie rozmaitych sił społecznych nie

ptacji wspólnych wartości i celów. W realizacji tej idei przewodzić musi partia, gdyż to z jej koncepcji wyrasta program budowy socjalizmu i ona jest powołana, by politycznie kierować klasą robotniczą — największą siłą społeczną. Udział zaś w budowie socjalizmu nie musi wynikać z identycznych motywacji ideologicznych. Potwierdzają to doświadczenia socjalistycznych systemów wielopartyjnych, udział w życiu politycznym ludzi różnych wyznań i niesocjalistycznych orientacji filozoficznych i ideologicznych. Polskie doświadczenia także są w tym względzie znaczne i pouczające. Realizację wspólnych celów i wartości zabezpieczyć może tylko silne państwo, ale takie, którego siła wynikać będzie z poparcia milionowych rzesz obywateli.

To właśnie taki program, trafnie i lapidarnie nazwany programem porozumienia, walki i reform przedstawiła PZPR na swym IX Nadzwyczajnym Zjeździe w lipcu 1981 r. Był on reakcją na wypaczenia, słu-

Żyć demokratycznie — to znaczy jak? (1)

wynika z samego ich istnienia obecności w strukturze społeczeństwa a nawet dobrych chęci. We współczesnych wysoko zorganizowanych społeczeństwach rolę czynników sterujących życiem zbiorowym pełnią: wynalazek odległych wieków — państwo oraz twory powstałe znacznie później — partie polityczne i masowe organizacje społeczno-polityczne. To one łącznie, przy większym lub mniejszym udziale innych czynników, organizują życie zbiorowe i kierują nim. One tworzą zasadniczy, instytucjonalny szkielet systemu politycznego społeczeństwa. Ich geneza, społeczno-klasowy charakter, zasady, tryb powoływania ich organów oraz formy i metody działania rozstrzygają o typie ustroju politycznego. Te właśnie aspekty organizacji, struktury i funkcjonowania systemu politycznego przesądzają o stopniu demokratyzmu życia społecznego.

Społeczną istotę socjalizmu jako ustroju pierwszego stadium formacji komunistycznej wyraża i definiuje marksistowsko-leninowska koncepcja demokracji socjalistycznej. Jej podstawowe założenia przedstawiane są najczęściej w następujących tezach:

1. suwerenem, a więc źródłem i najwyższym podmiotem władzy są ludzie pracy; masy pracujące w formach bezpośrednich i pośrednich uczestniczą w realizacji władzy;

2. równość i sprawiedliwość społeczna, ujmowane łącznie, stanowią zasadę i podstawową normę działania władzy i funkcjonowania ogółu mechanizmów sterowania życiem zbiorowym; równość i sprawiedliwość społeczna są zasadniczymi normami podziału dóbr społecznie cenionych i pożądanych (co staje się dziś sprawą niemal numer jeden stosunków politycznych i władzy);

3. konstytucyjnie określony katalog praw i swobód obywatelskich zapewnia jednostce i grupom społecznym społecznie dopuszczalny i możliwy zakres wolności w różnych dziedzinach życia indywidualnego obywatela oraz określonych zbiorowości; wśród tych praw socjalizm na czoło wybija prawo człowieka do pracy i życia w pokoju;

4 praworządność jako fundamentalna wartość socjalizmu oznacza nakaz przestrzegania prawa, a więc systemu norm zagwarantowanych nawet sankcjami przymusowymi państwa, przez wszystkie podmioty stosunków społecznych, politycznych, uczestników procesów gospodarczych itd.: prawo — jednakowo obowiązujące wszystkich — reguluje więc i porządkuje zachowania jednostek, instytucji, organizacji i wszelkich innych uczestników stosunków między jednostkami, które muszą być regulowane oraz relacji o charakterze ponadindywidualnym — o doniosłości społecznej.

Wymienione założenia oddają w najogólniejszy sposób charakter i zasady funkcjonowania społeczeństwa z punktu widzenia sterowania życiem

cji demokracji socjalistycznej. One bowiem ukazują tylko aspekt jakby technologii i technik władzy i autorytetu.

Postęp w nowoczesnym socjalistycznym społeczeństwie to taki bieg faktów, zjawisk i procesów, który przynosi coraz pełniejsze zaspokajanie ludzkich potrzeb, interesów grup społecznych, ich dążeń i aspiracji. Postęp — to taki przypadek rozwoju, który stwarza coraz większe możliwości harmonijnego i wszechstronnego rozwoju człowieka. Ten więc aspekt socjalizmu i demokracji socjalistycznej należy dziś, moim zdaniem, mocno podkreślać. Bo przecież o to walczą partie komunistyczne, do tego zmierzać mają najwyższe i najgłębiej w terenie usytuowane władze, wszyscy organizatorzy i kierownicy życia społecznego. To pierwszoplanowe, mówiące o celach ustroju, założenie socjalizmu powinniśmy wydźwignąć na czoło w redefiniowanej dziś kategorii postępu społecznego, w koncepcji demokracji socjalistycznej, w kształceniu ideologicznym, w propagandzie.

Oczywiście sukces zależeć będzie od konsekwencji i efektywności działania mechanizmów realizacyjnych. Ale także niezmiernie istotną rolę odgrywa zespół przedsięwzięć określanych mianem frontu ideologicznego w partiach politycznych i prosocjalistycznych organizacjach społecznych. Te bowiem działania mogą w ważnym stopniu przyczynić się, po pierwsze, do upowszechniania rzetelnej wiedzy o tym, czym jest socjalizm, co oznacza demokracja socjalistyczna; ze stanem znajomości tych problemów nie jest w naszym społeczeństwie najlepiej mimo zdawałoby się masowej pracy propagandowo-politycznej; po drugie — tą drogą można skutecznie przekonywać i zjednywać ludzi biernych, wahających się oraz motywować do bardziej intensywnego angażowania się tych, którzy są „na tak" wobec socjalizmu. I nie chodzi tu jedynie o czystą wiedzę, o znajomość haseł, doktryny czy umiejętność wykazywania się ową wiedzą. Idzie o kształtowanie postaw społecznych będących wszak gotowością do określonych, prosocjalistycznych zachowań. Ta dziedzina pracy jest u nas mocno zaniedbana, mimo wielu prób przełamania słabości i barier i postanowień najwyższej rangi, jak choćby decyzje XIII Plenum KC PZPR. Z pewnym niepokojem stwierdzam swoiste opadanie fali i temperatury dyskusji ideologicznych nawet w samej partii.

Spory ideologiczne i dyskusje doktrynalne oraz, jak to się ładnie określa — konstruktywna krytyka nie mogą być uważane za złe same w sobie. Wymieniając myśli niczego nigdy nie tracimy, niczego nikomu nie oddajemy, nie zubożamy się, co może się zdarzyć przy wymianie rzeczy. Przeciwnie dialog może nas tylko wzbogacić intelektualnie, przynieść sugestie, jak postępować, jak oceniać otoczenie itd. itp. Ale także nie o same dyskusje mi chodzi.

wnicy stoi obecnie w obliczu istotnych przewartościowań i koniecznych modyfikacji strukturalnych. Zasadniczą koniecznością jest, jak mi się wydaje, skoncentrowanie się na wytwarzaniu dóbr, a nie przede wszystkim lub wyłącznie na ich dystrybucji.

Z tych i innych jeszcze powodów tak bardzo potrzebne jest nam nowoczesne patrzenie na bieg życia społecznego. Czas przynosi ogromne zmiany w kraju i międzynarodowym otoczeniu. Wszystkim nam Polakom i władzy w Polsce potrzebna jest umiejętność prawidłowego odczytywania istoty zmian i artykułowania cech tworzącej się nowej, przy naszym udziale rzeczywistości społecznej. Bezpowrotnie mija pewna faza w rozwoju naszego społeczeństwa i charakterystyczne dla niej formy i metody budowy socjalizmu. Fazę tę znaczyły koncepcje polityczne powstałe w swym zasadniczym kształcie w latach 30-tych i 40-tych, powielane z nieznacznymi modyfikacjami do progu lat osiemdziesiątych. I ta uwaga nie może odnosić się jedynie do Polski.

Jedną z głównych cech robotniczych wystąpień w naszym kraju było upomnienie się i dążenie do nadania mocy obowiązującej normie funkcjonalności władzy wobec społeczeństwa, wołanie o demokrację uczestniczącą. Tego bowiem najbardziej w sferze polityki brakowało społeczeństwu, a zwłaszcza tej klasie, która dźwiga główny ciężar realizacji programu budownictwa socjalistycznego.

Umiejętność korzystania z zasad demokracji socjalistycznej, dyskontowania warunków, które ustrój ten stwarza muszą przyswajać sobie coraz szersze kręgi społeczeństwa. A więc i „rządzący" i „rządzeni", by użyć tu tradycyjnego, choć niezbyt ostrego podziału, muszą uczyć się swoich ról, właściwie je wypełniać, preferując we wzajemnych relacjach stosunki oparte na — jak to określił T. Kotarbiński — kooperacji pozytywnej, a nie kooperacji negatywnej. Ani bowiem jedna, ani druga „strona" nie może być traktowana czy też sama uważać się za myślący absolut. Sądzę jednak, że nazbyt często w dyskusjach nad naprawą Rzeczypospolitej zapomina się o tym, iż to na władzy spoczywa ciężki obowiązek zapewnienia stałej sterowności życia społecznego. Sama ona tego nie uczyni, bez poparcia mas.

Dziś w Polsce jest, moim zdaniem, tak, że rację trzeba byłoby przyznać dwóm wielkim, klasycznym filozofom. Jeden z nich (Hegel) mówił: ma wartość opinii motłochu twierdzenie, że władza ma złą wolę. Drugi zaś (Marks) konstatował: zgoda, ale też ma wartość opinii motłochu twierdzenie, że lud ma złą wolę.

W tej sytuacji najbardziej właściwą drogą jest porozumienie i współdziałanie różnych sił społecznych, organizacji oparte na zrozumieniu i akceszny protest i potrzebę nowego spojrzenia na problemy Polski i Polaków końca XX stulecia. Swoistym dopełnieniem tego programu stała się Deklaracja przyjęta przez Krajową Konferencję Delegatów na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR „O co walczymy, dokąd zmierzamy".

Zaprezentowane w tych dokumentach węzłowe ogniwa doktryny politycznej partii i jej programu wychodzą naprzeciw wymaganiom czasów, które idą. W jeszcze wyższym stopniu pierwiastek czasu i zmian występuje w projektach dokumentów przygotowanych w ramach prac nad prespektywicznym programem partii, który ma przyjąć X Zjazd PZPR. Stale aktualnym i ważnym zadaniem frontu ideologicznego partii i jej sojuszników politycznych jest i pozostanie upowszechnianie treści programowych zawartych w najwyższej rangi aktach i dokumentach partii. Zadaniem zaś wszystkich struktur i instytucji bezpośrednio zajmujących się realizacją obecnego i przyszłych programów jest i będzie zawsze wytrwałe urzeczywistnianie wytycznych programowych. One bowiem są przyjmowanym na danym etapie sposobem odczytywania założeń demokracji socjalistycznej.

Jednym z naczelnych zadań chwili obecnej i w najbliższej perspektywie jest przezwyciężanie skutków zjawisk kryzysowych i dążenie do uzyskania stanu względnej, dynamicznej równowagi systemu społecznego. Powodzenie w tym zakresie możemy osiągnąć tylko działając wspólnie, tzn. my wszyscy trzeźwo, racjonalnie myślący Polacy, dla których bezpieczna przyszłość, postęp nie są jedynie frazesami. A więc i ci aktywni i szeregowi obywatele, „rządzący" i „rządzeni", społeczeństwo i władza, którą tak łatwo nieraz stawiamy na cenzurowanym, zapominając czasami, że w zasadzie każdy z nas na jakimś tam odcinku, w jakichś sytuacjach sam jest ową władzą, o czymś decyduje, innym coś ułatwia lub utrudnia. Truizmem jest twierdzenie, że tylko społeczeństwo ze swoją władzą może pomyślnie wyjść z kryzysu.

W obliczu takich oto uwarunkowań i wymogów ideologicznych, doktrynalnych, programowych, społeczno-psychologicznych i praktyczno-politycznych stajemy dziś wszyscy. W tych warunkach poszukujemy nowych, lepszych rozwiązań organizacyjnych i funkcjonalnych. Podejmujemy wielkie systemowej natury reformy. W tym zakresie niezwykle ważne jest przestrzeganie naczelnego imperatywu demokracji socjalistycznej — zasady udziału mas w rozstrzyganiu ważnych i decydujących problemów kraju.

ALFRED LUTRZYKOWSKI

Zanotowane na spotkaniach

W zdrowym lesie nie przeżyją wszystkie drzewa

Na sali jest ok. 100-150 osób. Znakomita większość to pracownicy Zakładów Przemysłu Barwników „BORUTA" w Zgierzu. Przyszli na spotkanie z własnym kandydatem na posła. Własnym bowiem **ANDRZEJ GAWŁOWSKI**, inżynier chemik, adiunkt w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym „BORUTY", rekomendację kandydacką otrzymał z rąk organizacji partyjnej macierzystej firmy oraz z rąk zgierskiej instancji PRON i PZPR. A Gawłowski, poseł na Sejm VIII kadencji, ma już doświadczenie w pracy poselskiej, cieszy się szacunkiem załogi oraz prezentuje wyraźny program wyborczy. Program ów, kandydat formułuje następująco: Po pierwsze — bezwzględny obowiązek reprezentowania w Sejmie swej macierzystej załogi i wszystkich pracowników branży chemicznej. Po drugie — w razie sukcesu wyborczego — intensywna praca nad wzmocnieniem funkcji kontrolnej Sejmu nad realizacją ustaw i regulacji niższego rzędu w zgodności z duchem i literą sejmowych działań. Wiąże się to ściśle z kontrolą aparatu wykonawczego, zwłaszcza tego szczebla, z którym obywatel styka się najczęściej i na podstawie jego pracy wyrabia sobie zdanie o całym aparacie państwowym. Wreszcie A. Gawłowski uważa za konieczne dopracowanie w Sejmie mechanizmu nowelizowania i poprawiania wcześniej podjętych ustaw tak, by proces ten nie powodował chaosu prawnego.

Mówiąc o konkretnych sprawach, które kandydat uważa za najpilniejsze do uregulowania, A. Gawłowski na pierwszym miejscu wymienił problem systemowego uładzenia problemu ludzi starych, chorych i wymagających opieki. W tym kontekście wspomniał, iż nie uważa za słuszne tworzenia sztucznego problemu młodzieży, jej bowiem sprawy i potrzeby są w gruncie rzeczy immanentną częścią działań na rzecz całego społeczeństwa. Zatem — rozwiązując sprawy bliskie młodemu pokoleniu, rozwiązuje się sprawy przyszłości całego narodu. Zaś problemy ludzi starych wymagają wszelkich wysiłków, by zlikwidować krzywdzący podział na ludzi „starego i nowego portfela". A. Gawłowski określił ten fragment swego programu w ten sposób: Jakkolwiek z racji wieku (37 lat) bliższe mi są sprawy ludzi młodych, ale wszyscy kiedyś będziemy starzy, więc już trzeba walczyć o to, by była to godna starość uczciwie wypracowana.

Kolejny zestaw zainteresowań kandydata można skrótowo nazwać problemami patologii społecznej, a więc alkoholizmu, uchylania się od pracy itd. W tej kwestii kandydat wyraził swą nieufność w moc sprawczą samego uchwalania ustaw. Wspomniał, iż w czasie sprawowania mandatu posła na Sejm poprzedniej kadencji, pracował na rzecz nie tyle formuły ustaw przeciw patologii, lecz raczej w kierunku uruchomienia mechanizmów społecznych, dzięki którym prawo staje się praktyką. Wspomniał o potrzebie kształtowania klimatu społecznej dezaprobaty wobec postaw i postępków patologicznych, czego niestety nadal nie da się zauważyć w myśleniu społecznym, aprobującym wódkę, cwaniactwo, wykorzystywanie „możliwości" i „układów". A. Gawłowski nawiązał też do zobowiązań prawnych Polski, zwłaszcza dotyczących prawa pracy. Stwierdził, iż obowiązek przestrzegania praw Międzynarodowej Organizacji Pracy nie może powodować sytuacji wiązania rąk administracji państwowej w regulacji patologii społecznej wewnątrz państwa.

Kolejna kwestia, istotna w pracy przyszłego Sejmu, to bezwzględny wymóg dbania o postęp naukowo-techniczny we wszystkich dziedzinach życia społecznego, twarda konsekwencja we wdrażaniu reformy gospodarczej w kierunku zaostrzenia wymagań w sferze pracy i płacy. Tu A. Gawłowski wypowiedział się jako zdecydowany przeciwnik wielkich grup nacisku wpływających na pracę poprzedniego Sejmu i całego aparatu wykonawczego państwowego i gospodarczego. Działanie tych lobby's, uściślonych jako kompleks paliwowo-energetyczny; rolno-spożywczy; hutniczo-przemysłowy — w sferze walki o środki inwestycyjne i przywileje płacowo-podatkowe, uznał za największą groźbę dla niezbędnie koniecznej restrukturyzacji gospodarki narodowej. Inaczej mówiąc — inwestowanie w chemię, mikroelektronikę, wysoko wydajne przetwórstwo — tak, ale nie — w schematycznie rozumiane „symbole industrializacji".

Spośród głosów w dyskusji, warto wspomnieć wypowiedź dyrektora naczelnego „BORUTY" inż. Wiśniewskiego, który za najważniejsze zadanie Sejmu IX kadencji uznał harmonijne wypracowywanie równowagi w sferze mikro- i makroekonomiki, wyważanie interesów i mechanizmów rządzących całą gospodarką i pojedynczym zakładem produkcyjnym. Wyzwalanie, a raczej wymuszanie postępu technicznego, nawet jeśli będzie to oznaczać plajty dla zbyt drogich i byle jak produkujących firm. Dyrektor Wiśniewski określił to obrazowo, iż w zdrowym lesie nie mogą przeżyć wszystkie, bez wyjątku drzewa. Niektóre muszą pójść na deski, by las był zdrowy.

Na zakończenie powinnam wspomnieć także o tym, że licznie zebrana załoga „BORUTY", poza pięcioma osobami, wyjątkowo mało miała do powiedzenia swemu kandydatowi na posła, co może tylko dziwić, zważywszy, że udzieliła mu rekomendacji.

We wtorek, 24 września 1985 r. w sali Łódzkich Zakładów Radiowych „UNITRA FONICA", odbyło się spotkanie z kandydatami na posłów z Okręgu Wyborczego nr 43 w Łodzi. W gronie blisko stu osób na sali znajdowali się reprezentanci załóg „FONIKI", EC im. W. Lenina, „Eskimo" i „Maltexu". Prezentowało się dwóch kandydatów na posłów: **PAWEŁ SZYMAŃSKI**, technik-mechanik, przewodniczący Federacji NSZZ Przemysłu Lekkiego i wiceprzewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, lat 37. Drugim kandydatem był **STANISŁAW WŁODARCZYK**, lat 53, kierowca, I sekretarz POP PZPR w MPK — Łódź.

Kandydaci zaprezentowali zebranym swą dotychczasową drogę pracy zawodowej i działalności społecznej, deklarując — w razie uzyskania mandatu poselskiego — dalszą pracę dla dobra społecznego.

Kandydat P. Szymański za najważniejszą kwestię do rozstrzygnięcia w przyszłym Sejmie, uznał budownictwo mieszkaniowe, jako nie tylko problem ekonomiczny, ale i polityczny nadrzędnej wagi. Za konieczne uznał nie tylko wysiłki dla powiększenia liczby budowanych mieszkań, ale przede wszystkim konieczność walki z biurokratyczną barierą niemożności. Tę bowiem barierę uważa za najpoważniejszą przeszkodę w przekonstruowaniu całego systemu finansowania i realizacji budownictwa mieszkaniowego. Jako reprezentant ruchu związkowego, Paweł Szymański zamierza się w Sejmie skoncentrować na realizacji postulatów zawartych w uchwałach OPZZ mówiących o strategicznych kierunkach działań gospodarczych i społeczno-politycznych dla wyjścia Polski z kryzysu. Omówił także swe stanowisko w kwestii podziału środków wypracowanych na spożycie indywidualne i zbiorowe, oraz odpowiedział na pytanie z sali w kwestii stosunków państwo — Kościół, uznając ją za jedną z najważniejszych dziedzin pracy przyszłego Sejmu.

Stanisław Włodarczyk, jako działacz robotniczy deklarował swe zainteresowanie dla spraw wśród robotników uznanych za najważniejsze do rozwiązania. To jest: nowe układy zbiorowe, ściślejsze powiązanie jakości pracy z płacą, budownictwo mieszkaniowe oraz problem osób uchylających się od pracy i problem spekulacji rynkowej.

Podsumowując przebieg spotkań z kandydatami na posłów stwierdzić można, że jakkolwiek temperatura niektórych nie jest już tak gorąca jak w poprzednim etapie kampanii wyborczej, to jednak większość rozmów obraca się wokół najważniejszych problemów społecznych. Budownictwo mieszkaniowe, postęp naukowo-techniczny, dolegliwości bytu codziennego ludzi pracy, stosunki państwo — Kościół, oto najważniejsze z poruszanych kwestii. Można zatem mieć nadzieję, że przyszli posłowie będą doskonale zorientowani w hierarchii ważności problemów do załatwienia oraz, że wystarczy im sił, by podołać ogromnym wymaganiom stawianym Sejmowi przez społeczeństwo.

JOLANTA WROŃSKA

Przedstawiamy drugą część opracowania Edmunda Lewandowskiego opartego na badaniach socjologicznych z lat 1980—1985 wśród studentów i młodzieży licealnej. Opracowanie to można z powodzeniem nazwać „raportem o młodzieży". Nad „raportem" tym dyskutowano w redakcji „Odgłosów". W dyskusji tej udział wzięli:

— JAN BADURA — z katedry pedagogiki społecznej Uniwersytetu Łódzkiego,

— IWONA BARTOSIK — zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty Komitetu Łódzkiego PZPR,

— STANISŁAW GÓRAL — z Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Zgierzu,

— MAREK KOSTERSKI — z Łódzkiego Oddziału PAX,

— MICHAŁ SZYMANIAK — dyrektor XXX Liceum Ogólnokształcącego im. J. Krasickiego w Łodzi.

W dyskusji wzięli też udział przedstawiciele „Odgłosów" oraz autor niniejszej publikacji. W najbliższym czasie przedstawimy Czytelnikom zapis dyskusji.

POGLĄDY POLITYCZNE

Nieraz można odnieść wrażenie, że występuje u nas powszechne zainteresowanie historią i polityką. Badania jednak wskazują, że sporo młodzieży wcale nie zajmuje się tymi problemami a inni zwykle nie dążą do ich gruntownego poznania. Toteż świadomość historyczna i polityczna w Polsce jest raczej na niskim poziomie — dominują emocje i mity, brakuje zaś chłodnych analiz i refleksji.

Jedna trzecia uczniów i studentów nie interesuje się sprawami politycznymi, a dalsze 40 proc. deklaruje umiarkowane zainteresowanie. Niektórzy pewnie ocenią ten stan jako niewłaściwy, lecz z pedagogicznego punktu widzenia kwestia może wyglądać inaczej. Bogdan Suchodolski wprost zaleca unikanie polityki. Jego zdaniem powinniśmy *„położyć tamę ekscytacji politycznej, zrezygnować z przekonania, że człowiek najpełniej wyraża się w działalności politycznej, gdyż nie jest to prawdziwe. Istnieją przecież inne alternatywy. Trzeba zwrócić swoje spojrzenie ku trzem wartościom ważniejszym dla człowieka niż polityka — ku pracy, współżyciu i kulturze".* Profesor nie bez racji sugeruje, że polityka niekorzystnie wpływa na życie moralne, lepiej więc żeby zajmowali się nią ludzie powołani do tego, a nie całe społeczeństwo.

Wydarzenia ostatnich lat spowodowały, że młodzież bardzo nieufnie traktuje wszelkich polityków. Większość młodzieży dostrzega wprawdzie korzyści odniesione przez nasze społeczeństwo w wyniku budowy socjalizmu, lecz równocześnie widzi tyle samo lub więcej niedomagań.

W przeciwieństwie do pokolenia ZMP współczesna młodzież nie ma ideowych oporów przed angażowaniem się w prywatnym rzemiośle i handlu. Nawet ludzie z dyplomami wyższej uczelni chętnie imają się pracy na własny rachunek. W ten sposób — jak słusznie zauważył Marek Miller — powstaje u nas nowe mieszczaństwo:

„Wykształcone, obyte (byli na Wschodzie i na Zachodzie), inteligentne, przedsiębiorcze, zorientowane, cwane. Zainteresowania: dobry film, dobra książka, dobrze urządzone mieszkanie, samochód, działka rekreacyjna, żona, dzieci, pies. Popolitykować, popić, popieprzyć, pograć w brydża. A dlaczego nie? Co w tym złego?"

Trzeba zgodzić się z autorem, że dla wielu bardzo zdolnych osób aktywizacja w zawodach *„mieszczańskich"* oznacza skierowanie energii na boczne tory; ich talenty powinny być wykorzystane w innych dziedzinach. Jednakże młodzi inżynierowie i magistrowie nie mogą oczekiwać, że natychmiast po studiach, w oparciu o sam stopień naukowy, otrzymają wysokie płace i stanowiska. Najpierw muszą przekonywająco potwierdzić w praktyce swoje kwalifikacje fachowe i moralne. A poza tym nie mogą zbyt łatwo rezygnować w przypadkach niedrożności kanałów awansu społecznego. Powinni być przygotowani na to, że w życiu trzeba walczyć.

Podczas różnych dyskusji akademickich na tematy polityczne, także w kręgach ekonomistów, socjologów i politologów, uderzają dwie rzeczy: przekonanie o omnipotencji władzy oraz łatwe uleganie emocjom i przez to niewrażliwość na rzeczowe argumenty. Nie tylko zresztą ludzie młodzi wyobrażają sobie że proces społeczno-historyczny toczy się zgodnie z życzeniami władzy, którą traktuje się jako monolityczny podmiot. Na podstawie licznych kontaktów z Polakami, profesor nauk politycznych z Chicago, Richard P. Farkas, powiedział Ewie Bonieckiej, że nasi młodzi naukowcy i studenci wykazują *„zadziwiający idealizm żeby nie powiedzieć powierzchowność, w ocenie działań mechanizmów polityczno-społecznych w różnych systemach"*. Zdaniem uczonego amerykańskiego, charakteryzuje ich *„dziecinna niemal wiara, że politycy wszystko mogą zrobić"*. Jak powszechna jest to u nas cecha można było się przekonać między sierpniem 1980 a grudniem 1981 roku. Młodzież, będąca w awangardzie tego wielkiego ruchu społecznego, nie miała pojęcia o niezwykłej złożoności systemu gospodarczego i politycznego nie rozumiała, że rozwój kraju jest wynikiem oddziaływania wielu rozmaitych interesów i sił — wewnętrznych i międzynarodowych. Niewiedza ta byłaby mniej groźna gdyby nie przesadna pobudliwość emocjonalna uniemożliwiająca obiektywną analizę sytuacji. W latach 1980—1981 i później nawet ci, którzy studiowali nauki społeczne, rzadko potrafili zdystansować się wobec wydarzeń i realistycznie oceniać rzeczywistość.

Różne postawy polityczne powstają w szczególności pod wpływem codziennego funkcjonowania instytucji państwowych w naszym systemie: przedsiębiorstw, sklepów zakładów usługowych, urzędów, szkół, ośrodków zdrowia itd. Cały ten zespół instytucjonalny wyznacza określony sposób życia oraz weryfikuje ideały: toteż doskonalenie go ma pośrednie lecz rozstrzygające znaczenie wychowawcze. Natomiast bezpośrednie oddziaływania na świadomość odgrywają znacznie mniejszą rolę w procesie kształtowania osobowości niż zazwyczaj się sądzi.

W jaki sposób wychowawcy i propagandziści powinni kształtować pozytywny stosunek do socjalizmu? Jaką najlepiej stosować koncepcję wychowania i propagandy? Moim zdaniem należałoby przyjąć następujący dekalog.

Po pierwsze — trzeba mówić prawdę i wystrzegać się kłamstw. W 1895 r. wybitny pisarz i pedagog Lew Tołstoj radził: *„Prawda jest pierwszym, głównym warunkiem skuteczności wpływu duchowego, a więc pierwszym warunkiem wychowania".*

Po drugie — należy podawać informacje wielostronne, ukazywać różne punkty widzenia. Świadomość uformowana jednostronnie ma charakter dogmatyczny i łatwo rozpada się w obliczu sprzecznych faktów.

Po trzecie — nie wolno stwarzać zakazanych owoców wiedzy. Przynosi to bowiem skutek odwrotny od zamierzonego. Owoc zakazany najbardziej pociąga i najlepiej smakuje.

Po czwarte — należy również mówić o niekorzystnych dla nas faktach. Jest to najlepsza recepta na zdobycie wiarygodności.

Po piąte — nie wolno narzucać swego zdania jako jedynie słusznego. Trzeba zawsze stwarzać możliwości wolnego wyboru. Już sygnalizowanie, że chcemy zmienić postawy odbiorców, wywołuje często nieufność.

Po szóste — nie można prezentować samych ideałów w oderwaniu od rzeczywistości i jej braków. Idealizowanie istniejącego stanu rzeczy prowadzi do odrzucenia zarówno ideałów jak i rzeczywistości.

Po siódme — nie wolno hamować krytycyzmu młodzieży. Zamiast ją ugrzeczniać, lepiej sugerować, że naprawę świata należy rozpoczynać od siebie, gdyż moralne prawo potępiania innych mają ci, którzy sami dają dobry przykład.

Po ósme — należy uczyć walki ze złem, permanentnej niezgody na zło. Powinna to być zasadnicza cecha człowieka socjalizmu, zbliżająca do siebie marksistów i chrześcijan.

Po dziewiąte — trzeba unikać pouczania i moralizowania, a oddziaływać własnym przykładem oraz uczyć rozumienia wydarzeń. Nauczyciele winni pokazywać, że świat jest całością, a jego rozwój procesem przyrodniczo-historycznym, w którym jednostki i narody nie mogą dowolnie urzeczywistniać swoich celów. Ludzie skazani są na ograniczoną podmiotowość i błędy w działaniu.

I na koniec — nie wolno skracać perspektywy historycznej i przedwcześnie twierdzić, że już mamy socjalizm. Polska nie tyle jest, co staje się socjalistyczna (przymiotnika tego notorycznie nadużywamy). Budowa socjalizmu musi być długotrwałym procesem dziejowym, w którym błędy i wypaczenia są nieuchronne. Kto tego nie rozumie, daje dowód wielkiej naiwności.

Młodzież nasza, co łatwo zauważyć, za dużo oczekuje od władzy i ustroju: ma być całkowicie sprawiedliwie, dobrze, nieomylnie. Z takimi wymaganiami można zawieść się nawet na opatrzności.

PATRIOTYZM I INTERNACJONALIZM

Socjologowie odkryli, że młodzi i starsi Polacy identyfikują się tylko z małymi grupami, jak rodziny i kręgi przyjaciół, oraz z całą wspólnotą narodową, a bardzo słabo angażują się emocjonalnie w struktury pośrednie: gospodarcze, administracyjne, społeczne, kulturalne. Zdaniem Stefana Nowaka — Polska stanowi jakby federację grup pierwotnych. Ale tak było już chyba w odległej przeszłości, o czym świadczy słynna teza Cypriana Kamila Norwida:

„Jesteśmy żadnym społeczeństwem. Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym". A dalej poeta pisał: *„Gdyby ojczyzna nasza była tak dzielnym społeczeństwem we wszystkich człowieka obowiązkach, jak znakomitym jest narodem we wszelkich Polaka poczuciach, tedy bylibyśmy na nogach dwóch, osoby całe i poważne — monumentalnie znamienite. Ale tak, jak dziś jest to Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł — i jesteśmy karykatury i jesteśmy tragiczna nicość i śmiech olbrzymi..."*

Patriotyzm nasz jest mało efektywny społecznie i moralnie. W ślad za deklaracjami miłości ojczyzny nie idzie odpowiednia troska o nią; ofiarność ma charakter okazjonalny; na co dzień dominują postawy roszczeniowe. Ponadto w ostatnich latach raczej wzrosła liczba osób słabo przywiązanych do kraju ojczystego. W zbiorowości badanych studentów i uczniów 15—18 proc. marzy o tym, żeby w przyszłości wyjechać z Polski na zawsze. Lecz znacznie więcej respondentów (aż ok. 30 proc.) chciałoby na stałe mieszkać w innym kraju. Poza tym blisko dwie trzecie opowiada się za umożliwieniem masowej emigracji zarobkowej.

Prawie wszyscy respondenci występują przeciwko ewentualnej wojnie między Wschodem a Zachodem, lecz ponad 70 proc. raczej wierzy w to że może dojść do jej wybuchu. Nie można jednak powiedzieć że większość żyje w lęku przed wojną. Na otwarte pytanie ankietowe — *„Czy jest coś takiego, oprócz śmierci, czego się bardzo boisz, że może cię spotkać w najbliższej przyszłości?"* — jedynie 27 proc. ogółu uczniów wymieniło wojnę.

SAMOPOCZUCIE MŁODZIEŻY

Na początku 1985 r. tylko 4—8 proc. miało nadzieję, że w najbliższym czasie będzie lepiej i jedna czwarta nie oczekiwała żadnych zmian, natomiast co drugi student oraz co trzeci uczeń spodziewali się pogorszenia sytuacji. Ale równocześnie — co bardzo interesujące — respondenci nie oceniali skrajnie warunków materialnych własnych rodzin.

Najwięcej badanych (57 proc. studentów i 67 proc. uczniów) zaliczyło się do kategorii średniej. Tylko jedna dziesiąta uznała sytuację materialną rodziny za złą i zaledwie 2 proc. za bardzo złą — w tej kwestii uczniowie liceów i techników oraz studenci byli zgodni. Jako dobre oceniło swoje warunki 27 proc. studentów i 16 proc. uczniów, a najwyższą kategorię podkreśliło 1 proc. pierwszych i 3 proc. drugich. Przeciętnie w miesiącu maturzyści ze szkół zawodowych dysponowali kwotą 1439 zł, którą mogli wydawać w zależności od swego uznania, zaś licealiści mieli znacznie mniej pieniędzy (813 zł) na własne wydatki.

Na pytanie ankietowe — *„Czy ogólnie biorąc jesteś człowiekiem szczęśliwym (według twego rozumienia szczęścia)?"* — odpowiedziało twierdząco 59 proc. licealistów, 51 proc. techników i 55 proc. studentów, a przeczące jedna czwarta we wszystkich trzech zbiorowościach. W poprzednich latach odsetek nieszczęśliwych utrzymywał się na podobnym poziomie. Najlepsze wyniki odnotowano w czerwcu 1980 roku, kiedy to 68 proc. studentów uważało się za szczęśliwych i tylko 16 proc. za nieszczęśliwych. Ujmowany w ten sposób stan samopoczucia w małym stopniu — co ciekawe — zależał od samooceny sytuacji materialnej rodziny, najsilniej zaś związany był z samooceną stanu zdrowotnego. Osoby o słabej kondycji psycho-fizycznej najczęściej czuły się nieszczęśliwe. W trakcie badań nie potwierdziła się hipoteza, że młodzież najbardziej religijna w największym stopniu jest szczęśliwa.

Jak młodzież nasza czuje się w szkole? Otóż najwięcej zadowolonych ze swojej szkoły jest w technikach — aż niemal cztery piąte indagowanych. Natomiast dużo gorzej jest w liceach, gdzie stwierdzono 38 proc. niezadowolonych i 47 proc. zadowolonych. Dla zdecydowanej większości uczniów kontakt ze szkołą ogranicza się, niestety, do uczestnictwa w lekcjach, ponieważ mały jest udział młodzieży w organizacjach szkolnych i kołach zainteresowań. Na podkreślenie za to zasługuje fakt że bardzo dużo respondentów ma zaufanie do wychowawcy swojej klasy — 60 proc. licealistów i 71 proc. techników. Nie ma (raczej) zaufania co czwarty uczeń w liceum i co piąty w technikum. Wychowawcy powinni jednak lepiej dobierać tematykę lekcji pozostających do ich dyspozycji, gdyż tylko 16 proc. licealistów i jedna piąta techników uważa omawiane zagadnienia za interesujące.

Ostatnio sporo mówi się i pisze o zjawiskach patologicznych wśród młodzieży. Najpoważniejszym tradycyjnie problemem jest spożywanie alkoholu. W 1980 r. przyznawało się do tego 60 proc. uczniów warszawskich szkół ponadpodstawowych. Przy czym najwięcej młodzieży alkoholizuje się w szkołach zawodowych. Innym groźnym zjawiskiem jest narkomania. Według różnych źródeł zażywa w Polsce środki odurzające od 100 tys. do 500 tysięcy osób. Gdyby ta druga liczba była prawdziwa, to narkomani stanowiliby 5,6 proc. ogółu młodzieży, czyli co dwudziesty młody człowiek doświadczyłby tego nałogu. Lecz w istocie odsetek narkomanów jest mniejszy, ponieważ niektórzy nie osiągnęli jeszcze 15 roku życia, a inni liczą ponad 29 lat. W 1983 r. zarejestrowanych w MO było 13 931 narkomanów — w tym 12 proc. do lat 17 oraz 54 proc. w wieku 18—24 lat. W owym roku zmarło 10 osób na skutek przedawkowania narkotyków.

AWANS CZY DEGRADACJA SPOŁECZNA?

Młodzież lat osiemdziesiątych żyje zupełnie inaczej niż poprzednie młode pokolenia Polaków. Niezależnie od kryzysu, wiedzie jej się nieporównanie lepiej — jest dobrze ubrana, nieźle odżywiona, ukończyła minimum dziesięć lat szkoły. Rodzice przeważnie zadbali o to, żeby ich dzieci były szczęśliwe i często nie mogą pojąć, dlaczego one jeszcze narzekają. Tak jest również w innych krajach socjalistycznych. Na przykład: matka bohaterki współczesnej powieści radzieckiej „Bezsenność" — jak czytamy — *„W żaden sposób nie mogła uwierzyć, że istnieją takie trudności, których nie można by było pokonać, a już w ogóle nie wierzyła, by ludzie młodzi, syci, dobrze ubrani mieszkający w domach z centralnym ogrzewaniem, mogli mieć jakieś godne uwagi kłopoty".* Jeśli oglądamy stare fotografie i patrzymy na dzisiejszą młodzież, wtedy nietrudno przyznać, że wyrosło nam „dorodne" pokolenie.

W powieści Wiesława Myśliwskiego „Kamień na kamieniu" przewodniczący Maślanka następująco zachwala wdzięki swej młodej sekretarki: *„Abyś ty widział ją nago. Ech, chciałoby się drugie tyle żyć. Ano wykarmione jak trzeba, to i wszystko jak trzeba. Nie to, co w naszej młodości. Pamiętasz, ile dziewuch krzywe nogi miało? Gęba Matki Boskiej, a nogi obręcze. Te ich witaminy. No, i chleb, chleb, bracie, nikt go już nie pragnie, to rosną panienice, że tylko je pod siebie brać. A co z tego, kiedy człowiek na Józkę skazany".*

Złą młodość dawną przeciwstawia też obecnej Tadeusz Konwicki. W utworze wspomnieniowym „Kronika wypadków miłosnych" pisze: *„To były czasy krzywych nóg, zwanych nie wiadomo dlaczego angielską chorobą. To była epoka ospowatych twarzy, o których się mówiło, że diabeł miócił na nich groch. To były lata bezzębności i nikogo nie przerażały usta wypełnione szczerniałymi pieńkami. (...) A później nagle, nie wiadomo jak i kiedy zwyciężyła młodość. Młodość wolna od kalectw, chorób i brzydoty. Młodość rozkochana w sobie. Młodość pełna pogardy dla niemłodych. Młodość piękna i długowieczna".*

Czy to wszystko młodzi Polacy mogą zrozumieć? Nie mogą. I nie ma na to rady. Z aktualnej struktury życia wyrastają inne odniesienia oraz nowe potrzeby i aspiracje.

Niektórzy działacze młodzieżowi i publicyści głoszą, że w najtrudniejszej sytuacji materialnej, obok emerytów i rencistów, znajdują się dziś młode małżeństwa. A co wynika z ustaleń naukowych? Badania na ten temat wśród małżeństw, w których jedno z małżonków nie przekroczyło 30, a drugie 35 roku życia, przeprowadził w pierwszym kwartale 1984 r. Główny Urząd Statystyczny. W owym czasie 59 proc. użytkowało samodzielnie całe mieszkanie, 38 proc. miało co najmniej jeden pokój u rodziców lub innych właścicieli, a zaledwie 2,5 proc. mieszkało w tym samym pokoju z innymi osobami lub zajmowało pokój przechodni. Samodzielne mieszkanie posiadało 82 proc. małżeństw o stażu przekraczającym 10 lat, lecz tylko 25 proc. ze stażem poniżej 1 roku. Połowa dysponujących całym mieszkaniem uzyskała je w ciągu jednego roku po ślubie. Przytoczone dane (reprezentatywne dla 90 proc. młodych małżeństw w Polsce) ukazują stan lepszy chyba od spodziewanego. Sami respondenci następująco oceniali własną sytuację mieszkaniową: bardzo dobra — 5 proc., dobra — 22 proc., średnia — 39 proc., zła — 21 proc., bardzo zła — 13 proc. Stanowczo niezadowolone było więc co trzecie młode małżeństwo.

Badane przez GUS małżeństwa dysponowały paradoksalnie dobrym wyposażeniem w przedmioty trwałego użytkowania: co czwarte posiadało samochód, 28 proc. pralkę automatyczną, 90 proc. telewizor czarno-biały, 94 proc. chłodziarkę lub zamrażarkę, 54 proc. magnetofon. Najlepszą sytuację ekonomiczną miały gospodarstwa domowe pracowników zatrudnionych na stanowiskach nierobotniczych, mężowie zarabiali tu wprawdzie mniej od robotników, lecz za to ich żony częściej pracowały zawodowo. W sumie, jak się okazało, młode małżeństwa żyły na poziomie nie gorszym niż ogół rodzin w naszym kraju, choć przecież dopiero wystartowały do samodzielnego życia. Tylko 4 proc. oceniało swoją sytuację materialną jako bardzo złą i 20 proc. jako złą, większość zaś uznała ją za średnią (60 proc.), a 15 proc. za dobrą i 1 proc. bardzo dobrą. Samoocena ta wypadła nieco lepiej nawet niż w końcu 1982 r. dla reprezentacji wszystkich grup ludności Polski. Z raportów GUS wiemy ponadto, że rodzice nie tylko dobrze wyposażyli dzieci na nową drogę życiową, lecz nadal udzielają im pomocy. Nic więc dziwnego, że młodzi nie garną się zbytnio do podejmowania prac dodatkowych. Wolą żyć skromniej, bądź wykorzystać krewnych, niż dorabiać.

Nie można mówić o żadnej degradacji młodzieży, gdyż faktycznie w sposób radykalny poprawiła się pozycja tej kategorii w systemie społecznym i moralnym. Jest to przede wszystkim zasługa rodziców, lecz również państwa. Przed wojną szczególnie trudna była sytuacja dzieci wiejskich, które stanowiły trzy czwarte ogółu. *„Dziecko na wsi* — stwierdza historyk — *było przede wszystkim siłą roboczą, i to już od najmłodszych lat. Traktowano je przeważnie surowo i twardo, nieraz więcej troski i starań poświęcano krowie żywicielce niż jemu".*

O ile przed i jakiś czas po wojnie na pierwszym planie byli dorośli to później nastąpiła prawdziwa rewolucja społeczno-kulturalna i zapanowała tzw. kultura prefiguratywna. Teraz życie koncentruje się na dzieciach i młodzieży, a dorośli i starzy przejęli jakby funkcje służebne — spadł też ich autorytet i prestiż. Najlepiej bodaj ujął istotę tej przemiany Tadeusz Konwicki:

„Za tamtych lat dorośli chodzili wyprostowani, pyszni i czcigodni. Wymagali dla siebie szacunku, miłości, pełnego zaufania. Nie musieli się jeszcze kryć po kątach albo schodzić z drogi czy przebierać się i charakteryzować na młodych. Byli tak rozwielmożnieni, że podawali ręce do całowania".

A dziś, odwrotnie, młodość jest *„pełna pogardy dla niemłodych"*. Pojawiły się znamienne określenia: *„wapniaki", „nietoperze", „zgredy".*

O uzyskanie wpływu na młodzież i zdobycie jej poparcia zabiegają dziś różne siły ideowe i polityczne. Ogromną wagę do tej kwestii przywiązuje Kościół. W czerwcu 1982 r. papież Jan Paweł II mówił:

„W młodzieży, która tak tłumnie mnie otacza widzę jutrzenkę społeczności trzeciego tysiąclecia, oni ją przygotowują dobrze i z radością. I przypominam odpowiedzialnym za Kościoły lokalne biskupom i księżom, że na pierwszym miejscu w ich pracy duszpasterskiej winna stać młodzież, która będzie podporą Kościoła i społeczności w roku 2000".

Na temat pozyskania młodzieży sporo mówi się, ale nie wypracowano jeszcze odpowiedniego języka, atrakcyjnego programu oraz autentycznych form działalności. Ale należy przy tym pamiętać o następującej radzie W. I. Lenina:

„Takim ludziom trzeba ze wszech miar pomagać traktując ich błędy z jak największą wyrozumiałością, starając się korygować je stopniowo i głównie w drodze przekonywania, a nie walki. Nierzadko tak bywa, że przedstawiciele pokolenia ludzi już posuniętych w latach i starych nie umieją ustosunkować się w sposób właściwy do młodzieży, która siłą rzeczy musi dochodzić do socjalizmu inaczej, nie tą drogą, nie w tej formie, nie w tych warunkach co jej ojcowie. (...) Za całkowitą samodzielnością związków młodzieży, ale i za całkowitą wolnością koleżeńskiej krytyki jej błędów! Schlebiać młodzieży nie powinniśmy"

No, właśnie — nic dodać, nic ująć wystarczy stosować w praktyce.

EDMUND LEWANDOWSKI

(2)

Jaka jest młodzież?

Od 1974 roku inżynier Ludwik Andrzejewski wspólnie z prof. Tadeuszem Godyskim-Ćwirko starali się zainteresować kogo trzeba monolityczną metodą wznoszenia domów. Jak twierdzą znawcy lepszą i tańszą od dotychczas stosowanej wielkiej płyty. Pisali memoriały do najwyższych władz, publikowali wyniki swoich badań w pismach fachowych — bezskutecznie. Dopiero kiedy rok 80 uświadomił, że trzeba szukać innych rozwiązań, również w budownictwie, ministerstwo podjęło decyzję o włączeniu do PR—5 dwóch tematów: konstrukcja budynku w systemie monolitycznym oraz nowy rodzaj ściany osłonowej, która jest wynalazkiem Andrzejewskiego.

MAREK MAMOS

(2)

Perspektywy budownictwa?

1 stycznia 1982 roku Andrzejewski został mianowany kierownikiem pracowni budownictwa monolitycznego P-1 oraz generalnym projektantem. Zakończył się pierwszy, siedmioletni okres udręki nowatora, zaczął drugi, trzyletni.

1 kwietnia nastąpiła zmiana dyrektora Inwestprojektu. Już 26 kwietnia nowy dyrektor inż. W. P. wydał zarządzenie, które można streścić następująco: *„W oparciu o wniosek zespołu doradczego przedstawiony na piśmie oraz ustalenia z narady aktywu zakładów w sprawie podziału funduszu premiowego zarządzam powołanie komisji. Wyżej wymieniona komisja dokona analizy przyczyn powstania trudności finansowych w pracowni P-1 oraz zaproponuje rozwiązania zapewniające uzdrowienie sytuacji. Przewodniczący komisji dr J. W. upoważniony został do żądania wszelkich wyjaśnień mających związek z wykonywaniem przez komisję zaleconych czynności".*

Każdy, kto choć trochę zna się na pracach projektowych powinien wiedzieć, że projektowanie od podstaw budynku w nowej technologii trwa w naszych warunkach przynajmniej rok. W tym czasie pracownia nie może dawać zysku, bo niczego nie sprzedaje. Sprzedaż dokumentacji została zaplanowana w harmonogramie dopiero na trzeci kwartał, a nie po trzech miesiącach. Musieli o tym wiedzieć i dyrektor i członkowie komisji.

W tym czasie dyr. W. P. odwiedził pracownię. Wszyscy zatrudnieni wytknęli mu brak opieki nad pracownią, chęć jej zlikwidowania. Mówili o tym, że ludzie odchodzą, bo przecież każdy chce zarobić. Ci co zostali, robili bardzo trudną robotę prawie za darmo, bo tylko za podstawowe uposażenie. To nie były składanki jak w innych pracowniach, gdzie z gotowych elementów układało się plan domu, a za to otrzymywało wysokie premie. To była bardzo ciężka, twórcza praca. W Polsce Ludowej takich konstrukcji jeszcze się nie robiło.

W połowie maja komisja zakończyła działalność i postawiła wnioski. Głównym zarzutem był oczywiście brak sprzedaży w I kwartale. Zupełnie bezzasadny. Pracownia starała się o zakończenie niektórych części dokumentacji znacznie przed terminem, by właśnie stać się samofinansującą. Projektowanie szłoby jeszcze szybciej przy pełnej obsadzie przydzielonych przez dyrekcję 27 etatów. Pracowało jednak tylko 18 osób, bo tylko tylu znalazło się zapaleńców pragnących tworzyć coś nowego bez oglądania się na pieniądze.

Tymczasem w kolejnym punkcie komisja uznała, że w pracowni występują braki kadrowe. Na szczęście Andrzejewski miał kilkanaście podkładek w postaci pisemnych wniosków o zwiększenie zatrudnienia.

Inny zarzut dotyczył braku umowy ze zleceniodawcą czyli z RSM „Bawełna". Zarzut był prawdziwy, ale komisja nie zadbała o wyjaśnienie dlaczego. Wiadomo, że bezskuteczne projektowanie systemu monolitycznego odbywało się w Inwestprojekcie już wcześniej. Wtedy powinna być zawarta umowa.

Komisja ustaliła jeszcze kilka nieistotnych dla sprawy szczegółów i zaproponowała... odciążenie generalnego projektanta czyli inż. Andrzejewskiego od obowiązków kierownika pracowni, powołanie nowego kierownika. Podkreślono, że załatwienie wniosków komisji jest niezbędne „dla uniknięcia dezintegracji i rozkładu pracowni".

Andrzejewski tym razem się obronił. Kierowani przez niego ludzie zaprojektowali budynek zgodnie z harmonogramem do 15 grudnia.

Budowy podjęło się Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 2 przede wszystkim dlatego, że nie miało własnej fabryki domów. Ponadto spółdzielnia obiecała budowlanym 60 mieszkań. Będzie to dwunastokondygnacyjny, dziewięcioklatkowy blok. Zamieszka w nim ponad 200 rodzin, czyli blisko 750 osób. Jeśli zastosujemy rachunek ciągniony, oszczędności z takiego budynku wyniosą około 60-ciu milionów złotych, w porównaniu do jego bliźniaka z fabryki domów. Przy samej tylko budowie zaoszczędzić można 3343 tony węgla. Corocznie na ogrzewanie nie trzeba będzie spalić 723 ton węgla. Nie trzeba go przywozić dziesiątkami wagonów. Nie trzeba budować magistral energetycznych. Przejście na tego typu budownictwo w Polsce pozwoli zaoszczędzić rocznie około 10 mln ton węgla. Pomnóżmy je przez 50 dolarów za tonę. Ileż kopalń pracuje niepotrzebnie tylko na potrzeby budownictwa?

Oszczędności wynikają między innymi z zastosowania oryginalnej, bardzo ciekawej ściany osłonowej tzw. rozdzielczej. Będzie ona prawie pięciokrotnie „cieplejsza" niż ściana o grubości 2 cegieł.

W czasie trzyletniej historii, próby likwidowania pracowni podejmowano kilkakrotnie. Szczytem ignorancтwa — zdaniem Andrzejewskiego — było ogłoszenie decyzji dyrektora o likwidacji pracowni w dniu 2 lutego 1983 roku wobec całego personelu. Ponadto dyr W. P. oznajmił, że istnieje potrzeba zwolnienia 5 osób, tylko nie wiadomo kogo. W pracowni zawrzało. Wszyscy widzieli się już na bruku. Interwencje kierownika znowu były skuteczne, ale i tak kilka osób odeszło. Nikt nie chce pracować w atmosferze niepewności. Ludzie wolą wiązać swoje życie ze stałym zajęciem.

Tylko dzięki uporowi kierownika udało się w następnych latach zaprojektować jeszcze jeden budynek nr 503 na Widzewie, osiedle w Aleksandrowie oraz wykonać kilka innych prac.

Na wiosnę 1983 roku Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 2 rozpoczęło kopanie fundamentów pod pierwszy prototypowy blok monolityczny na Widzewie. Przyszły nowe kłopoty. Ministerstwo Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych wydało zarządzenie, na mocy którego trzeba uzyskiwać świadectwo dopuszczające do ogólnego stosowania wszelkiego typu nowe rodzaje ścian osłonowych. Dyrektor Instytutu Techniki Budowlanej, upoważniony do wydawania atestów, w piśmie do wojewodów zapewniał, że procedura nie będzie trwała dłużej niż trzy miesiące. Andrzejewski wystąpił z wnioskiem o odpowiednie badania swojej ściany rozdzielnej znacznie wcześniej niż to było potrzebne, przewidując trudności. I słusznie. Na atest czekał zamiast trzech — dwanaście miesięcy.

— Urzędy pracują same dla siebie. Interesanci tylko przeszkadzają — stwierdza konstruktor i podaje kolejny przykład.

— Odpowiednie wydziały Urzędu Miasta Łodzi zatwierdzały założenia techniczno-ekonomiczne projektu przeszło rok. Ja miałem rok na wszystkie prace projektowe. Plany oddałem w terminie, a nie dostałem jeszcze zatwierdzonych założeń. Czarna rozpacz człowieka ogarnia, kiedy musi wszystko wyduszać z urzędników.

Ostatnio, pojechałem do wydziału architektury. Postawiłem samochodzik, jak zawsze, przed urzędem na parkingu. Był prawie pusty. Wracam, zastaję kartkę, że jeżeli nie wyjaśnię, dlaczego tu zostawiłem samochód, to będę miał nieprzyjemności. Wytłumaczyć trzeba się u dyrektora takiego, a takiego. Idę, mówię, że załatwiałem sprawę 10 minut, cały parking był wolny, więc gdzie się miałem zatrzymać. Jakie przestępstwo popełniłem? Niech mi wyjaśni.

— Parking jest tylko dla pracowników i dla tych, którzy mają specjalne karty.

— Jestem członkiem Rady Naukowej przy prezydencie. Niech pan mi da taką kartę.

— A nie, proszę pana, trzeba podanie z uzasadnieniem. — Zrezygnowałem.

Przez cały, trzyletni okres istnienia pracownia budownictwa monolitycznego miała trudności finansowe. Nie udało się nikomu wytłumaczyć, że pracochłonność w tworzeniu nowych konstrukcji jest nawet dziesięć razy większa od rutynowych zajęć. Dlatego właśnie inne pracownie uzyskiwały doskonałe wyniki finansowe a my klepaliśmy biedę".

W pierwszym okresie doszło nawet do tego, że inne pracownie musiały pożyczyć pieniądze na wynagrodzenia dla P-1, bo w przedsiębiorstwie nie było funduszy na tak zwany postęp techniczny. Okazało się, że w związku z wejściem w życie reformy gospodarczej Inwestprojekt stał się zlepkiem pracowni dbających tylko o własne interesy, o to, żeby jak najwięcej pieniędzy było do wypłaty. Nikt nie martwił się tworzeniem jakichś dodatkowych funduszy.

Prac projektowych nie chciała finansować spółdzielczość.

W listopadzie 1983 roku Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa zwróciła rachunki bez akceptacji z następującym komentarzem *„Zdajemy sobie sprawę z faktu, że opracowanie dokumentacji prototypowej dla przyjętej technologii wymaga olbrzymiego nakładu pracy, jednakże RSM „Bawełna" nie może ponosić całkowitych kosztów opracowywania tej dokumentacji, gdyż byłoby to sprzeczne z interesami członków spółdzielni".*

Z tego pisma jasno wynika, że spółdzielcy nie są zainteresowani budowaniem tanich i oszczędnych w eksploatacji domów. I to jest prawda. Spółdzielni na przykład nie zależy na tym, aby mniej energii wychodziło na ogrzewanie, bowiem płaci od metra kwadratowego powierzchni mieszkania, co nie ma z rzeczywistymi kosztami żadnego związku. Im chodzi tylko o to, aby nie dać paru złotych więcej za dokumentację. Pieniędzy, które przy prawidłowym systemie rozliczeń zwróciłyby się z nawiązką w pierwszym kwartale eksploatacji budynku.

Przewidując trudności finansowe inżynier Andrzejewski już w październiku 1981 roku wystosował pismo do Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego z prośbą o dofinansowanie rozpoczynających się wtedy prac. Bez odpowiedzi. Informacja o stosunku centrali spółdzielczej do projektu nadeszła dopiero w 83 roku. Znów po interwencji sejmowej komisji. *„Ponieważ przedmiotowy temat w szczególny sposób interesuje spółdzielczość mieszkaniową..."* — Andrzejewski czytając podkreśla słowo szczególny — *„...i wiążemy duże nadzieje z jego pozytywnymi wynikami, będziemy interesowali się dalszym przebiegiem prac. Udzielimy w razie potrzeby niezbędnej pomocy organizacyjnej i merytorycznej".* Podpisał B. Saar prezes CZSBM.

— Ja mam w nosie pomoc organizacyjną i merytoryczną. Tu były potrzebne normalne pieniądze, żeby ludziom zapłacić za robotę. Co to znaczy „wiążemy duże nadzieje", „będziemy się interesowali". Cholery można dostać z takimi instytucjami. Nie chcą dać pieniędzy na prace badawcze, którymi się interesują w sposób szczególny, a w tym samym czasie Inwestprojekt otrzymywał od CZSBM bzdurne zlecenia, o których było z góry wiadomo, że pójdą na półkę. Na przykład taki temat „Studium wejść do budynków". Absolutnie nonsensowna historia, ale na to były miliony.

Od kilku miesięcy inżynier Andrzejewski nie pracuje w Inwestprojekcie. Sam fakt odejścia komentuje następująco — „Zrobiłem co swoje i instytucja jako taka absolutnie mnie nie interesuje. Głowę mam za słabą, żebym dalej przebijał mury. Już po prostu straciłem cierpliwość. Przyszedł koniec moich możliwości. Nie mam ochoty dalej walczyć z wiatrakami. To ja jako hobbista mam ratować budownictwo i tracić przy tym zdrowie? Jest przecież odpowiednie ministerstwo, dziesiątki instytutów. Od dwudziestu lat zajmuję się wielką płytą, która do dziś nie jest dopracowana. I oni śmią twierdzić, że uzdrowią budownictwo. Przecież to niemożliwe.

Dyrekcja Inwestprojektu zamknęła pracownię, która wykonała swoje zadania, sprzedała projekty i nie mogła więcej przynosić zysków. Zastępca dyrektora Inwestprojektu do spraw ekonomicznych mgr W. twierdzi, że biuro jest gotowe w każdej chwili przystąpić do dalszego projektowania budynków monolitycznych. Nawet po cichu na to liczy. Jeżeli wypali 501, powinny posypać się zamówienia.

Na razie nie jest najlepiej. Przedsiębiorstwa budowlane przyzwyczaiły się do wielkiej płyty, do pracy w fabrykach domów, a nie na placach budów, więc stronią od nowych koncepcji. Znajdując się w pozycji monopolisty, dyktują warunki. Na pytanie dlaczego nie mamy gdzie mieszkać — jeden z dyrektorów łódzkiego kombinatu budowlanego odpowiedział mi, że państwo nie ma pieniędzy na inwestycje mieszkaniowe. On i jemu podobni nie potrafią zrozumieć, że pieniądze nie biorą się z nieba. Trzeba oszczędzać także w budownictwie.

Ten sam dyrektor nie widzi możliwości wprowadzenia u siebie monolitu z uwagi na brak szalunków, oprzyrządowania, brak cieśli. Jednym słowem nie ma czym tego robić. Dziwne argumenty skoro w monolicie nie potrzeba cieśli, oprzyrządowania. Skoro wytwórnie szalunków typu Acrow pracują na 10 proc. mocy, a ostatecznie szalunki można robić z desek.

Chodzą słuchy, że „Bawełna" chce odstąpić od realizacji ściany osłonowej rozdzielczej — wynalazku Andrzejewskiego. Wszyscy są zgodni, że dotychczasowe ściany są złe. Uważają pomysł Andrzejewskiego za kolosalny krok do przodu, a jednak...

Koronnym argumentem zwolenników utrzymania status quo w budownictwie jest twierdzenie, że skoro istnieje ileś fabryk domów, to nie można ich po prostu zamknąć i dlatego jesteśmy skazani na wielką płytę. „Bzdura — odpowiada od razu Andrzejewski. Wiadomo, że fabryki domów przynoszą rocznie milionowe straty, trzeba je więc likwidować jak najszybciej". Oczywiście nie można robić tego bezmyślnie. Najpierw musi zostać przygotowana inna technologia, tak aby nie nastąpił spadek liczby oddawanych mieszkań.

Do opanowania monolitu potrzebny jest najwyżej rok. Nie wydaje się wielkich pieniędzy na przygotowanie produkcji. Fabrykę domów można przestawić na wytwarzanie „galanterii" prefabrykowanej. W ostateczności może ona wykonywać ściany osłonowe".

Można ją też najzwyczajniej zamknąć. Przez dwa lata przedsiębiorstwo nie będzie płaciło amortyzacji. Po dwóch latach trzeba obiekt uruchomić (wytwarzanie galanterii) albo zniszczyć i wtedy amortyzacja nie rozliczona wpisana zostanie do strat nadzwyczajnych. Obecnie większość fabryk domów jest już całkowicie lub w znacznym stopniu zamortyzowana więc te jednorazowe straty będą niewielkie w porównaniu do obecnych, corocznych. Wniosek — zaniechanie produkcji wielkiej płyty może przynieść tylko korzyści.

Jest jeszcze jedna strona tej sprawy. Osobista. Andrzejewski twierdzi, że Inwestprojekt nie wypłacił mu wynagrodzenia za opracowanie ściany osłonowej. Temat został kupiony w ramach PR-5 za milion trzysta tysięcy złotych, z czego zgodnie z przepisami na wypłatę dla projektantów powinno przypaść około jednej czwartej. Wiele dokumentów wystawionych przez Inwestprojekt stwierdza, że Andrzejewski jest autorem tego opracowania, dlatego należy mu się lwia część wynagrodzenia. Dokładnie zapoznałem się ze sprawą i jestem przekonany, że konstruktor znowu ma rację. Spór rozpatrywany jest przez odpowiednią komisję. Oszczędzę czytelnikom szczegółów, bo zajęłyby one kilka stron, a jak twierdzi sam zainteresowany szkoda na to czasu. Stosunek Inwestprojektu do konstruktora został już wcześniej dokładnie określony.

Chciałbym natomiast opisać domek jednorodzinny będący własnością inżyniera Andrzejewskiego. Powstał na początku lat siedemdziesiątych i kosztował tylko 110 tysięcy złotych. Zastosujemy przelicznik 10. Obecna cena wyniesie 1 milion 100 tys., to znaczy cztery razy mniej, niż przeciętny koszt budowy domu jednorodzinnego.

Domek Andrzejewskiego ma 90 metrów kwadratowych, cztery pokoje, kuchnię, łazienkę, ubikację osobno oraz korytarz, z którego wchodzi się do wszystkich pomieszczeń. Budowały go trzy osoby przez trzy miesiące. Powstał dzięki zwykłej wiedzy inżynierskiej. Sekret polega na doskonałym wyizolowaniu termicznym, co pozwoliło postawić bardzo cienkie ściany zewnętrzne. Na całość wyszło 11 tysięcy cegieł zamiast tradycyjnie 50, czy 60 tysięcy. Izolacja jest tak dobra, że budynek ogrzewany jest za pomocą prądu elektrycznego, co niewiele kosztuje.

Druga sprawa. Wszystkie ściany nośne są w układzie poprzecznym o grubości pół cegły, a to dlatego, że stropy niewiele ważą. Metr kwadratowy — 50 kg, podczas gdy normalnie — przynajmniej 500. Na dachu są deski, tynk, paroszczelna powłoka i bardzo lekka pianka termoizolacyjna.

Przykład ten powinien przekonać niedowiarków, że Andrzejewski jest naprawdę doskonałym fachowcem. (Wszystkim budującym się udziela chętnie pomocy).

Konstruktor chciał rozpowszechnić swój projekt, ale podobnie jak z budowaniem monolitycznym, wszędzie natrafiał na mur obojętności. W najlepszym razie odpowiadano — Panie, nam się nie opłaca stawiać tanich domów, bo żeby wypracować taki sam zysk, trzeba się więcej napracować.

— To jest ogromne nieporozumienie — powtarza stale inżynier Andrzejewski — polegające na tym, że ci sami ludzie, którzy doprowadzili nasze budownictwo do katastrofalnego stanu, do przemarzających ścian, w których marnuje się wełnę mineralną, do rabunkowej gospodarki cementem, energią, do fatalnego wykonawstwa teraz mają budownictwo ratować. Czy pan to sobie wyobraża?

Charakterystyczne jest to, że żadna instytucja, której teoretycznie powinno zależeć na budownictwie począwszy od ministerstwa poprzez spółdzielczość do władz miasta nie pomogła konstruktorowi. Nie chodzi o deklaracje, o stwarzanie klimatu (chociaż z tym też było fatalnie), o poklepywanie po ramieniu i czekanie na wynik. Chodzi o konkretną pomoc w stworzeniu warunków do prac projektowych, o fundusze, pracownię, kreślarzy, o spokój.

Cała historia świadczy o tym, że na kierowniczych stanowiskach znajduje się jeszcze wiele osób niekompetentnych, nie potrafiących myśleć ekonomicznie. I to jest jedno z wielkich nieszczęść naszego kraju.

Z ostatniej chwili: Łódzki Kombinat Budowlany — Zachód przeżywający trudności finansowe nie będzie budował osiedla bloków monolitycznych w Aleksandrowie. Osiedle zostanie prawdopodobnie przeprojektowane na wielką płytę. Zrobiony zostanie krok wstecz, ale kogo to obchodzi.

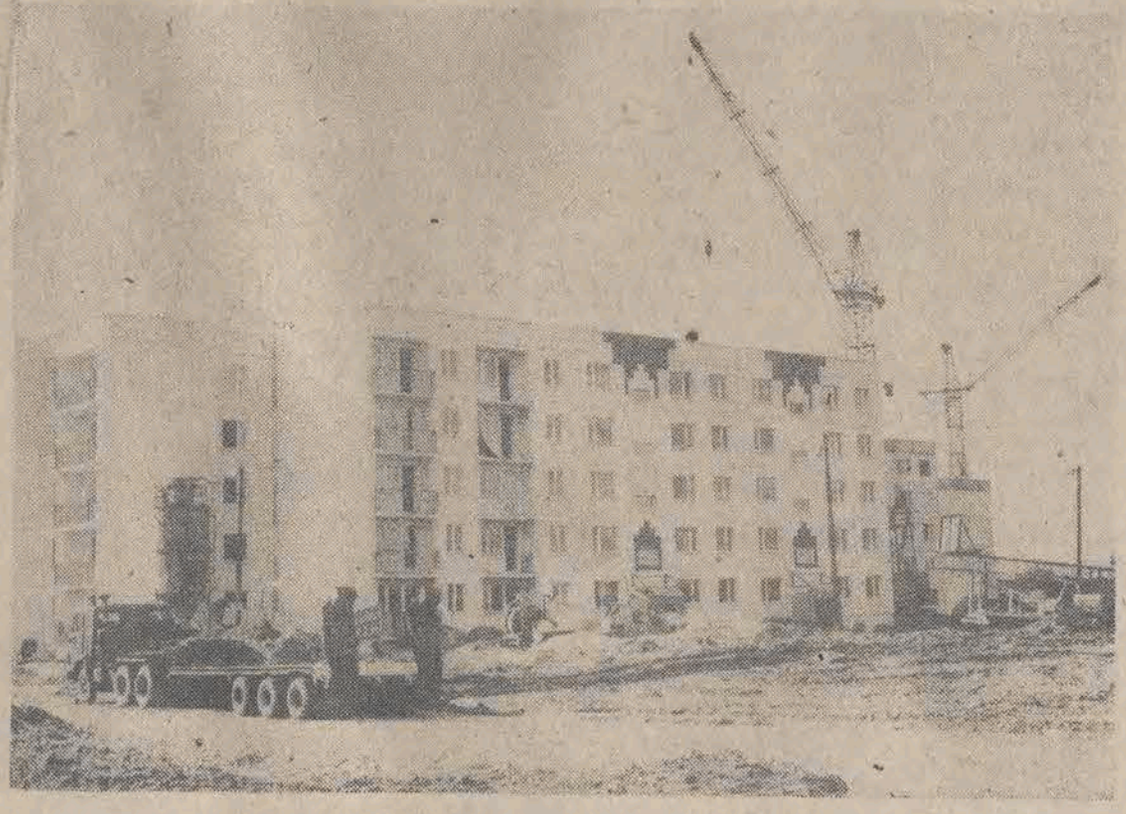

Foto: Grzegorz Galasiński

Szara i smutna Jesień '85

ze str. 1

tygowali się nawet, aby zetrzeć kurz, jaki osiadł na eksponatach od czerwcowych Targów Międzynarodowych.

Nawet pawilon w którym prezentowały się przedsiębiorstwa polonijno-zagraniczne był znacznie mniej efektowny, niż w czasie Wiosny 85. Co prawda pachniało w nim ładnie (modny wiosną zapach Masumi zastąpiło piżmo), ale stoiska poszczególnych firm prezentowały się mniej kolorowo, a nawet jakby bardziej ubogo.

W pozostałych pawilonach panowała szarzyzna, której ogólnej tonacji zmienić nie mogły znajdujące się tu i ówdzie, efektownie zaprezentowane atrakcje.

Dlaczego Jesienne Targi Krajowe robiły niezbyt radosne wrażenie? Nasuwa się odpowiedź alternatywna: albo przygotowujący ekspozycję plastycy tym razem nie błysnęli talentem, albo też nie mieli z czego przygotować efektownych stoisk. Wydaje się, niestety, że bliższa prawdy jest druga część odpowiedzi — a ogólny, niezbyt ciekawy efekt wskazuje na występowanie pewnych niepokojących zjawisk w przemysłach produkujących na potrzeby konsumpcyjne.

BRZYDSZE I GORSZE?

Wzornictwo zaprezentowane na targach, zwłaszcza w branży odzieżowej i dziewiarskiej nie zasługuje generalnie nawet na ocenę dobrą, można przypuszczać, że i użytkowa jakość wyrobów nie jest najlepsza. Producenci, którzy ciągle nie mają skutecznych bodźców do wytwarzania rzeczy coraz ładniejszych i lepszych najwyraźniej w wielu przypadkach przekonani są, że rynek wchłonie wszystko — podobnie jak trzy — cztery lata temu.

Celem uatrakcyjnienia wzornictwa i poprawienia jakości wyrobów po kilkuletniej przerwie ponownie zorganizowano na targach konkurs „dobre — ładne — poszukiwane". Wizja złotych medali jednak nie okazała się zbyt silnym magnesem ponieważ do konkursu zgłoszono zaledwie... pięćset kilkadziesiąt wyrobów.

Temu samemu celowi służyła — przynajmniej według założenia — praca komisji, oceniającej jakość i wzornictwo wyrobów oferowanych do sprzedaży. Wyniki jej prac były jednak zaskakujące — i chyba niezbyt wiarygodne. Dla przykładu — z pawilonów rzemieślniczych wycofano z ekspozycji zaledwie 29 wyrobów, 240 skierowano do poprawy. Wydawałoby się więc, że jest świetnie — ale czy można uwierzyć, że jest to ocena rzetelna, skoro komisja w ciągu dwóch dni przejrzała blisko 35 tys. różnych wyrobów? Przecież był to czas wystarczający zaledwie na to, aby każdy z nich wziąć do ręki i szybko odstawić, a nie ocenić!

Już w roku ubiegłym MHWiU zapowiedziało rozpoczęcie „batalii o jakość" i trzeba przyznać, że podjęto w tym zakresie szereg działań, choć nie przyniosły one jeszcze skutków, jakich życzyliby sobie użytkownicy. Na tegorocznych targach przedstawiciele ministerstwa potwierdzili raz jeszcze, że mimo trudności nie zamierzają rezygnować z tego celu.

Dość powszechne przekonanie konsumentów o tym, że narasta groźne zjawisko pogarszania się jakości użytkowej i wzorniczej wyrobów rynkowych potwierdzają cyfry. W I półroczu br. handel zdyskwalifikował towary wartości 2,1 mld zł (prawie 27 proc. więcej niż w roku ubiegłym), obniżył o 361 mln zł (16 proc. więcej niż rok temu), ceny towarów złych, lecz jeszcze nadających się do sprzedaży przy czym ciekawostką jest fakt, że 132 mln zł osiągnęły przeceny bubli ze znakami jakości „1", a nawet „Q" — oraz wyegzekwował od przemysłu 1,1 mld zł kar za złą jakość. Warto przy tym dodać, że wcale niemałe kwoty wpłynęły do budżetu od przedsiębiorstw handlowych, płacących kary za to, że — w imię utrzymania dobrych stosunków z producentami — nie egzekwują w sposób zgodny z przepisami właściwej jakości towarów.

Nie kwestionując konieczności rozmaitych działań, zmierzających do zaspokojenia nie tylko ilościowych, lecz także jakościowych oczekiwań konsumentów, stwierdzić należy jednak, że jest to zadanie niesłychanie trudne w sytuacji, gdy towarów na rynku brakuje.

CZEGO ZABRAKNIE?

Tegoroczne targi jesienne nie napawają optymizmem i nasuwają przypuszczenie, że może nastąpić sytuacja, w której pozycja producenta umocni się, właśnie z powodu rozmaitych braków ilościowych. Wprawdzie z wypowiedzi przedstawicieli resortu handlu wiało umiarkowanym optymizmem, podkreślali oni zwłaszcza fakt, że tegoroczna oferta jest aż o 54 proc. większa od ubiegłorocznej, ale — jest to porównanie w cenach bieżących, które od roku ubiegłego przecież wzrosły, a ponadto — bardziej szczegółowe dane nieco ten optymizm zmniejszają.

I tak: oferta na pierwsze półrocze w wyrobach dziewiarskich jest o blisko 7 proc. niższa od realizacji w I półroczu br. (największy spadek nastąpi w bieliźnie osobistej), zabraknie wyrobów pończoszniczych, okryć i ubiorów z tkanin dla dzieci w wieku 0—15 lat, źle może być z koszulami dla chłopców i dorosłych mężczyzn, których na targach zaoferowano zaledwie 4,2 mln. szuk, podczas gdy potrzeby wynoszą około 18 mln.

Jeśli te wyrywkowe dane dotyczące niektórych podstawowych asortymentów towarów oferowanych na targach (a w wielu innych grupach wcale lepiej nie jest) zestawimy z globalnymi cyframi, określającymi relacje między siłą nabywczą ludności (24,7 proc. wzrostu dochodów, czyli o 8 proc. więcej niż zakładał CPR) a jej pokryciem w towarach, znajdujących się na rynku (13,8 proc. wzrostu dostaw, to jest o 4,5 proc. mniej od założeń CPR), najbliższa przyszłość nasza — czyli konsumentów i klientów rozmaitych sklepów — rysuje się raczej w ciemnych barwach.

Pewną pociechą jest tu fakt — podkreślany zresztą zarówno przez przedstawicieli ministerstwa handlu, jak i w oficjalnych wypowiedziach reprezentantów resortów przemysłu lekkiego i chemicznego oraz maszynowego, (które to resorty w głównej mierze decydują ile i czego trafi na rynek) — że Krajowe Targi Poznańskie nie wyczerpują całości oferty, a zawarte tu kontrakty nie decydują w największym stopniu o wielkości dostaw. Oprócz targów odbywają się bowiem rozmaite, liczne giełdy branżowe i właśnie na nich zawierane są największe transakcje między handlem a przemysłem — już na spokojnie, bez pewnej, zawsze towarzyszącej targom nerwowości, związanej zarówno z faktem, że właśnie na targach a nie na giełdach, działają rozmaite komisje i wszystko odbywa się niejako na publicznym widoku, niemalże pod społeczną kontrolą.

Pozostaje więc na pociechę wierzyć, że twierdzenia te okażą się prawdziwe i kontrakty giełdowe — o których wynikach dowiemy się nie wcześniej niż na początku przyszłego roku — w odczuwalny sposób zmienią niewesołe perspektywy zaopatrzeniowe.

EKSPANSJA RZEMIEŚLNIKÓW

Aby jednak nie stwarzać wrażenia, że wszystko na targach jesiennych zapowiadało smutną przyszłość — warto podkreślić także i jaśniejsze strony tej największej imprezy handlowej — bo przecież i takie były.

Niektóre z nich związane są z rzemiosłem i drobną wytwórczością, które to sektory — nie tylko zresztą na targach — zachowują się w ostatnich latach bardziej dynamicznie, niż przemysłowe giganty i w sposób bardziej elastyczny reagują zarówno na wahania rynku jak i życzenia handlowców.

Otóż trzeba stwierdzić, że w najbardziej rzucającej się w oczy sferze — a więc we wzornictwie — gdzie ogólnie widoczny był raczej regres niż postęp — właśnie rzemiosło zasłużyło na ocenę pozytywną. Nie znaczy to oczywiście, iż nie można było w stoiskach rzemieślniczych spotkać przedmiotów, jakimi z powodzeniem można straszyć dzieci (zwłaszcza dotyczy to branży upominkowo-pamiątkarskiej), ale bardzo wiele wyrobów zyskało na estetyce. Widać także kolejny krok naprzód w dziedzinie asortymentowej — rzemieślnicy przywożą do Poznania coraz więcej towarów potrzebnych i poszukiwanych zwłaszcza w branży „1001 drobiazgów" i wyposażenia gospodarstwa domowego. Coraz lepiej również potrafią je — mimo ogromnej ciasnoty, panującej w pawilonach rzemieślniczych — zaprezentować handlowcom i zwiedzającym.

Duże zainteresowanie na tegorocznych targach budziła tematyczna wystawa, związana z budownictwem indywidualnym, gdzie zaprezentowano niemal wszystko, poczynając od cegieł i innych materiałów budowlanych, produkowanych przede wszystkim w oparciu o surowce lokalne poprzez materiały wykończeniowe, jak podłogi, glazura, urządzenia instalacyjne aż po elementy wyposażenia wnętrz.

Choć było tu wiele rzeczy, które mogły się podobać — i które powinny znaleźć się na rynku, handlowcy odnieśli się do rzemieślniczej oferty z większą niż zazwyczaj rezerwą. Po pierwszym dniu targów zawarto kontrakty obejmujące 40 proc. jej wartości, podczas gdy w latach poprzednich wielkość ta wahała się od 60 do 70 proc.

Na następnych, wiosennych targach rzemieślnicy zamierzają przygotować specjalną ekspozycję pod hasłem „anty-Veto", konkurującą niejako z organizowaną przez ten popularny tygodnik wystawką bubli, na której zgromadzone zostaną towary dobre, potrzebne, a jakoś przez handel niezauważone.

Następnym, pozytywnym zjawiskiem, jakie dało zauważyć się na targach jesiennych była coraz większa zgodność tego, co umieszczono w eksponowanych wystawach z tym, co faktycznie oferowano handlowcom w boksach producentów. Być może to także wpłynęło na pewną szarzyznę ekspozycji, na której w latach poprzednich prezentowano więcej rzeczy przygotowanych specjalnie na pokaz?

I wreszcie — co także trzeba odnotować wśród pozytywów, choć rozmiary zjawiska są na razie minimalne — w normalnej sprzedaży znalazły się niektóre asortymenty towarów, objęte dotychczas centralnym sterowaniem.

NEGOCJOWAĆ CENY!

Oceniając to, co zaprezentował w Poznaniu przemysł warto jeszcze słów parę powiedzieć i o pracy handlowców, przecież to od ich umiejętności wyboru i operatywności, konsekwentnego żądania od producentów tego, co jest nam potrzebne, zależeć będzie także w ogromnej mierze sytuacja rynkowa. I w tym przypadku jednak ocena nie może być jednoznaczna.

Zjawisko niewątpliwie pozytywne — to wyeliminowanie z zawieranych umów rozmaitych klauzul, umożliwiających samowolę i bezkarność niesolidnych producentów, znacznie większe wymagania jakościowe, większa rozwaga w wyborze towarów.

Negatywem jest natomiast fakt, że negocjując terminy i warunki dostaw, oraz wiele innych szczegółów, zapominają handlowcy o tak ważnej rzeczy, jak negocjowanie cen — zarówno w odniesieniu do sektora państwowego, jak i spółdzielczego i prywatnej wytwórczości. Co prawda ceny przemysłowych towarów konsumpcyjnych uległy w ostatnim okresie pewnej stabilizacji, nie znaczy to jednak, że i w tej dziedzinie, także przecież w sposób istotny ważącej na stabilizacji rynku i zadowoleniu konsumentów nie można osiągnąć poprawy. Tymczasem, jak wykazują kontrole, niemal co trzecia cena skalkulowana jest w sposób nieprawidłowy (czytaj — zawyżona). Tyle, że odkrywają to dopiero organa kontrolne — już w handlu, gdy tymczasem towary takie na rynek trafiać nie powinny.

Tę słabość handlowców zauważyli już niektórzy producenci — i wykorzystują ją, wprowadzając takie zmiany asortymentowe, które pozwalają na zmniejszenie produkcji towarów objętych cenami urzędowymi i zastąpienie ich towarami, na które obowiązują ceny umowne.

Sprawa ta, obok poprawy jakości towarów, powinna znaleźć się w centrum uwagi MHWiU i to nie później, niż na najbliższych, marcowych Targach Wiosna '86.

Tej kolejnej imprezy oczekiwać należy, jak sądzę z pewną niecierpliwością, bowiem dopiero w marcu, gdy znane już będą w pełni efekty giełd branżowych, precyzyjnie określona sytuacja zaopatrzeniowa, gdy podpisze się kontrakty uzupełniające, będzie można dokładniej niż obecnie określić, jaki będzie rynek w przyszłym roku.

TERESA JERZYKOWSKA

Foto: Grzegorz Gałasiński

RYSZARD BINKOWSKI

Wieniec z liści bobkowych

Z dyskusji obywatelskiej w tramwaju linii 41:

— Telewizja, proszę pana, jest coraz gorsza. Nic tylko same niewolnice z trzeciego świata...

— Ha! Bo przestała być tym wielkim dzwonem, co wybijał z hałasem godziny sukcesu pana Edwarda.

— Telewizja, kochany, stała się konfesjonałem, przed którym biją się w piersi synowie marnotrawni.

— Właśnie! A z jaką życzliwością wysłuchuje ich ten brodaty spowiednik, ojciec Małczyński!

— Jak się wrażliwy obywatel nasłucha tych gorzkich żalów, to już nigdy nie pojedzie na Zachód.

— Jasne! Bo tam smród, głód i ubóstwo, jak mawiali Skauci Piwni pod przewodem druha Borygo.

Jak widać, wpływ telewizji na nastroje społeczne jest ogromny. Nie należy się więc dziwić, że nauki moralne płynące z audycji „Wielka Spowiedź" udzieliły się także Marcie Danusiak, trzydziestoletniej pannie zatrudnionej na etacie umysłowym w branży zbożowej. Pani Marta uderzywszy się ze skruchą w swą grzeszną acz ponętną pierś, nawróciła się i zgodnie z linią Odnowy wzięła kurs na kraje RWPG. Z pobudek czysto patriotycznych nabyła polskiego malucha w kolorze czerwonym i odbywała nim regularne rejsy tranzytem przez ZSSR na Węgry i do Rumunii. W każdą podróż zabierała ładunek spodni z teksasu, trochę parasolek, okulary i papierosy marki „Kent". Nie chodziło jej o dolary, bo tych nad Wisłą w bród, lecz o rubelki, bo za nie mogła nabyć pięć lub sześć złotych pierścionków. A gdy przywiozła złoto do kraju, upłynniała je w blasku gorącego słońca płonącego nad sektorami, gdzie panowała pogoda dla bogaczy. Za uzyskane złotówki patriotka Marta wyciągała od wrednych cinkciarzy każdego brudnego dolca i natychmiast przekazywała go państwu. Tak jest, nikt się nie przesłyszał. Cinkciarze wprost się pchali do mieszkania Marty, a ona tylko biegała z tymi dolarami i zostawiała je w „Pewexie".

W ciągu roku Marta Danusiak kupiła w peweksowskich sklepach Łodzi i Pabianic parę ton kawy za dwadzieścia tysięcy dolarów. I niech sobie IRCH-a nie myśli, że panna Marta działała na szkodę państwa. Nie, ona nie wywlokła tego za granicę. Pewna część kawy pozostała w łódzkich i pabianickich sklepikach ajencyjnych, reszta zaś pojechała tam, gdzie ponoć największy nawis — na Śląsk. W Katowicach kawa szła po 3—3,5 tys. złotych za kilogram.

Każdy przedstawiciel prawa, nawet sam prokurator wojewódzki, musiałby przyznać w duchu, że Marta Danusiak walczyła ofiarnie z inflacją i wyrównywała w czynie społecznym popyt z podażą.

Jednakże kursy z samą kawą nie były zbyt opłacalne, gdyż z góry umówione taksówki sporo kosztowały. W związku z tym Marta próbowała wzbogacić transport pieprzem lub liśćmi laurowymi, zwanymi potocznie bobkowymi. Ale tych ostatnich było w „Pewexie" niewiele, a Marta lubiła liście, bo to lekkie, pakowne, no i zysk znaczny. Poza tym samotna panienka pragnęła dzielić się majątkiem, duszą i ciałem z kimś takim, komu można z radością wieńczyć skroń laurem.

Pewnego razu kolega Janusz skontaktował Martę z czterdziestoletnią Marylą Kowalską, która miała do sprzedania kilka pralek automatycznych i dwa telewizory kolorowe marki „Elektron". Danusiakowa nie nabyła przedmiotów zbytku, gdyż nie odpowiadała jej cena, spodobał się jej natomiast mąż pani Maryli, czterdziestoletni Józef Kowalski, chwilowo bezrobotny, ale nie do wzięcia. Oprócz urody posiadał smykałkę do handlu. W maju ubiegłego roku zaliczył drobny wyrok z zawieszeniem za spekulację żarówkami i żelazkami. Kowalski zaniechał procederu, ale pod wpływem uroków Marty odżyły w nim dawne tęsknoty, toteż gdy zaproponowała mu pewien interes, nie odmówił. Pragnął być blisko jej ponętnej piersi, albowiem jego Marylka pod względem kształtów i parametrów przypominała pogiętą deskę do maglowania. Maglujesz, bracie taką płaszczyznę, a ona ani drgnie.

Maryla zauważywszy wstępne umizgi oświadczyła, że owszem, postara się o dostawy artykułów spożywczych dla Marty, ale będzie to robić do spółki z mężem, no i w tym celu zabrała Józefa do Wrocławia. Wsiedli do pociągu „Bohemia" relacji Lipsk—Warszawa, nabitego po sufity dobytkiem polskich gastarbeiterów, i zdaje się, że nie doszłoby do żadnej transakcji, gdyby nie przypadek. Bo ten weekendowy pociąg jest stokroć groźniejszy od pociągu szalejących kibiców. W przepełnionych wagonach toczy się bitwa na pięści i noże między gangami polskich handlowców. Gdyby połączone sztaby MHWiU i MHZ wsadzić do „Bohemii" na jedną lekcję poglądową, to Polska bez względu na sankcje stałaby się liczącym się w świecie partnerem handlowym.

Na szczęście Józef Kowalski dostrzegł w tym piekle dwie znajome twarze. Byli to koledzy z dzieciństwa spędzonego w województwie sieradzkim: ślusarz Lucjan Beznogi i kierowca Jerzy Wysocki. Obaj pracowali na polskiej budowie w NRD. W drodze do Łodzi zawarto umowę, że koledzy będą dostarczać do domu Kowalskich żywność w najszerszym asortymencie: czekolady, pieprz, liście bobkowe, słodycze i co się tylko da.

No i tak się stało. Sęk jednak w tym, że dostarczane asortymenty odwoził do Marty osobiście Józef Kowalski, czego zazdrosna Maryla nie mogła znieść. Postanowiła ona dokonać zemsty, to znaczy wkręcić piękną Martę w taką aferę, żeby się jej raz na zawsze odechciało amorów. Był to, jak się okazało, pomysł irracjonalny, ale zazdrość bywa bardziej ślepa od szalonej miłości.

Maryla Kowalska udała się tedy do Marty i oświadczyła, że Józef po ostatnim wyroku jakby oklapł, ale to nic, bo ona wie, jak rozkręcić interes i zwiększyć obroty. Jeśli więc Marta pożyczy trzysta tysięcy, to Maryla nie zważając na ospałość Józefa zorganizuje „przechwyty" z pociągu Lipsk—Warszawa i towar zacznie napływać tonami.

Zakochana Danusiak wierzyła święcie w Józefa, ale pomysł Maryli też się jej podobał. Wypłaciła więc te trzysta tysięcy, a Kowalska wystawiła stosowne pokwitowanie. Żeby jednak sprawa była pewniejsza, Maryla dała Marcie pod zastaw złotą bransoletkę. No i towaru faktycznie zaczęło przybywać.

Aliści, gdy upłynął termin zwrotu zaliczki, Kowalska oświadczyła, że Marta może sprzedać bransoletę, bo tyle gotówki to ona teraz nie wytrzaśnie. Wtedy Marta poszła do jubilera i dowiedziała się, że wtryniono jej imitację złota. Przyparta do muru Kowalska wyznała, że pomysł z bransoletą podsunął jej Józef. Była pewna, że Danusiak nie spojrzy już na wrednego kochanka, lecz pomyliła się. Marta bowiem dogadała się z Józefem i postanowiła odebrać pożyczkę w naturze, to jest w artykułach przywożonych z NRD.

Stwierdziwszy, że mąż nadal ją okrada z towarów i uczuć, Maryla zamiast zająć się nandlem, poświęciła czas na śledzenie kochanków. Nabrała przekonania, iż Józek tak się rozochocił, że w euforii połamał już drugi tapczan pod Martą. Modliła się więc o potępienie występnej pary, ale że Bóg nierychliwy, Kowalska postanowiła osobiście wymierzyć karę. W tym celu naostrzyła nóż kuchenny o rozmiarach porządnej kosy i uwiła wieniec z liści bobkowych, który miała zamiar złożyć przy zwłokach kochanków.

Tego dnia, kiedy miał nadejść transport artykułów spożywczych z NRD Józef bez opowiedzenia się pojechał samochodem w nieznanym kierunku. Maryla była pewna, że udał się na rozpustę do Marty, teraz w jej własnym domu, kazała się zawieźć z powrotem na ulicę Starorudzką. Ale gdy dojeżdżali do domu, poleciła kierowcy jechać prosto i skręcić w pierwszą przecznicę.

Zmieniła kurs, ponieważ przed domem stał milicyjny radiowóz. Okazało się, że Bóg wysłuchał jednak prośby Maryli, po czym zagrzmiał wielkim głosem: „Hejże, ty poczciwy rewirowy w stopniu kaprala! Czuwaj, glino, patrz uważnie na dom Kowalskich, a spełnisz dobry uczynek!"

Zamiast kaprala patrzał plutonowy. Najpierw zobaczył parę kochanków. Potem przed dom zajechał błękitny polonez załadowany po dach kartonowymi pudłami. Dwaj mężczyźni zaczęli wynosić te pudła. Z jednego wypadła pęknięta paczuszka i na chodnik posypały się liście bobkowe. Plutonowy pobiegł do telefonu i wezwał na pomoc trzech kolegów z sekcji „PG". W tak zwanym międzyczasie opróżniony polonez odjechał.

Maryla w celach wywiadowczych dała siostrzenicy torbę podróżną z poleceniem, by przekazała ją wujkowi. Kiedy milicjanci zajrzeli do torby i zobaczyli wieniec przebity nożem, zapytali, gdzie jest ciocia, i dziecko powiedziało. Radiowóz podjechał do taksówki. Milicjanci wylegitymowali kierowcę i Marylę, po czym spenetrowali dokładnie wnętrze wozu.

Ogłupiała z zazdrości Maryla podała natychmiast adresy Marty Danusiak oraz dostawców z NRD. W mieszkaniu Marty milicja znalazła niewielki magazyn z kiełbasą i kaszanką własnej produkcji, trochę kawy, migdałów, rodzynek, konserw rybnych, sto pięćdziesiąt sztuk „Kangummi-Frucht-Jamboree", oraz pokwitowanie na trzysta tysięcy wystawione przez Marylę Kowalską. Tak zwane przeszukanie osoby ujawniło w torebce Maryli pięćdziesiąt bonów „Pekao" i dwanaście centów oraz dwadzieścia tysięcy złotych w gotówce. U gastarbeiterów nie znaleziono nic.

W toku dochodzenia ustalono, że gastarbeiterzy dostarczyli Kowalskim artykułów spożywczych za półtora miliona złotych. Tak jak i Kowalscy zostali oskarżeni o to, że nie posiadając uprawnień handlowych gromadzili w celu odsprzedaży z zyskiem artykuły żywnościowe zagranicznego pochodzenia. Marta Danusiak odkupiła te artykuły i rozprowadziła, a ponadto skupiła za obce pieniądze w sklepach „Pewexu" kawę i inne artykuły co w sumie kosztowało około czterech milionów złotych. Zysk obliczyli fachowcy.

Każdy obywatel może się dowiedzieć w Urzędzie Celnym ile czekolady czy kawy można przywieźć bez cła, oraz ile się płaci za dodatkowe kilogramy. W zasadzie można przywozić dowolne ilości artykułów spożywczych, wprowadzać je do wolnego obrotu i odsprzedawać osobom trzecim.

Sęk jednak w tym, że nasi handlarze zapomnieli powiadomić o swoim procederze organa podatkowe, przez co narazili skarb państwa na tak zwane uszczuplenie podatkowe w wysokości co najmniej miliona złotych.

Teraz nóż kuchenny leży w kredensie, a wieniec z liści bobkowych wisi na kracie, za którą medytuje również zazdrosna żona.

„Dama dama" i dama albo: wielki lew w małej klatce

Ciężkie, upalne powietrze oblepiało ciało jak wilgotne prześcieradło. Tłumek spacerowiczów przechadzał się po alejkach ogrodu zoologicznego powoli, jakby to powietrze stawiało wyraźny, odczuwalny opór. Tylko dzieci miały siłę, żeby biegać od klatki do klatki. Właśnie odciągałem nieletniego szkraba, któremu, za jakieś tam dziecinne zasługi obiecano ZOO od klatki z makakami. — Wujek z tobą pójdzie! — zadecydowała rodzina bez żadnych wstępnych konsultacji z wykonawcą tej decyzji, czyli ze mną. Szkraba musiałem odciągnąć od klatki, bo wprawdzie młoda samiczka była niezwykle sympatyczna i uciesznа, ale jej partner nie podzielał zdania publiczności i wolał... no, w każdym razie zachowywał się dość nieprzyzwoicie.

Odciągałem więc szkraba, który właśnie był dostrzegł nieobyczajne manipulacje starego makaka, od klatki, kiedy dostrzegłem mego przyjaciela, ekonomistę i cybernetyka, Jacka A.

— Ty tutaj? — nie mogłem ukryć zdziwienia — dobrowolnie?

— Oczywiście — odrzekł — ogród zoologiczny i pobliski botaniczny są moimi ulubionymi miejscami przechadzek. I to nie tylko latem...

— Zadziwiasz mnie. Znam cię jako człowieka niesłychanie zdyscyplinowanego umysłowo, nawet rozrywki i relaks podporządkowujesz przecież swoim pracom i rozmyślaniom. Co może mieć wspólnego oglądanie zwierząt z cybernetyką czy ekonomią?

— Wielokrotnie ci tłumaczyłem, że akurat obydwie interesujące mnie nauki mają charakter uniwersalny i prawa przez nie sformułowane obowiązują wszędzie — tak w sferze wielkiej polityki, jak w zakładzie przemysłowym, w szkole, w teatrze, w cyrku i w ZOO. To po pierwsze. Po drugie, wiesz zapewne w jakich okolicznościach Newton sformułował prawo powszechnego ciążenia? No więc. A spacer w ZOO jest — dla człowieka nie pozbawionego talentu obserwacji — znakomitą okazją. Na naszych oczach rozgrywają się tu scenki barwne obyczajowo i niezwykle interesujące w swej warstwie etycznej bo...

— Bo co? Zajmujesz się etyką świata zwierzęcego?

— Skądże... Ja obserwuję głównie ludzi!

— Ach tak... no i co wynika z tych obserwacji?

— Bardzo wiele. Zachowanie ludzi wobec zwierząt pozwala ich charakteryzować. Obnaża ich psychikę, ich stosunek do świata i ludzi...

— Wiem, wiem. Znam to stare powiedzonko, że ZOO to jest miejsce, w którym zwierzęta mają okazję przypatrzeć się ludziom!

— Jeśli przyjąć, że tak jest, to ja jestem tu raczej w charakterze zwierzęcia... właśnie przyglądam się ludziom. Ot, pierwszy z brzegu przykład. Widzisz tego młodego mężczyznę z kamerą filmową? Zwróć uwagę, że jest ubrany w czerwone spodnie, żółtą koszulkę z niebieskim napisem na piersi i błękitną bluzę. Towarzyszy mu młoda, miła pani bez makijażu, w szarej, prostej, luźnej sukience. Podsłuchałem, co ów młody człowiek powiedział przy klatce z bażantami. Zwrócił się do swej partnerki: „Popatrz na bajeczne upierzenie samca. Wszystkie kolory tęczy! A samica jakaś tak szarobura... Zupełnie na odwrót niż u nas, u ludzi!".

Czy to nie jest ciekawe? Bardzo charakterystyczne posłużenie się stereotypem myślowym, który uznaje się za prawdę, choćby najbliższa, jak na dłoni dająca się obserwować rzeczywistość była zupełnie z tym stereotypem niezgodna...

Albo spójrz tam, w stronę klatki z danielem. Wyfiokowana jejmość z piętrowym uczesaniem, rzuciła zwierzęciu cukierka a potem dyskretnie wysmarkała się w palce. Porównaj ją z danielem. Na czyją korzyść wypadnie porównanie? Oczywiście... A czy wiesz, jak brzmi łacińska, klasyfikacyjna nazwa daniela? „Dama dama". Czyż nie jest to głęboko słuszne? Nawet to powtórzenie... Tej pani nikt nie nazwie damą nawet raz!

Ale zostawmy na boku naskórkowe obserwacje obyczajowe. Jak wspomniałem, zachowanie ludzi w ZOO jest interesujące nie tylko z psychologicznego, ale także etycznego punktu widzenia. Oto młody człowiek rzuca kamień, opakowany w papierek po cukierku, na wybieg pawianów. Małpa zręcznie odwija papier, a następnie odrzuca kamień w stronę, z której do niej przyleciał. Młody człowiek uchylił się i... pośpiesznie oddalił. Nie, nie nie zamierzam mówić o wyższości moralnej małpy nad człowiekiem, to byłoby banalne... Chcę zwrócić twoją uwagę, a także uwagę towarzyszącego ci małoletniego członka stada ludzkiego na dwie sprawy: na niewątpliwą inteligencję i instynkt moralny „głupiej" małpy, która rzuciła kamień we właściwym kierunku, a także na zamysł pedagogiczny, zawarty w tym geście. Zamysł skuteczny! Młody człowiek zawstydził się...

— Dlaczego ten wielki lew siedzi w takiej małej klatce? — to wtrącił się do rozmowy mój małolat — inne mają taki wielki wybieg?

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć mój przyjaciel chrząknął znacząco: — hmm... myślę, że jest to coś w rodzaju karceru... ten wielki samiec widocznie nie sprawdził się jako członek małej, lwiej społeczności żyjącej na wybiegu. Dyrekcja ZOO zastosowała tu środek typowy dla mentalności ludzkiej i po prostu wsadziła go do ciupy. Obawiam się, że skuteczność tej kary będzie żadna, a może nawet ta odsiadka wywoła skutek wręcz przeciwny do zamierzonego — lew, po powrocie na wybieg będzie jeszcze gorszy, jeszcze bardziej aspołeczny. Co także, niestety, zdarza się ludziom w analogicznych sytuacjach...

Małolat nie wysłuchał do końca wyjaśnień Jacka A. Po chwili był już przy klatce z lisem.

— Dlaczego tu tak śmierdzi?

— No wiesz, lis żywi się padliną — odparłem zobligowany obecnością Jacka do usprawiedliwienia zwierzęcych zachowań. — Tramwaj numer dziewięć, którym tu przyjechaliśmy też nie był wonnym ogrodem, a przecież nie jechał nim żaden padlinożerca!

Następnie zwróciłem się do mego przyjaciela: — Jesteś, jak sądzę, członkiem i działaczem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami?

— Skądże, nie należę do żadnych filantropijnych organizacji. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami to brzmi jak Towarzystwo Opieki nad Zabytkami na przykład. Jest jeszcze jedną płaszczyzną wywyższania się człowieka nad naszym krewnym, pobratymcą, towarzyszem i partnerem, jakim jest zwierzę. Mógłbym należeć do organizacji, która o tym partnerstwie pamięta... do Towarzystwa Przyjaźni Ludzko-Zwierzęcej...

— Ja natomiast wstąpiłbym do Towarzystwa Opieki nad Ludźmi Uczciwymi — mruknąłem.

ANDRZEJ KAROL

Foto: Grzegorz Gałasiński

Beata Michalska

Labirynt

W labiryncie pajęczyny
Zapatrzona w kroplę rosy
Szukam prawdy
W labiryncie pajęczyny
otoczona srebrem przędzy
wnikam w przyszłość
W labiryncie pajęczyny
omotana siłą zdarzeń
podzielam los przeciętnej muchy

Marek Obarski

Próg

Zazdrościłem jaskółce,
która uwalnia swoje
skrzydła na granicy
ziemi i nieba.

My też odnaleźliśmy
ciemną gwiazdę
pod powiekami.

A u progu
widnokręgu —
kres bezdomności.

Ponownie

Odnalazłem tylko kroplę
rosy pod powiekami
i jak pająk
czekałem na sen.

Aż do świtu
martwiały w pajęczynie
twoje gesty.

Łza

Poranek skupił
w moich źrenicach
łzę widnokręgu,
która spłynęła po twarzy.

Matce

Gdy stajesz na progu,
widnokrąg obarcza
strudzoną.
Cięższej chmurze
podobna bezdomność.

Mariusz Baryła

Chałtura

Już wychodzą ze srebra
Sypią się uśmiechnięte
Twarze i białe i czarne
I w odcieniu: chrzciny
Śluby wesela

Artysta

Artysta został wyrzucony
Z tramwaju nieba
Teraz mści się wykuwając
W żelazie wszystkich świętych

Antrakt

Zastanawiałem się
dziś
nad sensem
i otworzyłem książkę
na spisie treści

■

Prostota i finezja

Jerzy Wawrzak dał się dotychczas poznać jako autor utworów o tematyce współczesnej — jako oficer pierwszej „Linii" włączania literatury do aktualnych spraw społecznych, a nawet politycznych. Jego proza stanowiła przykład konsekwentnej pochwały umiejętności rzetelnej i odpowiedzialnej pracy oraz pochwały dotrzymywania wierności politycznym ideałom. Czas największej aktywności pisarskiej autora „Rekomendacji" przypadł na przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Po kilkuletnim okresie milczenia ukazała się właśnie nowa powieść Jerzego Wawrzaka opatrzona tytułem godnym „dreszczowca": „Gwiżdżąc na śmierć". Różni się ona od dotychczasowej prozy Wawrzaka. Jest to istotnie DRESZCZOWIEC — tyle że historyczny i polityczny zarazem.

Powieść ta została nagrodzona w konkursie Krajowej Agencji Wydawniczej w roku 1984 i zupełnie ładnie wydana przez tę firmę. Jednak nie konkurs stanowił chyba jej pierwotną inspirację. Wyrosła z przemyśleń nad burzliwymi pierwszymi latami naszego stulecia, burzliwymi zwłaszcza w Łodzi, w mieście, w którym tradycje roku 1905 są żywe do dziś. Ale nie jest to powieść tylko o rewolucji, chociaż precyzyjnie wykorzystuje łódzkie realia tamtego okresu, jak również chętnie korzysta z pewnych chwytów typowych dla literatury dokumentującej rewolucyjne zrywy: na przykład eksponuje patos walki o społeczną sprawiedliwość i narodową niepodległość, etapy dojrzewania politycznego, wzruszenie towarzyszące chwili organizacyjnej inicjacji, charakterystyczną retorykę partyjną etc. Jerzy Wawrzak przedstawił dzieje BOJOWCA z Polskiej Partii Socjalistycznej, dzieje w znacznym stopniu sensacyjne; w powieści aż roi się od opisów potyczek i zbrojnych konfrontacji. Są one bez wątpienia udane i trzymają czytelnika w napięciu niczym lektura powieści przygodowych. Zaletą jest tu właśnie zręczne połączenie wątków sensacyjnych, przygodowych, także erotycznych z wątkami ściśle politycznymi. Dzięki temu postaci z powieści „Gwiżdżąc na śmierć" jawią się czytelnikowi jako ludzie z krwi i kości, a nie spiżowi bohaterowie, którzy na czas narracji opuścili swoje miejsce na cokole.

Jerzy Wawrzak wie, czym przykuć uwagę czytelnika. Nawet w poprzednich utworach, gdy świadomie pozwalał sobie na ilustracyjność pewnych tez dotyczących mechanizmów życia społecznego czynił to w taki sposób, by książki jego z jednej strony stanowiły świadectwo realnych warunków bytowania, z drugiej zaś pobudzał czytelniczą ciekawość apelując do emocji. Podobnie jest i w najnowszej powieści: dokładna, niekiedy wręcz drobiazgowa relacja, której towarzyszy niespodzianka, a nawet prawdziwe zaskoczenie. Prostota i finezja — taką można zaproponować formułę na określenie powieści „Gwiżdżąc na śmierć".

W powieści, która sięga do HISTORII muszą pojawić się ludzie historyczni. Spotykamy ich tu niemało, tych pozytywnych i tych niepozytywnych. Szczególną odrazę budzi łódzki policmajster Ilarion Chrzanowski, zruszczony Polak, najgorliwszy carski sługa. Nie trzeba go nawet opisywać, wystarczy niechętne wspomnienie jego działalności. Po drugiej stronie barykady przykuwają uwagę dwaj zwłaszcza przywódcy Polskiej Partii Socjalistycznej — Frakcji Rewolucyjnej: Józef Montwiłł-Mirecki oraz Józef Piłsudski. Występują w sytuacjach epizodycznych, ale epizody owe należą do najlepszych stron powieści. Aby nie pozostać gołosłownym — przytoczmy fragment opisu postaci Józefa Piłsudskiego czyli towarzysza Mieczysława:

„Rodziło się pytanie: dlaczego do nich przystąpił? Dlaczego opuścił swoją klasę, skazał się na nędzę, prześladowania, poniewierkę. On, szlagon, na czele robotników, aby prowadzić ich ku... czemu? Czyż to nie było romantyczne szaleństwo? Jest ich garstka (..) Tworzą gdzieś w kraju swoje piątki, dziesiątki, może nawet kiedyś utworzą setki. Tymczasem w kraju, nie licząc policji, straży ziemskiej, żandarmerii jest trzysta tysięcy bagnetów, a w razie mobilizacji, po miesiącu będzie milion. I ten milion sołdatów każdą powstańczą armię zarzuci samymi czapkami, bez użycia armat, kawalerii... Na co więc ten czerwony szlagon liczy? Dlaczego tak wiele wysiłku włożył w sprawę na zdrowy rozum bez szans? A jednak poważni, mądrzy ludzie mu wierzą. Pozostają nie tylko pod wrażeniem osobistego uroku. Ufają mu, bo służy idei, którą sami też noszą w sercach".

Romantyzm walki oraz zimna spekulacja taktyczna — oto zasadnicze cechy dystynktywne głównych bohaterów. Ścierają się racje i poglądy, zmieniają się przywódcy i plany. Jedynie cel pozostaje niezmienny: niepodległość Polski społecznie sprawiedliwej. Po licznych doświadczeniach bojowiec PPS zmienia metodę, godzi się z racjonalnym, spokojnym stanowiskiem wypróbowanego przyjaciela, że *„czasami droga okrężna jest jedyną drogą do celu"*. O sensie historii ma więc decydować nie romantyzm postaw, lecz skuteczność przedsięwzięć: *„walka o Polskę to długotrwały proces"*. Nie skończy się on wraz z odzyskaniem niepodległości. Przedstawiając zaledwie cząstkę owego procesu skoncentrował się autor w większym stopniu na ludziach o gorącym sercu. Pokazał ich twardą, bezpardonową walkę z zaborcą. I odwet tego ostatniego — terror, łańcuch terroru. Spiralę terroru. Jeden z policjantów pyta w kulminacyjnym momencie powieści: *„Ile człowiek może wytrzymać?"* Na to pytanie trudno jednak znaleźć odpowiedź. Nawet, jeśli gwiżdże się na śmierć.

Zachęcam do lektury powieści Jerzego Wawrzaka. Jej emocjonalna treść zdecydowanie wykracza poza historyczne realia.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

■

Jerzy Wawrzak: „Gwiżdżąc na śmierć", Krajowa Agencja Wydawnicza, Katowice 1985, s. 132, nakład 99 650+350 egz. cena zł 75.—

Podróż sentymentalna

Wydany ostatnio tom miniatur narracyjnych Henryka Czarneckiego zmieni, jak sądzę, ustaloną „normę odbioru", wedle której autor „Daleko od szosy" przypisany został do (interesującej przecież) literatury popularystycznej wyrastającej z doświadczeń biografii („Profesor na drodze") bądź penetrującej środowisko wiejskie i określającej mechanizmy awansu i wrastania w miasto bohatera urodzonego w miejscu, gdzie jeszcze „diabeł nie mówi dobranoc", ale oddalonego jednak od metaforycznej tytułowej wielkomiejskiej szosy. Powieści te — zarazem scenariusze filmowe — cieszyły się i cieszą zainteresowaniem czytelników. Znaczną rolę w tej szerokiej recepcji odegrały film i telewizja. Emisje telewizyjnego filmu i serialu kierowały w końcu uwagę odbiorców w stronę źródła — książek, które doczekały się niedawno wznowień.

**Jest wszakże Henryk Czarnecki autorem (i właściwie od nich zaczynał) krótkich form literackich: opowiadań, humoresek, anegdot i grotesek, których dystrybucja rodzajowa zawieszona jest między prozą a żywiołem liryczności, fabuła a metaforycznym paradoksem. „Retrobus" przypomina odbiorcom Czarneckiego — miniaturzystę. W pewnej mierze autor wraca do wątków podjętych wcześniej („Ogłoszenia matrymonialne") niemniej jednak znane już opowiadania czy miniatury prozatorskie komponują się w nową całość której spójność nadaje dominanta stylistyczna. Co prawda ów tytułowy retrobus rozpoczyna podróż w czasie poczynając od lat wojny, przedstawionej zresztą z „cywilnego" punktu widzenia (stąd nieobecność jawniejszych wątków martyrologicznych i tyrtejskiego patosu) zatrzymuje się w czasach powikłanej powojennej rzeczywistości, dociera w końcu do szpitalnej sali („Gawęda szpitalna"), wszakże nie supłanie zdarzeń i następstwo anegdot decyduje o artystycznym kształcie zbioru. Tonacja stylistyczna — o czym nadmieniłem wcześniej — spojrzenie trochę ironiczne acz pełne ludzkiego ciepła i nie pozbawione sentymentalizmu, humor, liryzm „tonujący" wymowę nawet dramatycznych wydarzeń („Monika") — rozpoznawalna w całym tomie spaja różnorodne wątki decydując w końcu o zwartości wszystkich fabularnych andegdot. W równej mierze taką spójność wnosi też metaforyczna wykładnia tytułu — niedwuznacznie wskazująca na autorskie intencje implikując wyraźną opcję wartości oraz celowo wprowadzony (jakby z pozoru już „staromodny") „sentymentalny" tok narracyjny. Wyraźne są też tęsknoty autora do świata mieszczącego się już w kategorii czasu przeszłego (perfectum), do zdarzeń pełnych dramatyzmu, ale przecież posiadającego więcej sensu niż mogą go zaproponować programowe wyznania młodzieżowej grupy „Perfect": „W wyrku na wznak Przechlapałem swój czas" („Ręka"). Ci, którzy tego czasu nie „przechlapali" zawsze będą się czuli osiemnastoletnimi łącznikami z Powstania bądź chłopcami w biało-czerwonych opaskach. („Wspomnienie"). Może ta optyka — powidok wojny, okupacji, codziennego ocierania się o śmierć sprawia że autor wyczulony jest na wszelkie nieautentyczne gesty „gier ludzkich" („Ogłoszenie matrymonialne"), zaś cierpienie, choroba nie pozbawiają go humoru i „plebejskiego" zmysłu obserwacji pozwalającego w takich sytuacjach dostrzec zabawną stronę wydarzeń widzianych z perspektywy szpitalnego łóżka („Gawęda szpitalna"). Melancholijnie brzmi co prawda wyznanie poczynione na wstępie „Retrobusu": „To tylko ja podróżny z bagażem lat przedostatnich zostałem w tłumie, wciśnięty pomiędzy codzienność z koszykami na jarmark, na targ, na targowisko... Dziś zostały te kartki z podróży donikąd. Za jakimś deszczem, śniegiem, który już się pewnie przed oczyma roztopił" („List do"). Mimo tej melancholii — a może za jej przyczyną — „sentymentalna podróż" H. Czarneckiego znajdzie zapewne nowych, wiernych czytelników.

HENRYK PUSTKOWSKI

■

Henryk Czarnecki — Retrobus. KAW, Łódź 1985 r. s. 125 cena 80 zł.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko - obyczajowa

MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA

Kiedy przyjdę do domu, bełkotał pijak, opierając się na ramieniu niewiele co trzeźwiejszego przyjaciela i znajdę moją żonę jeszcze na nogach, to wytłukę ją za to, że tak długo na próżno pali światło, kiedy mnie nie ma.

— A jak już będzie spała? — spytał przyjaciel.

— To dopiero ją zbiję, jak ona może spokojnie spać, kiedy jej biedny mąż włóczy się zmoczony i spragniony po deszczu.

Półtony humorystyczne zebrane przez Złotego Lola i Oskara Młota. Warszawa 1874.

OGŁOSZENIE

W Rouen w Normandii zgubiono worek dukatów. Znalazca, miłością bliźniego powodowany i od dalszej ochraniając go szkody, jeszcze tej samej nocy poprzybijał na rogach ulic pisane ogłoszenie tej treści: *„Ostrzegam właściciela zgubionego worka z dukatami, aby sobie żadnej ekspensy na ogłoszenie o swej zgubie nie robił, gdyż ja go zwrócić nie myślę"*.

Ambroży Grabowski: Encyklopedia komiczna. Kraków 1808.

NA POLAKI

Siła dziś na się nieprzyjaciół macie
Dobrze walecznych, a wżdy nic nie dbacie,
Choć się źle dzieje — wszystko u was fra-
Byle na stole stała pełna flaszka.

Anonim Protestant (w. XVI).

BIBLIOGRAFIA

Bibliografia — katalog wszelkich głupstw, jakie w głowach ludzkich powstały i drukiem się uwieczniły. Bibliografie specjalne powiększają ich szereg, bibliograf bowiem najczęściej zna same tylko tytuły i po nich sądzi o treści. Więc „Ozimine" Berenta zalicza do dzieł rolniczych, a „Dzieje grzechu" Żeromskiego do teologicznych.

Jest to wyjątek z przygotowywanego przez K. Bartoszewicza drugiego wydania „Słownika prawdy i zdrowego rozsądku" („Diabeł" 1919, nr 41). Materiały do tego humorystycznego „Słownika" zbierał krakowski dziennikarz przez lat kilkadziesiąt, ogłaszając fragmenty w czasopismach i obszerniejszej książce, wydanej w Warszawie w 1905 r. Złośliwe i pełne sarkazmu teksty były cenzurowane zarówno przez cenzurę austriacką jak i rosyjską.

RADA DLA MĘŻÓW

Często mężowie damy niepotrzebnie winią,
Że im rogi na głowie jako capom czynią.
Niech się każdy swej spyta, a pewno mu powie,
Niech róg będzie gdzie trzeba, nie będzie na głowie.

Seweryn Rzewuski (1743—1811), z rękopisu Biblioteki PAN w Krakowie, sygn. 615.

OPERA CYCERONA

Pewien uczony, będąc w bibliotece publicznej, zobaczył dzieło, na którym był napis: *„Opera Ciceronis"*: *„No, proszę — zawołał — ani pomyślałem o tym, że Cycero pisał opery"*.

„Humorysta Warszawski", 1840, nr 37.

ZASADY DYREKTORA

Kazimierz Zalewski (1849—1919), dramaturg i dyrektor teatru, prowadził w latach 1908—1915 szkołę aktorską pod nazwą Szkoła Aplikacyjna. Adam Grzymała-Siedlecki krytycznie ocenił metody pracy dyrektora Zalewskiego, co potwierdza również następująca anegdota, którą zaczerpnęliśmy z „Lamusu humoru" (Warszawa 1935):

Był okres, że Kazimierz Zalewski objął dyrekcję szkoły dramatycznej i na tym polu począł rozwijać swą działalność, cieszącą się niezbyt wielkim uznaniem wśród uczniów. Poglądy jego na nóżki aktorek, jako na składową cząstkę talentów, wprowadzały wśród adeptek ferment. Zaszła niespodziewana okoliczność wyższego rozdrażnienia. Kilka osób złożyło skargę do zarządu teatrów, domagając się usunięcia dyrektora ze stanowiska.

Dowiedziawszy się o tym Kazimierz Zalewski na pierwszej lekcji, jaka się mu nadarza, zwrócił się do adeptów:

— Doszły mnie słuchy, że kilku warchołów, czy warcholic, nie bardzo jest ze mnie zadowolonych. Nic na to nie poradzę, gdyż zasady moje pozwalają się liczyć tylko z publicznością.

Wobec takiego obrotu sprawy, reszta uczniów przyłączyła się do skargi i złożono nową petycję, podpisaną przez wszystkich.

Na to Zalewski z nie opuszczającym go nigdy spokojem, przybył na wykład i cmoknąwszy cilka razy wargami, obwieścił:

— Dowiaduję się, że przeważnie nie wszyscy też są ze mnie zadowoleni.. Trudno! Może nawet macie rację, ale ja mam kontrakt na dwa lata. Musimy to jakoś pogodzić.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA ■

Gra w wyobraźnię czyli trup w wannie

„Zabicie ciotki" — produkcja polska.
Scenariusz: Grzegorz Królikiewicz, Krzysztof Skudziński.
W rolach głównych: Robert Herubin.

Oto na ekrany wchodzi najnowszy film Grzegorza Królikiewicza — „Zabicie ciotki", zrealizowany na podstawie powieści Andrzeja Bursy pod tymże samym tytułem.

Jest to pierwszy z dwóch filmów (obok oczekującej także na premierę „Siekierezady" Witolda Leszczyńskiego), dla których kanwą okazała się być twórczość pisarzy określanych mianem „przeklętych" — Andrzeja Bursy oraz Edwarda Stachury. Mimo olbrzymiej przepaści, dzielącej tych dwóch pisarzy w samej sferze artystycznej, w operowaniu także odmiennymi poetykami, obydwaj mają jedną cechę wspólną. Mianowicie tragiczny los, który się wypełnił. O obydwu można powiedzieć, że byli oni napiętnowani śmiercią. Inaczej Bursa, który żył z dnia na dzień, zdając sobie sprawę z nieuchronności własnego losu (zmarł w wieku lat dwudziestu pięciu w wyniku wrodzonej choroby serca), a inaczej Stachura, dla którego śmierć była śmiercią z wyboru.

Właśnie te dwie postacie naszej literatury obok Rafała Wojaczka otacza nimb legendy i narosłych wokół nich przeróżnych mitów.

Ciekawie przedstawia się właśnie sprawa z Bursą, który tworzył najkrócej, a mimo to jego poezja i proza jest ciągle żywa, aktualna dla odbiorcy. Rzadko się zdarza, a praktycznie nikt poza Bursą tego w polskiej literaturze nie dokonał, aby połączyć w sobie tak olbrzymie pokłady liryki z groteskowym, niemal katowskim obnażaniem rzeczywistości; szczególnie jest to widoczne po roku 56 w jego twórczości, a zwłaszcza w jedynej powieści, jaką Bursa napisał — w „Zabiciu ciotki". Te dwa nurty: miłości do kobiety oraz rozprawy z rzeczywistością, z okrutnym światem dorosłych, w który wkracza nieublaganie bohater „Zabicia ciotki", stały się (zgodnie z wypowiedzią samego reżysera) impulsem do orzeniesienia tej jedynej w swoim rodzaju powieści w naszej literaturze na język filmowy.

Z Grzegorzem Królikiewiczem działy się od dłuższego czasu rzeczy dość dziwne. W swych poszukiwaniach formalnych zabrnął on w ślepą uliczkę! Styl, który w przeciągu dwunastu lat od daty debiutanckiego „Na wylot" zadziwił krytykę i publiczność, z czasem przestał szokować. Stał się powielaniem wypracowanych wzorów. Po prostu awangardowość Królikiewicza spowszechniała i przestała być w istocie awangardowa. Publiczność przestała na jego filmy przychodzić.

Jeśli nawet Królikiewicz w swych filmach poruszał ważne tematy, jak chociażby w przypadku „Klejnotu swobodnego sumienia", w którym zajął się problemem tolerancji, czy w „Forcie 13", będącym uniwersalną opowieścią o człowieku skazanym na zamknięcie, a który potrafił wytworzyć w swej psychice pojęcie wolności i uzmysłowić sobie dogłębnie rolę, jaką odgrywa we wszechświecie, to okazywało się, że kokieteria formalna w stosunku do widza (także określenie reżysera) zacierała jasność przekazywanych myśli.

I oto okazuje się, że Królikiewicz nie rezygnujący z owej kokieterii — choć w porównaniu z innymi obrazami jest ona w „Zabiciu ciotki" jakby uproszczona, stonowana, co sprawia, że film jest nieco łatwiejszy w odbiorze — potrafił zrobić film niezwykle ważny dla naszej rzeczywistości lat osiemdziesiątych. „Zabicie ciotki" mówi więcej o młodzieży, choć należy go rozpatrywać w kontekście szerszym, jako nasze „tu i teraz", niż wszystkie filmy analizujące postawy młodego pokolenia, jak chociażby różnego rodzaju rodzynki w postaci „Czasu dojrzewania" czy „Alabamy".

Wiadomo, że temat młodzieży nie należy do najłatwiejszych i jeśli chce się mówić głosem prawdziwym o problemach pokolenia, które porażone „perspektywą własnej młodości" nie może odnaleźć własnej drogi w otaczającej ją rzeczywistości, to należy robić to bez owijania w bawełnę.

Królikiewicz przeniósł powieść Bursy w czasy lat osiemdziesiątych co pozwoliło mu zabrać taki właśnie głos w sprawach młodzieży, pewnych subkultur, jakie powstały w ostatnich latach. Jedynie należy się zastanowić, czy bohater jest rzeczywiście reprezentatywny dla pokolenia. Przecież jest on „zakochany w własnej wyobraźni", cały czas toczy grę z samym sobą, z otaczającym go światem dorosłych. Wyobraźnia podsuwa mu wyimaginowany pomysł zabicia własnej ciotki i usunięcia jej ciała. Zanim tego nie uczyni, trzyma trupa cioci w wannie. Należy pamiętać, że bohaterem „Ciotki" jest młody student, poeta, młodzieniec o spotęgowanej wrażliwości.

Reżyser nadając filmowy kształt pierwowzorowi literackiemu wybiera takie fragmenty z rzeczywistości, które potęgują sytuację szarości, braku perspektyw, niemożliwości odnalezienia się w okrutnym świecie dorosłych. Mieszkanie ciotki jest szare i smutne, niejako predysponowane do tego, aby dokonać w nim metafizycznego zabicia młotkiem własnej cioci. Ulice, po których chodzi bohater, miejsca, w których przebywa także są ponure. Wszystko to oddaje atmosferę świata obcego i okrutnego.

Niepotrzebnie chyba Królikiewicz idzie w pewnym momencie myślowym tropem o „nagiej prawdzie płynącej z telewizora", powtarza ten sam chwyt dwa razy. Ostatnio dużo było już tych myśli o roli TV w kształtowaniu opinii publicznej i takie stwierdzenie, że TV kłamie nie jest niczym odkrywczym. Dwa poprzednie filmy Szulkina „Golem" i „Wojna światów" dotykały problemu manipulowania środkami masowego przekazu.

Królikiewicz, tak jak już stwierdziłem, nieco uprościł swą własną grę formalną, jaką toczy zawsze z widzem. Jednak i tym razem stara się on zaskoczyć czymś widza, postawić go na granicy możliwości percepcyjnych odbiorcy. W „Zabiciu ciotki" jest taki moment, gdy bohater w swej wędrówce po różnych miejscach przychodzi do kościoła, aby wyspowiadać się. Klęka przy konfesjonale i zaczyna spowiedź, mówiąc, że zabił własną ciotkę. Owszem, spowiedź ma w sobie coś niezmiernie intymnego, chociażby przez sam fakt bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem, w tym wypadku z kapłanem, a ściszony głos jeszcze potęguje intymność zwierzeń. Królikiewicz trzyma dwójkę rozmawiających w bliskich planach. Czyni to jednak na granicy znużenia totalnego widza. Staje się to denerwujące dla odbiorcy.

„Zabicie ciotki" jest nie tylko filmem o tych, którzy zostali „porażeni perspektywą własnej młodości", a właściwie braku perspektyw, jest filmem o miłości wszechogarniającej, miłości wzniosłej, ale jednocześnie drapieżnej. Królikiewicz nie waha się obnażyć bohatera z jego obsesji erotycznych. Niezwykle mocne są sceny stosunku z dziewczyną w ZOO w otoczeniu drapieżnych zwierząt, podobnie jak i scena kazirodczego stosunku dziewczyny z własnym ojcem. Sceny te nadają filmowi wyraz brutalności, ale czyż nasz świat nie jest światem brutalnym, pełnym lęków i obsesji...

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Kronika kulturalna

W DNIACH 24—28 września odbywały się w Łodzi organizowane przez Filharmonię Łódzką **Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej.** Dni uświetnił występ **Szkockiej Orkiestry** pod dyrekcją **Jerzego Maksymiuka.** Koncertowali także wybitni soliści polscy i zagraniczni.

CZYNNA jest do 20 października zorganizowana z okazji Dni Słupska wystawa portretów Stanisława Ignacego Witkiewicza pt. **„Firma portretowa S. I. Witkiewicza".**

W SALONIE Sztuki Współczesnej otwarta została wystawa malarstwa Jerzego Tadeusza Mroza

---

W Galerii Sztuki BWA czynna jest wystawa pt. **„Plastyka Marynistyczna".**

W Galerii Bałuckiej obejrzeć można wystawę pt. **„Fotografia jednego dnia".** Swoje prace wystawili tam: **Mirosław Araszewski, Marek Guz, Eugeniusz Haneman, Jarosław Jakowczuk, Witold Krymarys, Mariusz Łukawski, Wiesław Maciejewski, Jan Madejski, Andrzej Mańczak i Jerzy Najgebauer.**

SEZON Teatru Wielkiego rozpoczął się 28 i 29 września wieczorem galowym. Były to zapowiedzi premier, które ta scena chce zaproponować swoim widzom. Na program złożyły się fragmenty **„Cyrulika Sewilskiego" G. Rossiniego, „Snu nocy letniej" F. Mendelssohna Bartholiego, „Strasznego dworu" S. Moniuszki, „Rigoletta" i „Aidy" G. Verdiego** oraz **„Dyrektora teatru" W. A. Mozarta.** Gościem wieczoru była **Zdzisława Donat** „Galę" reżyserował **Ryszard Peryt.** Kierownictwo muzyczne sprawowali **Tadeusz Kozłowski** i **Wojciech Michniewski.** Wystąpili soliści Teatru Wielkiego: **Sylwia Maszewska, Jadwiga Mirecka, Kinga Rosińska, Maria Szczucka, Roma Owsińska, Hanna Rumowska-Machnikowska, Krzysztof Bednarek, Tomasz Fitas, Jerzy Jadczak, Tadeusz Kopacki, Kazimierz Kowalski, Andrzej Malinowski, Andrzej Niemierowicz, Zbigniew Macias, Józef Przestrzelski, Janusz Wojciechowski** i **Zygmunt Zając.** Widzom pokazany został także film łódzkiej WFO pt. **„Władysław Malczewski".**

W KINIE „Wisła" trwa przegląd filmów szwajcarskich. Ta niezbyt znana u nas kinematografia zaprezentuje sześć filmów o najróżnorodniejszej tematyce, od komedii, poprzez dramat obyczajowy aż do dramatu społecznego.

---

19 WRZEŚNIA w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki „Przyjaźń" w Warszawie odbyło się uroczyste wręczenie indywidualnych i zbiorowych nagród „Trybuny Ludu" Nagrody za osiągnięcia w kształtowaniu i upowszechnianiu socjalistycznych wartości kultury i nauki otrzymali: nagrody indywidualne I stopnia: **Krzysztof Chamiec** z Warszawy za zaangażowaną działalność zawodową i społeczną w dziedzinie teatru, **Wiktoria Czechowska Antoniewska** z Warszawy za zaangażowaną twórczość artystyczną w dziedzinie plastyki, **Bohdan Drozdowski** z Warszawy za zaangażowaną twórczość literacką oraz publicystyczną, **Maciej Galoch** z Warszawy — za działalność artystyczną dla dzieci i młodzieży, zwłaszcza za osiągnięcia związane z ogólnopolskim konkursem pt. „Barwy przyjaźni", **prof. dr Halina Janaszek-Ioanickowa** z Warszawy — za działalność naukową w dziedzinie słowianoznawstwa oraz twórczość literacką, **prof. dr hab. Mieczysław Szymczak** z Warszawy — za wybitne osiągnięcia naukowe i popularyzatorskie z zakresu kultury języka polskiego, w tym za inicjatywy związane z organizacją Kongresu Kultury Języka Polskiego, **Andrzej Twerdochlib** z Gdańska — za zaangażowaną twórczość literacką i aktywną działalność społeczną, II stopnia: **Apolonia Jasiewicz,** Chojno, woj. sieradzkie — za osiągnięcia w społecznej działalności kulturalno-oświatowej w środowisku wiejskim, **Edward Wendy** z woj. radomskiego — za osiągnięcia organizatorskie i popularyzatorskie związane z działalnością Muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie.

ZAKOŃCZYŁA się XXVIII Warszawska Jesień. Program festiwalu obejmował przeszło 20 koncertów, dwa spektakle operowe. Zostało wykonanych ponad 100 utworów, w tym 28 polskich kompozytorów. Odbyło się 12 prawykonań, w tym 9 polskich oraz 65 pierwszych wykonań, w tym 5 polskich.

LIST Z WYBRZEŻA

Teatr wyobraźni

ROZMOWA ZE ZDZISŁAWEM MIODOWSKIM — DYREKTOREM TEATRU LALKI I AKTORA „MINIATURA" W GDAŃSKU

— Wśród widowni dziecięcej Trójmiasta „Miniatura" cieszy się szczególnym powodzeniem. Wszystkie właściwie wasze przedstawienia są pokazywane przeszło sto razy, nie mówiąc o tak znanych spektaklach, jak „O Zwyrtale muzykancie", czy też „Bo w Mazurze taka dusza". Jednocześnie zaś „Miniaturze" nie udało się, jak dotąd pozyskać widzów dorosłych...

— Dotąd teatr grał głównie dla dzieci, zarówno na Wybrzeżu, jak też w samym regionie nadmorskim. Było to założenie programowe twórców, którzy w przeszłości prowadzili „Miniaturę". I nie ulega wątpliwości, że moi poprzednicy — myślę tutaj przede wszystkim o Natalii Gołębskiej, Ali Bunschu i Michale Zarzeckim osiągnęli piękne i wartościowe rezultaty, które wprowadziły teatr do czołówki polskiego lalkarstwa. Jednakże nie zamierzamy poprzestawać na wspominaniu dawnych osiągnięć, pragniemy, by „Miniatura" poszukiwała ciągle nowych form wyrazu, by była teatrem prawdziwie współczesnym. W związku z tym chciałbym, aby grono naszych odbiorców poszerzyło się o młodzież i widzów dorosłych. Będziemy w tym kierunku pracować.

— W tym roku „Miniatura" obchodzi 35 rocznicę swojego istnienia. Jednakże, jak się orientuję, obchody jubileuszowe zostały przełożone na przyszłą jesień ze względu na remont teatru.

— Gramy w tej chwili w Domu Kultury na Oruni. Nie ma co ukrywać, że warunki pracy są tam dość ciężkie. Nie przerywamy jednak działalności i przygotowujemy się do powrotu do stałej siedziby. Z konieczności poszerzyliśmy objazdy — nasz teatr w sezonie daje ok. 360 przedstawień, z czego blisko połowa odbywa się na terenie województwa. Ma to swoje znaczenie, gdyż „Miniatura" od lat prowadzi szeroko zakrojoną akcję edukacji teatralnej najmłodszych widzów. Dzisiaj przychodzą do nas, a w przyszłości zobaczymy ich zapewne na widowni Teatru Wybrzeże.

— Wspomniał pan, że „Miniatura" chce także pozyskać widzów dorosłych...

— Zależy nam na tym bardzo, by wyjść z utartych schematów i wyobrażeń o teatrze lalek jako zjawisku artystycznym. Często spotykam się z obiegową opinią, tyle powszechną, co świadczącą o nieznajomości przedmiotu, że teatr lalek to jakby gorszy rodzaj sztuki: ot, takie przedszkole artystyczne, zabawa dorosłych ludzi z kukiełkami. A przecież wiemy z przeszłości, że lalkarstwo może być prawdziwą sztuką. Dokonania Henryka Ryla w Łodzi, Marii Jaremy w Krakowie czy Leokadii Serafinowicz w Poznaniu, przekonały, że właśnie w teatrze kukiełkowym mogą powstawać przedstawienia, które wyrażają stan ludzkich umysłów i są przypowieściami o tak ważnej sprawie, jak kondycja człowieka. Kiedyś Gaston Baty powiedział: — „Czym jest przedstawienie lalkowe, jeśli nie trampoliną dla wyobraźni?". Zwykła kukiełka może stać się środkiem ekspresji twórczej, nie zaś zwykłą atrapą, namiastką życia. Ale wróćmy do pańskiego pytania. Chcemy grać dla dorosłych i będzie to druga płaszczyzna naszych penetracji artystycznych. Nie tak dawno odbyła się u nas premiera widowiska — zabawy twórczej — zatytułowanego „Szarate", które przygotował reżyser Zbigniew Wilkoński na podstawie dziecięcych utworów Stanisława Ignacego Witkiewicza. Jest to pierwsza próba wyjścia poza dotychczasowy krąg widzów. Maluchy bawią się świetnie na tym przedstawieniu, lecz widzę, że na widowni zasiada już młodzież i ludzie dorośli. W przyszłości, gdy wrócimy do Wrzeszcza, w naszym budynku będzie także sala kameralna, gdzie, być może, zaprezentujemy także spektakl kabaretowy, adresowany do dorosłych.

— Są to bardzo piękne zamierzenia, lecz znamy wszyscy kłopoty z reżyserami, pracującymi w teatrze lalkowym. Czy znajdzie pan realizatorów tych pomysłów?

— Niestety, w przeszłości ten rodzaj sztuki, którą się zajmuję był traktowany jak dziecko biegające samotnie po podwórku. W rezultacie dzisiaj w teatrze lalkowym mamy tylko szesnastu reżyserów z uprawnieniami zawodowymi (myślę o ludziach czynnych zawodowo). W tej sytuacji muszę sięgać po reżyserów z teatrów dramatycznych. Na szczęście udało mi się zainteresować twórców o określonym już dorobku artystycznym sztuką lalkową. Oprócz Zbigniewa Wilkońskiego będzie współpracować z nami Bogusława Czosnowska, która przez wiele lat była związana z Teatrem Wybrzeże. Zresztą krąg twórców, którzy chcą dla nas pracować jest znacznie szerszy — bardzo mi zależy, by gdańscy pisarze prezentowali w „Miniaturze" prapremiery swoich sztuk dla dzieci. Kazimierz Radowicz już przygotowuje dla nas scenariusz, trwają rozmowy z innymi twórcami. Chodzi przecież o to, by wyjść poza kanon repertuarowy, który od lat jest prezentowany w naszych teatrach lalkowych.

— „Miniatura" dużo jeździ po świecie — ostatnio byliście w Londynie i w Bremie. Jak tam są przyjmowane wasze przedstawienia?

— Nie przesadzę, jeżeli powiem, że nasze spektakle: „O Zwyrtale muzykancie" i „Bo w Mazurze taka dusza" ugruntowują pozycję polskiego lalkarstwa w Europie. Są one zbudowane na bazie naszej sztuki ludowej, a polski folklor posiada niezwykłe walory poetyckie, które na dodatek posiadają znaczną siłę teatralną.

— W przeszłości Natalia Gołębska, która przez długi czas prowadziła „Miniaturę" odwoływała się właśnie do naszej literatury ludowej. Czy zamierza pan kontynuować ten nurt?

— Zdecydowanie tak. Chcemy być teatrem, który będzie obracał się głównie w kręgu spraw polskich i to w oparciu o dobrze rozumiane wartości naszego folkloru. Wymaga to jednak długich i upartych poszukiwań repertuarowych.

— Jakie sztuki obecnie proponuje gdański teatr swoim widzom?

— Oprócz wymienionych już wcześniej tytułów gramy także „Tymoteusza Rymcimci" Jana Wilkowskiego, a także „Szopkę krakowską" Stanisława i Karola Estreicherów.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: WIESŁAW NOWICKI

(1)

O sobie, Janie i wojnie

WASYL KOCZNOW

NAJPIERW O SOBIE.

Ponawiam dla przyjaciół z Łodzi zaproszenie na jarzębiak, gdyż w ciągu ostatniego roku nikt się nie złakomił. Czyżby odebrano moje słowa jako zwykłą grzeczność, kurtuazję, konwenans — że to niby jeśli bywam w Łodzi, to wypada zaprosić do Iwanowa? Jeśli tak — to szkoda, bo muszę korale iwanowskiej jarzębiny dźwigać w butelkach do Łodzi. Nie chce Mahomet do góry, musi góra do Mahometa. Jedynie studenci łódzcy, pracujący w ubiegłym roku w Iwanowie poważnie potraktowali moje zaproszenie. Powtarzam więc, kto z łodzian będzie w Iwanowie — prywatnie, czy na delegacji — mój adres: ul. Chlebnikowa 50.

Otwieram drzwi od razu po pierwszym dzwonku, nawet jeśli jest późny wieczór. Taki zwyczaj miałem również w Łodzi. Nie zmieniłem się. W ciągu dwóch dziesięcioleci spędzonych w Łodzi miałem wielu gości z Moskwy, Leningradu, Wilna, Iwanowa. Często telefon uprzedzał wizytę. Odbierała go zwykle żona lub córka i zaczynały się poszukiwania u wszystkich znajomych, prośby, by ten, kto mnie spotka, przekazał, że natychmiast mam być w domu. Nieraz przeczuwałem gości jakimś szóstym zmysłem, nie lekceważyłem swędzenia prawej dłoni... Ten sygnał prawie zawsze się sprawdzał.

Zaglądali nie tylko przyjaciele, czasem jacyś znajomi moich znajomych. Pamiętam, zadzwonił kiedyś malarz Popławski z Moskwy, który przyjechał pospacerować po łódzkiej Piotrkowskiej. Skierował go do mnie stary warszawski druh Rysio Wójcik, specjalizujący się w portretowaniu ludzi niezwykłych, których opisał w swoich książkach „Święci garnki lepią", „Odmieńcy", „Czy bohaterowie są zmęczeni?", „Święte szalbierstwo".

Popławski zadzwonił z Dworca Fabrycznego. Zapragnąłem powitać go jak „europejczyk", wciągnąłem na siebie garnitur, białą koszulę, krawat, jakżeż — przyjechał znakomity Popławski, którego płótna wzbudziły namiętne spory w samym Paryżu! A gdy otworzyłem drzwi — kolana mi z wrażenia zadygotały: stał w nich ogromny, straszny brodacz, ubrany w malownicze łachmany, brudną, wymiętą bluzę i tak samo wymięte dżinsy — łata na łacie, dziura na dziurze.

— Pan do kogo? — spytałem machinalnie.

— *Nazywam się Popławski.*

Okazał się jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich zdarzyło mi się w życiu spotkać, człowiekiem dobrym, bezbronnym w swej szczerości i naiwnym jak dziecko. W Gdańsku ukradli mu japoński aparat fotograficzny, w Poznaniu — walizkę z rzeczami. Nie złorzeczył, spokojnie, z dobrotliwym uśmiechem opowiadał:

— *Nie wiem, jak to się stało, ale zostałem w tym tylko, co na mnie i nie mam grosza w kieszeni.*

Mam jakiegoś bzika na punkcie nowych znajomych, nie mogę egzystować bez nowych przyjaciół, a do Iwanowa rzadko kto zagląda. Zaś gdy przybędzie ktoś interesujący, rzucam się na niego, jak zgłodniały wilk na jagnię. Przyjechali tu kiedyś moskiewscy artyści, młodzi reżyserzy Mosfilmu, niektórzy z nich bywali również w Polsce.

— A Łódź pan zwiedzał? — to zawsze pierwsze pytanie, gdy słyszę o Polsce.

— *Oczywiście,* — słyszę w odpowiedzi i zaraz zaczynam „przepytywankę": „kogo w Łodzi pan poznał", „czy podobała się Piotrkowska".

— *Kto to jest? Aktorka, poetka, plastyczka?*

— Co pan? To główna ulica, taki „Newski Prospekt" Łodzi! A kobiety na niej — wszystkie jak aktorki, a nawet ładniejsze!

— *Ach, tak, tak, pamiętam. Taka ulica w stylu 'secesji, zaczyna się od okrągłego placu z pomnikiem Kościuszki na środku i starym ratuszem.*

Później gość wędruje do mnie na ulicę Chlebnikowa i obaj dzielimy się wszystkim, co wiemy i pijemy wszystko, co akurat znajduje się w domu. Oprócz jarzębiaku. Jarzębiak czeka na łodzian.

Dom bez przyjaciół — to pustynia. Lecz życie często tak się wrednie układa, że pustynia staje się domem. Mam kochaną i kochającą rodzinę, a mimo to jakże często jestem sam.

Bo raz jestem w Rosji, raz w Polsce. Raz z rodziną, raz bez niej. Czy to natura włóczęgi? Już ponad ćwierć wieku wiodę takie życie. Dobrze, że moja rodzina z Łodzi jest wyrozumiała. Co prawda, nie od razu żona zaakceptowała moje wyjątkowe prawo do bezgranicznej wolności. Wojna trwała dość długo. Obecnie muszę otwarcie wyznać, że oboje ją przegraliśmy, więc nie czujemy do siebie żalu. Jak długo można tak żyć w naszych trudnych czasach? Wzbudzam jakieś niezdrowe podejrzenia u wszystkich — u kobiet, u mężczyzn, a szczególnie wśród urzędników i prostaczków. Czegóż to nie domyślano się na mój temat — najbardziej popularna wersja: jestem synem jakiegoś prominenta, dlatego pozwala mi się jeździć za granicę, kiedy zechcę. A ja jestem synem zwykłego robotnika, wnukiem chłopa, ze Smoleńszczyzny. W Łodzi jestem dla wszystkich Rosjaninem, zaś w Iwanowie mówi się o mnie — Polak. Najczęściej mówią tak za plecami, czasami — w oczy.

To wszystko nie ma znaczenia. Na pytanie: jak się pan czuje? — mogę szczerze odpowiedzieć, że niezależnie od pogody czuję się dobrze tylko wtedy, gdy na Ziemi jest spokojnie, a ludzie zachowują się jak ludzie. Polityką się nie interesuję, ale prawdą jest, że moje samopoczucie bardzo zależy od atmosfery międzynarodowej, szczególnie zaś od sytuacji w Polsce, gdyż nie jest mi przecież obojętne w jakich warunkach żyje moja rodzina.

A mnie ciągle gdzieś gna, stąd — tam, stamtąd — tu i naprawdę byłem nieszczęśliwy, gdy musiałem siedzieć długo na jednym miejscu. Teraz to już mija. Jestem zmęczony. Czas by statek zawinął do portu. Tak mówi rozum i przeżyte lata, lecz trudno zmienić samego siebie i nie powiesz swojemu „alter ego" — idź do diabła! Oglądam film swojego życia i oceniam go bardzo krytycznie, ale cóż, nie da się go nakręcić po raz drugi.

Z początku bałem się być sam w domu, spałem z włączonym światłem. Zaprosiłem nawet brata z Litwy, zaczął pracować w Iwanowie. Ale było jeszcze gorzej. Brat jest plastykiem. Nie wiem dlaczego ciągle znajdował powód do opróżnienia butelki, a ja nie znoszę częstych wizyt Bachusa. Musieliśmy się rozstać, mimo iż na pewno był to z mojej strony dowód braku tolerancji w stosunku do ludzkich słabości. Miałem dużo pracy, przygotowywałem się do wykładów na Uniwersytecie Iwanowskim, musiałem mieć spokój i ciszę. Oprócz tego jako przewodniczący Klubu Słowiańskiego organizowałem zebrania koła naukowego, uczyłem studentów języka polskiego i opary alkoholu w mieszkaniu działały na mnie gorzej niż samotność.

O JANIE BERNARDZIE I O WOJNIE.

Zupełnie niespodziewanie zawitał do mnie na jarzębiak Polak ze Stawropola — rosyjski poeta Jan Bernard, z którym koresponduję ponad dwa lata, a wiersze jego polecałem łódzkim kolegom — tłumaczom. W nr. 9 „Osnowy" z 1984 roku Tadeusz Chróścielewski opublikował wiersze Jana Bernarda o Polsce w swoim przekładzie. Polak — rosyjskim poetą? Tak, rodowity Polak z Warszawy — radzieckim prozaikiem i poetą, a także artystą filharmonii w Stawropolu. To nie fantazja. Można sprawdzić u łódzkiego publicysty Stanisława Powołockiego, który prawie co roku odwiedza Jana Bernarda w Stawropolu. Jan dawno mieszka w Stawropolu, pisze wyłącznie po rosyjsku. Rosyjskim poetą zrobiła go wojna, bo to ona powikłała jego losy.

Narodowość poety i prozaika może nie mieć żadnego znaczenia, gdyż najważniejszą sprawą jest jego mentalność, sposób widzenia świata, a na to wpływ ma kultura i język, w jakim człowiek został wychowany. Pozostaje jeszcze rzecz główna — doskonała znajomość języka, w jakim się tworzy. Najgorzej, gdy się nie ma nic do powiedzenia w żadnym języku. Nie wiem, czy czytelnik „Odgłosów" uświadamia sobie, że w ZSRR dwujęzyczność pisarzy jest zjawiskiem powszechnym. Niektórzy nie-Rosjanie mieszkający w swoich ojczystych republikach piszą również po rosyjsku. A mieszkający wśród nich literaci-Rosjanie na odwrót zaczynają pisać w języku otaczającej ich ludności. Nie ma w tym nic dziwnego. Wśród piszących w „obcym" języku są pisarze o randze międzynarodowej. Po rosyjsku pisze Czukcza Jurij Rytcheu, Kazach Ołżas Sulejmenow, Kirgiz Czyngis Ajtmatow, Mansi Juwan Szestałow, Tatarzyn — Rustem Kutuj, który niejednokrotnie odwiedzał Zgierz, by złożyć kwiaty na grobie swego ojca Adela Kutuja — tatarskiego pisarza, oficera Armii Radzieckiej pochowanego w 1945 roku właśnie w Zgierzu, gdzie zginął podczas wyzwalania miasta. Po łotewsku pisze Rosjanka Ludmiła Azarowa. Nawet tom jej rosyjskich wierszy ma tytuł „Z akcentem łotewskim". Białorusiniec Wasil Bykow pisze zarówno w języku ojczystym, jak i po rosyjsku. Na Kaukazie pisał po rosyjsku Effendi Kapijew, autor głośnych „Notatników" wydanych w Polsce w znakomitym przekładzie Ziemowita Fedeckiego.

— *Dlaczego piszą po rosyjsku, jeśli na pewno ojczystym językiem władają lepiej?* — zapytał pewnego razu Wiesław Jażdżyński, wówczas naczelny redakcji „Odgłosów", który interesował się problemami wielonarodowej literatury radzieckiej i zamówił nawet u mnie specjalny materiał na ten temat.

Pamiętam, że obiecanego artykułu nie przygotowałem, już zaczynało mnie gnać do Rosji i z powrotem, lecz poruszyłem ten temat w swojej książce „Utracona Inonia" wydanej przez WŁ w 1976 roku. Obecnie znów nad nim pracuję. Moje dociekania potwierdziły wcześniejsze przypuszczenia — literaci radzieccy nie dlatego piszą po rosyjsku, że zatracającą swój ojczysty język, lecz przede wszystkim dlatego, że chcą przekazać czytelnikom wartości duchowe swego narodu w tym języku, który jest znany większości obywateli ZSRR. Przekład daje zawsze efekt gorszy od oryginału, zresztą czas potrzebny na translację ma w tym wypadku znaczenie niebagatelne. Nie można również być pewnym jakości pracy tłumacza. Może ona przynieść rezultat mizerny, tak się przecież zdarzało i zdarza. Mijają nieraz całe dziesiątki lat zanim pisarz wejdzie w obieg innego języka. z

Są w Kraju Rad języki, o których mało się wie nawet tutaj, nie mówiąc o zagranicy. Miałem w Iwanowie studenta Fatchułłę Dżamałowa z Dagestanu narodowości agulskiej. Nazywał siebie poetą rosyjskim. Jego naród, pokrewny Awarom, nie ma niestety do chwili obecnej swojego alfabetu i Dżamałow trudzi się właśnie nad stworzeniem alfabetu agulskiego, zbiera fiszki do słownika agulsko-rosyjskiego i rosyjsko-agulskiego. Studentkom z jego grupy mówiłem często:

— Pamiętajcie dziewczyny, macie przed sobą młodego klasyka — pierwszego agulskiego poetę i pierwszego agulskiego uczonego.

Dziewczyny darzyły wysokiego, przystojnego górala gorącym uczuciem, lecz w zamian otrzymywały tylko wiersze. Pisane oczywiście po rosyjsku. Pa awarsku Dżamałow nie umie tworzyć, a po agulsku jeszcze nie może, brak alfabetu, pisze więc po rosyjsku, żeby zaznajomić odbiorcę ze swoim malutkim narodem, który od początku świata zamieszkuje nadobłoczne szczyty Degastanu, wyżej niż wszystkie inne narodowości Kaukazu. Wyżej latają tylko orły. Agulia przez długie stulecia zamknięta była ze wszystkich stron niedostępnymi szczytami i trudnymi wysokogórskimi szlakami. Uzasadniona naturą izolacja negatywnie odbiła się na poziomie cywilizacyjnym Agulii.

Ciągle namawiam Jerzego Wilmańskiego, by wybrał się tam razem ze mną na szaszłyki, lecz na razie bez widocznego skutku. Szkoda. Pomogłoby to nam zebrać wiersze do planowanej przez WŁ antologii poezji dagestańskiej. Jan Bernard świetnie zna Agulię, którą jak i cały Dagestan przemierzył pieszo i na kołach, a obecnie jest pełnomocnikiem Towarzystwa Bibliofilów na Karaczajewo-Czerkiesję i uważają go tam za swojego — kaukazca. Jeździ tam z koncertami, a jednocześnie jako pełnomocnik Towarzystwa organizuje spotkania autorskie z pisarzami radzieckimi. Ma wielu przyjaciół wśród tamtejszych literatów. Wilmańskiemu i mnie dałby ten wyjazd bezcenny materiał poznawczy. Co prawda boję się trochę o swoją kondycję. Upał na Kaukazie niemiłosiernie suszy gardło, a musiałbym pracować za siebie i za Jerzego, jako jego tłumacz. Ale nic to, najważniejsze — to zebrać dobry materiał do antologii.

„*Przyjeżdżajcie* — pisze mi Jan — *postaram się ciebie i twojego łódzkiego kolegę okaukazić, a wy w zamian trochę mnie popolonizujecie. Jest mi to potrzebne. Zaprasza mnie do Łodzi Stanisław Powołocki. Zrobimy z tobą i łódzkimi kolegami wieczór muzykalno-literacki w Domu Przyjaźni pod hasłem: „Łódź—Iwanowo—Stawropol".*

Taki jest Jan Bernard. Uchodźcy z Polski roku 1939 niełatwo było zostać rosyjskim pisarzem. Przeszkadzała pamięć, nostalgia, osobista tragedia — utrata matki i nowa rodzina, którą założył ojciec na Kaukazie. Jak przez mgłę widzi Jan obrazy z wczesnego dzieciństwa, spędzonego w Falenicy pod Warszawą. Wyraźniej — pożary, wybuchy bomb i ryk samolotów nad głową.

Przez długi czas, gdy zamykał oczy — widział matkę. Matka stała się jego marzeniem, głodem i pragnieniem, halucynacją. Miał niewiele ponad 3 lata, a dziecku w tym wieku matka potrzebna jest jak tlen. Matka i dziecko są jednym organizmem, ich serca biją tym samym rytmem, ból i radość są wspólne. Jan wszędzie słyszał głos matki, nozdrza pamiętały jej zapach, szukał jej, wołał, płakał we śnie. Postać matki-Polki — stanie się w jego poezji krzykiem rozpaczy, wołaniem, obsesją, zamieni się w płonącą Warszawę, w Wisłę, ulicę Miłą, gdzie poeta urodził się. To będzie skażona bólem twarz Nike i ręce unoszące miecz.

Chciałbym, by łodzianie usłyszeli wiersze Jana Bernarda w jego własnym wykonaniu, właśnie te wiersze o matce i o Warszawie. Nie w wykonaniu recytatorów i nie w przekładzie na polski, lecz w oryginale. Myślałem, że dowiem się czegoś więcej o jego matce, gdy Jan był u mnie w Iwanowie. Zobaczyłem jednak, że na samo wspomnienie matki głos jego chrypnie, słowa z trudem wydostają się ze ściśniętego gardła, twarz kamienieje, a oczy mogą za chwilę trysnąć łzami. Miałem przed sobą świadectwo zranionej pamięci serca dziecięcego, które pękło kiedyś z bólu, które wraz z matką utraciło całe dzieciństwo.

Gdzie ja to widziałem? W Łodzi, w Parku „Promienistych", miejsce hitlerowskiego barbarzyństwa i męki niewinnych dzieci upamiętnione jest takim wstrząsającym pomnikiem: wielkie pęknięte serce. No i jeszcze na Retkini — piękny symbol macierzyńskiej miłości. Nigdzie poza Łodzią nie widziałem podobnych pomników i przechowuję je w pamięci jak skarb.

Jan nie mówi po polsku. Jego pamięć zachowała tylko jedno pytanie po polsku: „*gdzie jest mama?*", powtarzane bez końca podczas straszne wędrówki z ojcem i bratem. Malutkie ręce wczepione były w czerwone wełniane palto mamy, którym był otulony — to palto też pozostało w pamięci.

By uniknąć śmierci z nieba trzeba było iść lasami i polami położonymi z dala od dróg i wsi. Ludzie nie wiedzieli dokąd idą, po prostu chcieli się znaleźć w takim miejscu, gdzie nie ma wojny, Niemców. Gdy doszli do granicy radzieckiej po raz pierwszy od wielu dni najedli się do syta gorącej zupy z żołnierskiego kotła. Ma ciągle w oczach zbombardowany most przez jakąś rwącą rzekę. Wielu w panice i ze strachu zaczęło przeprawiać się na drugi brzeg wpław i na wozach, chcąc uratować dobytek. Nad rzeką unosił się rozdzierający krzyk tonących. Ojciec przeniósł go na rękach po ocalałych wiązaniach mostu, zostawiając na pastwę losu walizę i tobołek z rzeczami. Zachowało się tylko to czerwone palto, w które owinięty był Janek. Jego starszy brat Stanisław szedł o własnych siłach prowadzony przez ojca za rękę. Polska ogarnięta pożarem wojny traciła swoje dzieci.

Ignacy Bernard, jak wszyscy Polacy, walczył dopóki było czym. Nie porzucił Warszawy, by ocalić siebie i swoją rodzinę. Po pierwszym bombardowaniu wywiózł dzieci na wieś do krewnych i wrócił do miasta, walczył w obronie stolicy, został ranny, wzięto go do niewoli. Szedł w kolumnie jeńców na zachód, a myślą był przy dzieciach. Niepokój o ich los uśmierzał ból w ranie i gdy podczas marszu przez jakąś wieś ujrzał otwartą furtkę w głąb porzuconego gospodarstwa, skoczył w nią bez namysłu. Niemcy byli chyba pewni, że uciekinier zginął od serii pistoletów maszynowych, gdyż pościgu nie było. Poza tym bali się chyba, że pozostawiając jeńców bez odpowiedniego dozoru sprowokują ich do masowej ucieczki, tym bardziej, że wieś była gęsto zabudowana.

O zmierzchu Ignacy Bernard opuścił swoją kryjówkę i ruszył pod Warszawę do dzieci. Później nie umiał nawet odtworzyć, jak to się stało, że nie zginął w momencie ucieczki. Pamiętał tylko, że biegł jak szalony między drzewami ogrodu, słyszał gwizd kul koło siebie, że nagle padł w krzaki malin pod płotem i zrobiło się tak cicho, iż zatknął sobie ręką usta, przestraszony szumem własnego oddechu. Był pewnie w szoku, kiedy to człowiek przestaje odbierać wrażenia otaczającego świata i całe jego jestestwo koncentruje się tylko na jednym — żyć, uciec od śmierci.

Ignacy Bernard nie pamięta, jak zaległ pod płotem w końcu ogrodu. Pamięta tylko jak biegł, a wokół gwizdały kule. Dopiero gdy niebezpieczeństwo minęło, ujrzał ogród, maliny, płot. Wędrówka do dzieci trwała parę dni, musiał przecież ukrywać się przed Niemcami. Dotarł do wsi o zmierzchu i tej samej nocy ruszył wraz z dziećmi dalej na wschód. Chciał je uchronić od wojny, od niebezpieczeństwa, od śmierci. Gdy miał jeszcze w ręku karabin nie opuszczała go nadzieja, że znajdzie swą żonę Bronisławę, która zginęła podczas któregoś bombardowania. Nie dopuszczał myśli, że zginęła, czekał na nią w Falenicy do ostatniej chwili przed ewakuacją dzieci na wieś.

Przez całą wojnę Ignacy Bernard szukał swojej żony, wierząc nieugięcie, że jeszcze żyje. Szukał jej również po wojnie przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Dopiero po przyjeździe do Oświęcimia jego nadzieje runęły — zobaczył na ścianie baraku fotografię kobiety, wychudzonej jak szkielet i łudząco podobnej do jego Bronisławy. Jan, stojący obok, zauważył, jak ojciec zbladł, jak trudno mu było złapać oddech. Gdy wyprowadził go na powietrze, usłyszał wypowiedziane głucho słowa:

— *To była, zdaje się, twoja matka, synu.*

I już o nic więcej nie pytał. W książce „Dzieci wojny" Jan Bernard tak opowiada o tym oświęcimskim „spotkaniu" z matką:

„*Baraki Oświęcimia wypełnia napięta cisza. W którymś miejscu ojciec długo wpatruje się w zdjęcie kobiety, wycieńczonej tak, że widać jakby gołe kości czaszki. Spojrzenie ciemnych oczu zawiera tyle bólu, że robi mi się nieswojo. Nagle ojciec blednie. Podpieram go ramieniem.*

(...)Zapraszają całą grupę do sali projekcyjnej. Ojciec nie ma siły oglądać dokumentalnych filmów o zbrodniach popełnianych na więźniach. Idzie, nie czując deszczu, w stronę pól rozciągających się tuż za obozem. Prosi, bym zostawił go samego. Spełniam jego prośbę pozostając o kilka kroków w tyle. Patrzę na jego zgarbione plecy i czuję, że deszcz siecze mi boleśnie oczy. Spojrzałem na szare, smutne pola. Ta rozległa przestrzeń wokół obozu przyjęła prochy mojej babki. O tym wiem. Czyżby i matki? Czy ojciec naprawdę ją poznał? Wtedy nie mogłem przypuszczać nawet, iż matka żyje i że znajdę ją po wielu, wielu latach".

CDN.

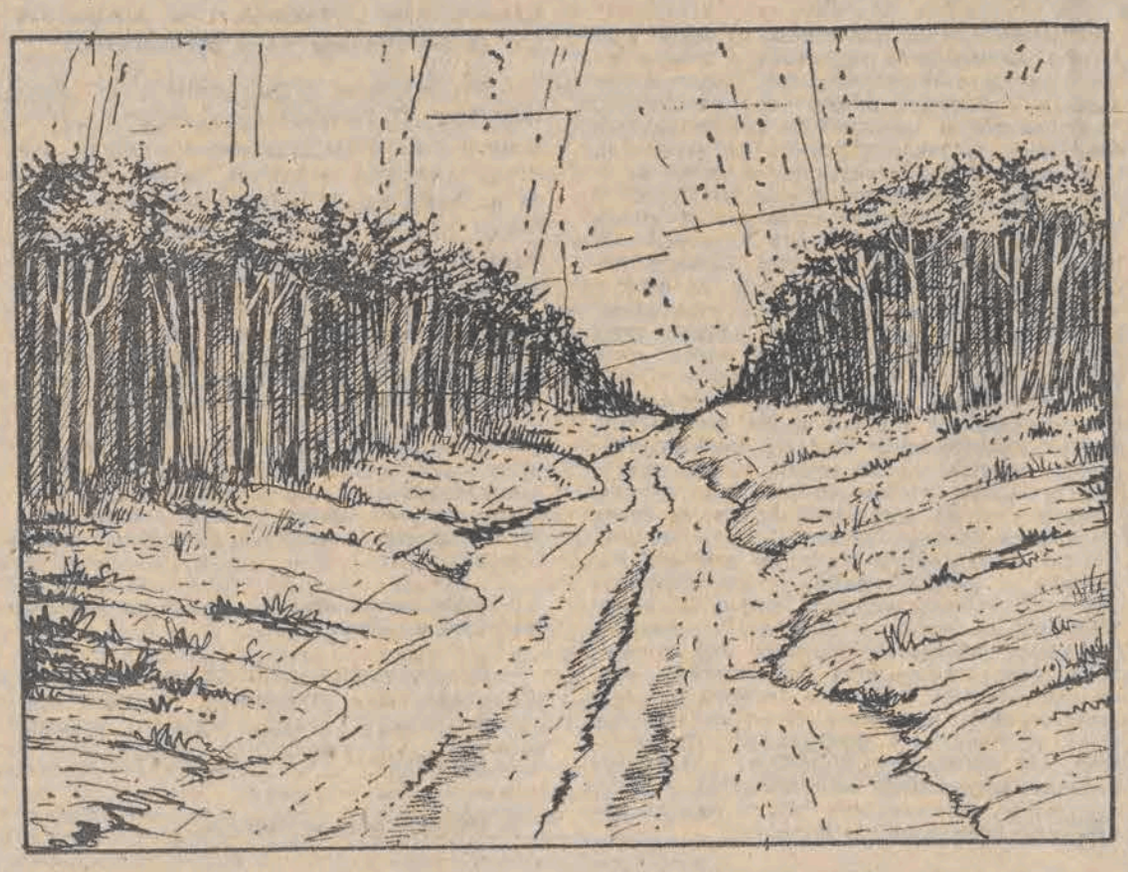

Rys. Janusz Szymański-Glanc

ze str. 1

dniego udziału w handlu, ale wtykający gdzie się da swoje ręce i nosy.

Gromadka polskiej młodzieży śpiewała na znaną, choć nie sprecyzowaną bliżej nutę pokrzepiające zaiste zwrotki:

A na skraju targowiska
nóż, walizka, nóż, walizka,
prześcieradło, młotek, miska,
nóż, walizka, nóż, walizka!

Zasięgnęliśmy języka. Informacje, jakich nam udzielono, nie były precyzyjne. Otóż położony nad morzem, u brzegu stromej, lecz niewysokiej skarpy plac należał i w zasadzie należy do pewnego Polaka o nazwisku Wiśniewski lub Brzeziński (obydwa te nazwiska są w Grecji bardzo modne i każdy działający tu aktywnie Polak nazywa się Wiśniewski lub Brzeziński). Osobnik ten, zapobiegliwy i rzutki, postanowił zainwestować w plac parę zdrowych groszy i wybudować na nim, wedle jednych opinii — hotel, wedle drugich — fabrykę konserw rybnych, a wedle trzecich — nowoczesną przetwórnię owoców. Zetknęliśmy się również z szeregiem innych, nieprawdopodobnych opinii których nie mam odwagi przytoczyć. Tak czy owak Wiśnieszczak, jak mawiali o nim rozbawieni Warszawianie, zaciągnął w greckim banku niebagatelne pożyczki i przystąpił do dzieła, dzięki czemu w centralnej części placu powstały jakieś zamaszyste betonowe fundamenty, jakaś szeroka platforma, jakaś pozbawiona póki co poręczy klatka schodowa i jakiś dach o ni to hotelowych ni fabrycznych niszach, których okna, żeby było zabawniej, nie wychodziły na zatokę, lecz na ląd

Trzeba tu od razu powiedzieć, iż Grecy i Polacy trzymali się od budowli pana Wiśniewskiego z daleka, wzięły ją natomiast bez pardonu we władanie hordy cygańskie, rozkładając się na platformie pod nie dokończonym dachem. Wprowadzili na nią zdezelowane samochody osobowe, japońskie półciężarówki firmy Jamaha, trochę jednośladowców także wyprodukowanych przez Japończyków spod znaku Hondy Jamahy, Kawasaki i Suzuki oraz kilka wspomnianych już, strupieszałych autokarów, jakimi przewozi się w Polsce ludzi ze wsi do miasta i z powrotem.

Obraz ten świadczył dowodnie, iż współczesne cygaństwo europejskie zrezygnowało już w zasadzie z wozów konnych i poszło na kompromis z wymogami cywilizacji nie do tego stopnia jednakże, aby bawić się w caravaning i ciągnąć za sobą wyposażone w łóżka przyczepy. Cygan woli mimo wszystko spać w namiocie. Toteż horda cygańska rozpięła na betonowym klepisku, należącym skądinąd do pana Wiśniewskiego, kilkanaście niebywale ściochranych namiotów, których dachy i ściany były albo dziurawe, albo były jak posztukowane, przy czym łaty częściej pochodziły z plastykowych opakowań niż z brezentu.

Znający się na rzeczy podróżnik byłby zapewne zdziwiony jakim to w ogóle sposobem można postawić namiot na litej, betonowej podłodze, ale Cyganie doszukali się różnych dziur, szpar, szczelin i pęknięć i powbijali w nie bezlitośnie tak zwane śledzie i haki. Towarzyszyły Cyganom duże i małe zwierzęta; kury i barany przeznaczone na rzeź oraz zamknięte w klatkach szczygiełki i słowiki. Nie zabrakło także kotów i psów obrywających co i rusz kopniaki.

Zgraja cygańskich dzieci, znudzonych już trochę handlem na targowisku, wspięła się na dach i obsiadłszy jego krawędzie wrzeszczała wniebogłosy, obtłukując gzymsy i bombardując kłębiącą się na placu gawiedź.

Inwestycja pana Wiśniewskiego niszczała dosłownie w oczach, zapytałem więc jednego z Polaków, co na to wszystko właściciel.

— *Nie ma go* — usłyszałem.
— Wyjechał?
— *Uciekł.*
— Gdzie?
— *Do Turcji.*
— I co tam robi?
— *Biznes.*
— Taki sam jak w Grecji?
— *Lepszy* — wtrącił przysłuchujący się rozmowie Grek i zaczął tłumaczyć w kulawej polszczyźnie: — *U nas mały biznes, u Mustafy duży.*

Jakby na potwierdzenie tych słów, młodzież polska zapiała chóralnie:

Nocnik jedzie na sprzedanie
nóż, walizka, drogi panie!
Świder, kubeł, dwa łożyska,
nóż, walizka, nóż, walizka!

Było już całkiem ciemno i od morza zawiewało chłodem. Grecy opuszczali powoli targ, a Polacy wycofywali się do swoich samochodów i przyczep. Tylko Cyganie siedzieli w najlepsze przy ogniskach i przy rusztach, na których opiekali coś od dobrej godziny.

Kilku Polaków przyglądało się temu z zainteresowaniem, ale jakaś dama z okolic Białegostoku dostała torsji.

Ktoś zauważył z przekąsem:
— *Przyjemny zapach,*
— *Co oni pitraszą?*
— *Szczury.*
— *Żartuje pan?*
— *W żadnym wypadku.*
— *Jak w okupację, Boże kochany! Jak w okupację!*

Zapanował nastrój sprawiedliwej zgrozy i zgorszenia. Małe Cygaciątka zlazły tymczasem z dachu i aby skrócić jakoś czas, który dzielił je od smakowitej wieczerzy, napraszały się o gumę do żucia i cukierki.

Były i takie, które próbowały robić biznes. Kiedy rozbijaliśmy namiot, podszedł do Łukasza chudy, ciemnoskóry brzdąc i usiłował kupić od niego za sto drahm latarkę. Nieco później, jakeśmy postawili już budę, brzdąc wrócił z ojcem, aby ofiarować za latarkę dwieście drahm. Byli nachalni i nie chcieli odejść, więc musiałem w końcu na nich wrzasnąć.

Polska rodzina, która przywlokła się na plac trabantem, nieco później niż my, wypytywała niespokojnie:

— *Można tu przekoczować jedną noc?*

Dobrze poinformowany rodak odpowiedział:

— *Można.*
— *Policja goni?*
— *Nie goni.*
— *Cyganie kradną?*
— *Nie kradną.*
— *Płaci się za plac?*
— *Nie płaci.*
— *Tydzień temu* — wtrącił się do rozmowy rodak, który był jeszcze lepiej poinformowany — *były dwa — trzy razy dziennie naloty policyjne. Nie zabierali jednak paszportów i nie odwozili na posterunek. Żądali natomiast, aby im zapłacić pięćset drahm (około* jedenastu dolarów) *za prawo postoju i handel. Kto zapłacił otrzymywał kwit upoważniający do popasania i biznesowania na placu przez okrągły miesiąc.*

— *Przecież w Grecji nie płaci się za dzikie campingi i wszędzie wolno biwakować?*

— *Wszędzie, ale nie tutaj; pan Wiśniewski narobił długów i uciekł, więc policja, aby zbić trochę poniesione przez ojczyznę koszty, zaczęła wlepiać mandaty. Kto głupi, to bulił, a oni chowali na pewno pieniądze do własnej kieszeni, rozumiesz pan?*

— *Rozumiem* — przytaknął właściciel trabanta i poruszył nerwowo grdyką. — *Wystawcie sobie, panie kolego, że w Angelohore pod Salonikami...*

— *Znam!* — uciął krótko najlepiej poinformowany z Polaków.

— *Co pan zna?*

— *Bazar pod Salonikami. Policja goniła tam jak cholera!*

— *Owszem, ale nie wrzucała mandatów; co najwyżej brała na posterunek, albo zatrzymywała do wyjaśnienia paszporty*

— *Tak, lecz miejscowa ludność bardzo im w tym przeszkadzała ujmując się za szykanowanymi turystami i czynnie stając w ich obronie. Rozumiesz pan?*

— *Rozumiem* — oświadczył nieco przestraszony biznesmen z Lublina, który miał z górą sześćdziesiąt lat i jak do tej pory, dorobił się na razie trabanta. Był wszelako człowiekiem ambitnym i postanowił dokończyć myśl. — *Otóż policja policją, zgadzam się jak najbardziej z szanownym panem, ale wystawcie sobie kolego, że oprócz policji przychodził codziennie z rana na bazar w Angelohore pewien straszliwy obwieś z drukowanym kwitariuszem, na którym pisało coś greckimi bukwami...*

— *Znam* — przerwał znowu najlepiej poinformowany rodak.

— *Te bukwy?*

— *Nie, tego cwaniaka. Przychodził z rana, kiedy naród polski wygrzebywał się z namiotów, i mówił machając kwitariuszem: — Jestem szeryf, musicie mi zapłacić sto pięćdziesiąt drahm, a ja wam dam zaświadczenie i będziecie mogli koczować tu i biznesować bez obawy przed policją. Kto nie zapłaci, popamięta.*

— *Ale nikt nie chciał mu płacić, panie kolego* — powiedział lubelski biznesmen i spojrzał na żonę, która mimo wiatru i ciemności próbowała przysposobić mu na gazowej maszynce jakąś strawę. — *Ja w każdym razie nie dałem ani grosza, bo rozszyfrowałem od razu aferanta. Tak było, Jadźka, czy nie?!*

Jadźka, czyli pięćdziesięcioparoletnia żona lubelskiego trabancisty, skądinąd także matka dwojga osowiałych dzieciaków, które podobnie jak ona były już zmęczone i miały wszystkiego dosyć, wyprostowała nagle pokorny i udręczony grzbiet i zasyczała z wielką doprawdy zajadłością:

—*W pierwszej chwili przestraszyłeś się i chciałeś zapłacić, idioto!*

— *Ja?!*

— *A kto? Może ja? Prasnęłam ścierką i obrzympoł uciekł. Co będziemy tracić na próżno czas. Lepiej dowiedz się, jak chodzi marka.*

Polska młodzież śpiewała przed snem:

Stary pije kawę z mlekiem,
stara kręci biznes z Grekiem.
Frajerowi oko błyska,
nóż, walizka, nóż, walizka.
Będzie forsa, będzie luz,
nóż, walizka, nóż!

Dziwna to była noc. Leżeliśmy w namiocie i nasłuchiwaliśmy szumu morza w zatoce. Z pobliskiej tawerny napływały dźwięki tęsknych melodii ludowych. Był to niewątpliwie folklor, ale zdaniem pani redaktor Tejchmowej folklor grecki różni się od folklorów w innych krajach Europy choćby tym, że jest żywy, spontaniczny i powszechnie praktykowany nie tylko na Placu pod ateńskim Akropolem, lecz we wszystkich miastach i wioskach.

Małe Cyganiątka zażywały kąpieli do godziny drugiej nad ranem wzniecając trudny do opisania harmider. Ulokowana na platformie pana Wiśniewskiego starszyzna usiłowała przywołać je do porządku rycząc z oburzenia i miotając przekleństwa. Nie sprzyjało to zaśnięciu.

Obudziłem się wczesnym rankiem zmęczony i zły. W podobnych nastrojach wstała moja rodzina. Zjedliśmy śniadanie, a w południe zamknęliśmy namiot i samochód, i poszliśmy trochę popływać w morzu, które było ciepłe i przyjazne. Greków jeszcze nie było, pomiędzy Cyganami zaś i Polakami poznikały w wodzie wszelkie animozje i różnice.

Łukasz bawił się z opalonym na heban dzieckiem prawie tak wesoło, jak parę dni temu bawił się w Atenach z wnuczką ambasadora — jasnowłosą i niebieskooką Justynką. Żona co pewien czas rzucała okiem na samochód i namiot, które pozostały w pewnym sensie bez opieki, a ja paliłem polskiego papierosa podupadłej, ale wciąż jeszcze najlepszej marki Caro i obserwowałem majaczące na widnokręgu statki sunące leniwie ku Dardanelom.

Pomyślałem, że jestem bardzo szczęśliwy i że nie mam w gruncie rzeczy nic przeciwko Cyganom, którzy wszakże jedli wczoraj na kolację szczury i wrzeszczeli przez okrągłą noc. Nagle zauważyłem, że twarz żony przybrała wyraz troski i osłupienia.

— Co się stało? zapytałem?
— *Zobacz!*

Spojrzałem. I zakląłem. Tam gdzie jeszcze przed chwilą sterczał namiot, było pusto.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CDN.

Tabor cygański na bazarze Wiśniewskiego (1)

Sport i pieniądze (2)

RUGBY NARZEKA

Nie tyle ludzie, ile sprzęt i organizacja kosztują bajońskie sumy i dziś nie da się już taniej niż za jakieś 4 mln franków zorganizować większych zawodów. Stąd też konieczność odwoływania się do możliwie największej liczby partnerów.

4 mln franków: taka jest również średnio roczna subwencja, jaką we Francji zarząd miejski przyznaje swemu pierwszoligowemu klubowi zawodowej piłki nożnej. Lewica, która długo była wrogo nastawiona do „patronatu" nad zawodowymi sportowcami, w ostatecznym rachunku musiała sobie uświadomić oczywisty fakt, do jakiego stopnia ważniejsze imprezy sportowe stały się manną z nieba dla miejscowego handlu: zatłoczone hotele i restauracje.

Boska Katarina Witte może sobie do woli ślizgać się przed kamerami telewizyjnymi na tle plakatów reklamowych, którymi jak we wszystkich dyscyplinach sportu wyklejane są stadiony i hale, i tak otrzyma tylko 400 franków szwajcarskich za występ — mówi dyrektor techniczny klubu francuskiego, Michael Dolavier.

Rugby narzeka jeszcze bardziej: zawodnicy, którzy uczestniczyli w XV mistrzostwach Francji — w czasie tournée po Australii i Nowej Zelandii otrzymują zaledwie po 12 funtów dziennie oraz 500 franków za mecz rozgrywany w turnieju pięciu narodów — zaklina się prezes federacji francuskiej, Albert Ferrasse. Budżet największych francuskich klubów wynosi zaledwie 2,5 mln franków. Zresztą, nietrudno to zauważyć — francuscy artyści owalnej piłki przymierają głodem i wyglądają jak szkielety. „Jesteśmy ostatnią dyscypliną, która opiera się pieniądzom" — mówi A. Ferrasse.

WE FRANCJI ANI POTĘŻNY, ANI ŻAŁOSNY

Słynny rysunek Jacquesa Faizanta, który przed 25 laty obiegł świat, dzisiaj nie byłby już dobrą ilustracją sytuacji i morale francuskich sportowców. Rysunek ten przedstawiał generała de Gaulle'a, który w dresie i z torbą sportową na ramieniu, udawał się na Olimpiadę do Rzymu (1969 rok), gdzie francuska ekipa narodowa, z kilkoma wyjątkami — takimi np. jak Michael Jazy — dała się rozłożyć na cztery łopatki; karykaturzysta włożył prezydentowi w usta następujące słowa: „Stanowczo, wszystko muszę sam robić". W ubiegłym roku prezydent Francois Mitterrand nie musiał wybierać się do Los Angeles i w kapeluszu z szerokim rondem udawać tam kowboja w reaganowskim stylu...

28 medali: nawet jeżeli dzięki nieobecności drużyn z krajów wschodnioeuropejskich zdobycie niektórych z tych trofeów było ułatwione, żniwo od dawna już nie było takie bogate. Jest to, naturalnie, sprawa talentów, ale także wynik poparcia finansowego w wypadku samej chociażby lekkiej atletyki — mówi dyrektor administracyjny federacji narodowej, Pierre Weiss — pomoc rządu na przygotowanie się do Olimpiady sięgnęła 1,9 mln franków, które rozdzielono w zależności od poziomu wyników, względnie od sytuacji społecznej kandydata do narodowej ekipy olimpijskiej.

Tradycyjnie znakomici w dyscyplinach cieszących się sławą „szlachetnych", jak dżudo, szermierka, jeździectwo, rugby, żagle, ale które uprawiano z powodzeniem tylko na jednym lub dwóch kontynentach, Francuzi od jakichś 10 lat, bardzo często po długich cierpieniach, zdołali rozszerzyć swój rejestr międzynarodowy.

Znów wypłynęli w piłce nożnej (zespół Platiniego i drużyna olimpijska), w tenisie (Yannick Noah i Henri Leconte), w boksie (Louis Acaries, Antoine Montero), w narciarstwie kobiet (Perrine Pelen), w takich sportach jak automobilizm — Alain Prost, kolarstwo — Bernard Hinault i Laurent Fignon, motocykl — Christian Sarron.

ZMIENIĆ „PORZĄDEK"

Z pewnością istnieją jeszcze rozległe strefy cienia, zwłaszcza w dwóch wiodących dyscyplinach olimpijskich, a mianowicie w lekkiej atletyce — mimo że są tyczkarze oraz w pływaniu — mimo że w Los Angeles zrobiono postęp, którego ilustracją są wyniki uzyskane przez Frèderica Delcourta. Nie można jednak powiedzieć, by reprezentanci Francji przesadnie tłoczyli się na podium zwycięzców w gimnastyce, wioślarstwie, sportach rozgrywanych na lodzie, czy w sportach zespołowych, takich jak koszykówka, piłka ręczna czy siatkówka, chyba że mielibyśmy do czynienia z jakimś wyczynem. Ogólnie jednak biorąc, w roku 1985 sport francuski nie jest śmieszny. Jest ani potężny, ani żałosny.

W kraju, który we własnych oczach uchodzi za taki, w którym przeważają „kameralni" sportowcy, jest — co podkreśla prezes francuskiego Komitetu Olimpijskiego i Sportowego (CNOSF), Nelson Paillou — 11,5 mln osób uprawiających po trochu wszystkie dyscypliny; innymi słowy, sport uprawiają: co piąty Francuz (wliczając w to oseski i starców) oraz milion działaczy sportowych.

Trzeba również powiedzieć, że na terenie Francji działa w sumie 60 federacji sportowych, od najbardziej klasycznych po takie jak federacje piąstkówki, wędkarzy łowiących w morzu albo uprawiających pirogę polinezyjską.

Taki eklektyzm jest zarazem sympatyczny, ponieważ stwarza wielkie możliwości wyboru — ważne jest, by mieć trochę ruchu; komercjalny, ponieważ wymaga wszelkiego rodzaju sprzętu, ale także szkodliwy, ponieważ zakłada rozdrobnienie subwencji. Już teraz budżet ministerstwa ds młodzieży i sportu sięga zaledwie 0,26 proc. — w 1986 r. być może 0,3 proc. — budżetu państwowego; m.in. Alain Calmat woli jednak operować realnymi liczbami: jego resort otrzymał w tym roku 2,2 mld franków i razem z różnymi wpłatami od różnych społeczności lokalnych sport narodowy (elitarny i masowy) w ramach oficjalnych kredytów w sumie otrzymał zastrzyk w postaci 14 mld franków. Trzeba do tego dodać wpływy z loterii sportowej (jeżeli zostanie wznowiona) i oczywiście, wszystkie dotacje państwowe i prywatne.

LEWICA I MOTOR WOJNY

„Sport przetrawia dużo pieniędzy — stwierdza minister. — Trzeba je inaczej rozdzielić. Pomiędzy kogo?". „Sport potrzebuje dużo pieniędzy" — kontynuuje. Kto ma je dać?". Trafne pytania... Można w tym kontekście zauważyć, że w 1984 r. piłka nożna była tą dyscypliną, która w największym stopniu korzystała z subsydiów Narodowego Funduszu Rozwoju Sportu (FNDS) — zasilanego z potrąceń od wpływów z zakładów na torach wyścigowych i z loterii państwowej; futbol otrzymał 9.885.000 franków, a więc więcej niż lekka atletyka (7.690.000 F), narciarstwo (5.643.000) i pływanie (4.850.000 F).

„Niezależnie od tego, jaką dyscypliną sportu zajmowaliśmy się — mówi Alain Calmat — trzeba mieć na uwadze championa. Jest rzeczą nie do zniesienia, by jeden sportowiec nie pozwalał żyć drugiemu. Nie ma też żadnego powodu, aby sportowcy byli karani finansowo przez tych wszystkich, którzy gdzieś za kulisami żyją ze sportu. Trzeba planować karierę, czuwać nad ogólną pozycją wyczynowca, przygotować jego sytuację po zakończeniu kariery sportowej. Wiele jest możliwości. Podpisaliśmy już 400 umów w tym duchu, a do czasu Igrzysk Olimpijskich w Seulu w 1988 r. podpiszemy jeszcze drugie tyle. W tym sensie mniejszy nacisk kładłbym na pieniądze, a większy na sposoby działania". (Umowy, o których wspomina A. Calmat, polegają na tym, że pracodawca (państwowy lub prywatny) zobowiązuje się zatrudnić wyczynowca i wynagradzać go w zależności od jego kwalifikacji, zezwalając mu na to, by jedną czwartą lub połowę swego czasu pracy, a nawet cały czas pracy poświęcał na trening; w zamian za to ministerstwo ds. młodzieży i sportu udziela pracodawcy subwencji na rozwój sportu masowego w danym przedsiębiorstwie.

Nelson Paillou myśli podobnie. „Mniej chodzi o to — mówi — by troszczyć się o zarobki lekkoatlety, chodzi raczej o to, by uzyskać możliwości prowadzenia narodowej polityki sportowej. Na ogół, albo mamy do czynienia z wszechstatyzmem, który pleni się w krajach totalitarnych, albo też, jak np. w Stanach Zjednoczonych i Włoszech, z jakimś superliberalizmem. W obu tych wypadkach siły polityczne lub gospodarcze raczej posługują się młodymi ludźmi niż im służą. My wybraliśmy trzecią drogę, która będzie w przyszłości dominować, postanowiliśmy mianowicie, że będziemy wspólnie — władze państwowe i sektor prywatny — finansować politykę sportową, pod wyraźnym jednak warunkiem, że operacji tej stale będą przewodziły zrzeszenia sportowe".

Jest to nowy ton: jeszcze przed majem 1981 roku lewica uważała, że stosunek między sportem a pieniądzem jest w jakimś sensie nieprzyzwoity... Kiedy zwraca się na to uwagę prezesowi CNOSF, pozwala on sobie na krytykę własnych przyjaciół: „W tej dziedzinie lewicę należałoby nieco odkurzyć. Z zastrzeżeniem, które zrobiłem, nie należy popadać w kompleksy na samą myśl o podpisywaniu z firmami kontraktów (oczywiście określających prawa i obowiązki obu stron)". I jako były profesor literatury dodaje: „Sport jest kulturą, ponieważ za pośrednictwem sportu można się „samourzeczywistnić". Prawdą jest jednak, że wychowawca musi pozostać... panem sytuacji".

„Pieniądze zainwestowane w sport są brudne tylko wtedy, kiedy używa się ich do fałszowania wyników i zakładania „lewych kas", albo do tego, by bezwstydnie zwabiać młodych ludzi — uważa doradca techniczny w departamencie sportu, dawniej dyrektor techniczny krajowego związku wioślarskiego, Bernard Bourandy. Na szczęście jednak, są one na ogół wykorzystywane do zupełnie innych celów. Od lat sześćdziesiątych sport wyczynowy stał się produktem eksportowym. To także jest wojna, a jej motorem jest pieniądz. Jak można wymagać, aby mistrz sportu, który nie jest zawodowcem, przez sześć miesięcy w roku nie przychodził do pracy i ćwiczył w tym czasie, aby osiągnąć dobre wyniki, jeżeli w taki lub inny sposób ktoś go nie weźmie na utrzymanie?".

Stypendia na przygotowanie się do Olimpiady (do 10.000 franków miesięcznie), honoraria za występy itp. Status zawodnika olimpijskiego we Francji nie jest jeszcze dobrze zdefiniowany i w każdej dyscyplinie jest inny. Stąd też wynikła koncepcja wspomnianych wyżej umów, które są próbą ujednolicenia tego statusu. Niezależnie od uwag krytycznych, jakie zgłasza się przeciwko systemowi obowiązującemu w krajach wschodnioeuropejskich, trzeba stwierdzić, że większość talentów sportowych w naszym kraju nie bez słuszności pozostaje w służbie państwowej; są pocztowcami, policjantami, celnikami, urzędnikami gminnymi, nie licząc, oczywiście nauczycieli wychowania fizycznego...

Z pewnością nie należy też zapominać o budzeniu zainteresowania sportem w szkole. Kiedy jednak otoczenie najmniejszemu chłopcu o jako takich zdolnościach sportowych każe marzyć o karierze w stylu McEnroe czy Platiniego, obiecując mu złote góry, to autor może sobie pozostawić na koniec takie oto głupie pytanie: jaką szansę ma dzisiaj we Francji młody człowiek zostania kolejno mistrzem w jeździe figurowej na lodzie, chirurgiem w paryskim szpitalu i, czemu by nie, ministrem odpowiedzialnym za sprawy młodzieży i sportu?

Polemiki • Listy • Opinie

GRANICE WSPÓŁCZUCIA

Przeczytałem R. Kubiaka „Ambasadę" (Odgłosy nr 33/85) i zadumałem się. Ma rację autor pisząc o sferze odczuć osób bliskich skazanym. Te matki, żony, dzieci, które tatusiów nie widzą od miesięcy i znają raczej z opowiadania... Fożałowania godne i prawdziwe. Nie kpię.

Ale co do przepisów regulaminu? Doręczanie paczek itp.? Widocznie jest w tym jakiś sens, a nie tylko chęć dokuczenia odwiedzającym, którzy kochają (bo gdyby nie — to nie przyjechaliby), którzy radzi by, wierzyć w niewinność swoich ukochanych. Lub przypadek.

Bezsens b y c i a w zakładzie karnym staram się zrozumieć, gdyż w pewnym okresie swojej działalności zawodowej bywałem tam i zapewniam, że widok aresztantów i skazanych nie sprawia przyjemności.

Jest więc „Ambasada" pozycją znaczącą dla tych, którzy ewentualnie mogliby popaść w konflikt z prawem, którzy ryzykują pozbawieniem wolności. Tylko — czy oni to czytają?

Jak to się w pewnych kręgach mówi: „rok nie wyrok"?

Pomyłek sądowych jest niewiele. Tak więc nie mogę w sobie wykrzesać współczucia dla pensjonariuszy więzień. Mimo nielicznych pomyłek, nieszczęść, sytuacji wyjątkowych...

Codziennie prawie czytamy: skazany za gwałt, kradzież, rabunek, pobicie (z ciężkim uszkodzeniem ciała), za nieumyślne spowodowanie śmierci, za morderstwo.

Nie liczę na pozytywne przemiany skazanych po odbyciu kary i zadumaniu o czasach „pod celą". Wystarczy poczytać prasę fachową i periodyki. Albo statystykę.

Stali bywalcy skrzyżowania ulic Murarskiej i Sadowej mówią głośno: „...robota to głupota, picie to jest życie...". I stosownie do tego postępują. A czasem dzielą się uwagami: „...wisz, k... Rudego zamknęli"...

No i niech zamknęli. Będzie trochę spokoju od idioty, który od rana do nocy pęta się w okolicy, przeklina, marudzi. O kradzieżach akumulatorów itp. nie piszę. Zbyt oklepane.

Nie wzruszyłem się więc „Ambasadą". Ktoś powiedział, że każdy jest kowalem własnego losu. Może niezupełnie, lecz na pewno w znacznej mierze.

W. AFELT.

ORKIESTRA ODEON

Popularna i lubiana Orkiestra ODEON Stowarzyszenia Artystycznego w Łodzi pod dyrekcją Stanisława Gerstenkorna kończy sezon letni koncertami dla załóg fabrycznych Łodzi i sąsiednich województw.

Programy Orkiestry „PRZEBOJE MISTRZÓW" oraz „MELODIE ŚWIATA SCENY I EKRANU" cieszą się nadal niesłabnącym zainteresowaniem słuchaczy. W trzecim kwartale 1985 r. Orkiestra wznawia działalność koncertową w ramach upowszechniania muzyki wśród młodzieży szkolnej. Koncerty te odbywać się będą w Pałacu Młodzieży w Łodzi.

Ponadto w październiku przewidziany jest kolejny koncert premierowy pt. „NIEZAPOMNIANE MELODIE WIEDNIA". W grudniu planowany jest uroczysty koncert z okazji jubileuszu 30-lecia działalności artystycznej dyrektora Orkiestry Stanisława Gerstenkorna.

Na początku 1986 r. Orkiestra wystąpi z następnym premierowym koncertem pt. „KARNAWAŁ Z ODEONEM" zapraszając do tego programu gwiazdy estrady i scen teatrów muzycznych. W sezonie 1985/86 planowane są również koncerty popularne dla Telewizji Polskiej.

Aktualnie czynione są starania w sprawie wyjazdów Orkiestry za granicę.

„ZAMIANA"

W bardzo interesującym reportażu, pouczającym moralnie, chociaż z ryzykownymi figurami stylistycznymi pt. „Zamiana" (ODGŁOSY nr 36/85) Ryszard Binkowski zamienia także akcesoria postaci mitologicznych. Pisze bowiem: „Około drugiej w nocy urwała się pieśń Ariadny..."

Znana jest „nitka Ariadny", nie pieśń. Nie mogła się ona urwać, ponieważ Tezeusz obiecał w zamian za wyprowadzenie z Labiryntu Ariadnie małżeństwo. Jak i obecnie, dawniej dziewczynom (nawet z dobrego domu) także zależało na małżeństwie, toteż zapewne Ariadna dobrała nitkę dostatecznie mocną, by się nie urwała. Na nic się to zresztą jej zdało, ponieważ wiarołomny Tezeusz słowa danego nie dotrzymał...

T.E.L.

PAMIĘCI LUDWIKA ZAMENHOFA

Łódź wzbogaci się w najbliższym czasie o medalion poświęcony pamięci Ludwika L. Zamenhofa, twórcy międzynarodowego języka esperanto. Tradycje związane z uczczeniem w naszym mieście pamięci Zamenhofa sięgają już r. 1920 kiedy dawna ulica Rozwadowska otrzymała nazwę ulicy L. L. Zamenhofa. Łódź otrzymała wtedy ulicę Zamenhofa jako pierwsze miasto w Polsce.

Później z okazji IV Ogólnopolskiego Kongresu Esperantystów w 1930 r. na domu przy ul. Zamenhofa 1 wmurowano tablicę dwujęzyczną poświęconą Zamenhofowi. Tablica ta została przez okres okupacji przechowana przez esperantystów i ponownie umieszczona na dawnym miejscu w 1946 r.

W 1964 r. z okazji XVII Ogólnopolskiego Kongresu Esperantystów obok poprzedniej została umieszczona druga tablica.

Przed kilkoma laty stare budynki przy ul. Zamenhofa zostały rozebrane, a tablice zdeponowane w magazynie Muzeum Historii m. Łodzi w oczekiwaniu na powrót na swoje miejsce.

Obecnie na rogu ulicy Zamenhofa i Piotrkowskiej zostanie odsłonięty na ścianie nowego budynku piękny medalion zaprojektowany przez art. plast. Irenę Solską i wykonany z funduszu Wydziału Kultury UMŁ.

Uroczystość odsłonięcia odbędzie się 5 października 1985 r. o godz. 16.00.

Na odsłonięcie z udziałem przedstawicieli władz miasta zaprasza społeczeństwo Łodzi Oddział Polskiego Związku Esperantystów.

A jaki będzie dalszy los historycznych tablic znajdujących się obecnie w magazynie muzeum?

REGULAMIN KONKURSU NA HYMN AKADEMICKIEGO ZWIĄZKU SPORTOWEGO

1. Zarząd Główny Akademickiego Związku Sportowego w Warszawie, ul. Flory 3 ogłasza konkurs otwarty na Hymn Akademickiego Związku Sportowego w Polsce.

2. W konkursie mogą brać udział kompozytorzy i autorzy tekstów zrzeszeni w Związkach i Stowarzyszeniach Twórczych, jak również nieprofesjonaliści.

3. Hymn A.Z.S. winien mieć przystępną melodię nadającą się do masowego śpiewania, natomiast tekst winien uwzględniać: barwy (biało-zielone), symbol (biały gryf na zielonym polu), radość z uprawiania sportu i osiągniętych wyników, relaks po wyczerpującej nauce, atmosfera braterstwa i przyjaźni: znaczenie AZS w życiu sportowym kraju.

4. Utwory zgłaszane do konkursu będą rozpatrywane łącznie: muzyka i tekst.

Prace należy zgłaszać pod adresem: Zarząd Środowiskowy Akademickiego Związku Sportowego, Łódź, ul. Sienkiewicza 34 w terminie do 30 listopada 1985 roku z dopiskiem na kopercie „Konkurs na Hymn AZS" — decyduje data stempla pocztowego.

5. Prace należy składać w 5 egzemplarzach tekstu maszynopisu i 1 egzemplarz muzyka napisana niebieskim lub czarnym atramentem — tuszem z podpisanym tekstem pod nutami w układzie na jednogłosowy chór z akompaniamentem fortepianu.

6. Prace winny być zaopatrzone godłem i złożone z dołączoną zamkniętą kopertą z podaniem w niej nazwisk, imion i adresów autorów i kompozytorów.

7. Zgłoszone utwory rozpatrzy jury powołane przez organizatorów konkursu.

Będzie przyznana tylko jedna nagroda w wysokości 50.000 zł łącznie dla kompozytora i autora tekstu.

8. Ilość prac jest nie ograniczona.

9. Prace nienagrodzone będą zwracane twórcom na ich prośbę, bądź w uzgodnieniu z nimi wykorzystane przez jednostki terenowe AZS.

10. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 7 grudnia 1985 r. i zostanie opublikowane w prasie ogólnopolskiej.

11. Organizatorzy planują publikację nagrodzonego utworu w formie druku i nagrań dźwiękowych.

Zarząd Główny
Akademickiego Związku Sportowego

NIE O TEN SEJM CHODZIŁO

W artykule „Tradycji sejmowych wartości nieprzemijające" — „Odgłosy" nr 39 z 28 września br. zakradł się — nie z mojej winy — błąd o tyle przykry, że może budzić wątpliwości co do wiedzy historycznej autora. Tam gdzie mowa o Sejmie grodzieńskim z 1793 roku zamiast „... i to on winien był przejść do historii jako „Sejm niemy", widnieje „przeszedł do historii jako „Sejm niemy". Na temat „Sejmu niemego" z 1717 roku w tym miejscu nie chciałbym się rozwodzić.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

JAKI SENS MA ODNOWA

Andrzeja Cierpikowskiego, który polemizuje (Odgłosy nr 29/85) z M. Kowalskim — z-ca przew. Rady Osiedla Retkinia-Piaski (Odgłosy nr 23/85) słusznie ocenił R. Kułakowski (Odgłosy 33/85) jako ideologa kombinatorów i cwaniaków. Ja ze swej strony pragnę uzupełnić tę ocenę następująco:

1. Według A. Cierpikowskiego to, że Trybunał Stanu nie wyciągnął konsekwencji w stosunku do winnych zadłużenia Polski ma być usprawiedliwieniem wobec tych, co nie potrafią wyegzekwować od Zbigniewa K. zajętych lokali w sposób — jak sam pisze — „nie całkiem zgodnie ze Statutem Spółdzielni". Jeśli już z „armatą na wróbla" to warto zaznaczyć, że winni zadłużenia, kryzysu i tego, że „nie całkiem zgodnie..." zajmowali wille, tereny rekreacyjne itd. zostali ukarani (w pocz. lat 80) przez Trybunał, składający się z milionów Polaków.

2. „Prawo nie działa wstecz" — pisze A. Cierpikowski. Słusznie, ale czy poprzedni Statut i inne przepisy dopuszczały, aby działacz (?) osiedlowy poprzez różne sztuczki zagarniał dobro spółdzielcze? Zbigniew K. melduje wujka na krótko przed przydziałem mieszkania, uzyskuje dodatkowy pokój na gabinet dentystyczny dla żony, także pomieszczenie pozsypowe (oprócz piwnicy); następnie wymeldowuje wujka i s i e b i e na pobyt stały w innym województwie. Ostatecznie w M-6 zamieszkuje żona i 2 dzieci. A gabinet dalej funkcjonuje na XI p., a nie tam gdzie jest zarejestrowany (czyli w mieszkaniu). Jeśli w mieszkaniu nie ma na to warunków to uspołeczniona służba zdrowia czeka na stomatologów. Dwa prywatne interesy w rodzinie (mąż też posiada) to nie za dużo?

3. A. Cierpikowski radzi Komitetowi Osiedlowemu „włączenie się w likwidację wad technologicznych". Słusznie, ale wydaje się, że pragnąłby on ograniczyć rolę samorządu spółdzielczego do tej kwestii, natomiast „zarzewscy" prezesi, zarządy w Szczebrzeszynie (zajmował się NIK), w Brodnicy (Przegl. Tyg. 8.IX.85) itd., niech przydzielają córeczkom i własnym rodzinom mieszkania od ręki.

Tak na marginesie, pragnę złożyć „gratulacje" POP, Zw. Zaw. i Radzie Nadz. SM „Zarzew" za wspaniałą obronę Prezesa, za „wyraz rozgoryczenia", że E. Bryl wyjawił aferę. (Odgłosy nr 35/85). To mi się trochę kojarzy z tym jak to rady pracownicze, organizacje partyjne broniły dyrektorów przedsiębiorstw, którzy finansowali ze społecznych pieniędzy popijawy na zamku w Golubiu-Dobrzyniu. (Przegl. Tyg. nr 36/85).

4. A. Cierpikowski szumnie posługuje się Odnową, nie rozumiejąc jej sensu. Polega ona przecież głównie na kształtowaniu socjalistycznych stosunków międzyludzkich w skali mikro i makro. Czy sprawa Zbigniewa K. służy temu? Nie, jest podstawą konfliktów i utrudnia prawidłowe współdziałanie Rady Osiedla, Rady Nadzorczej, Zarządu Spół.

Wydaje się, że Dzieln. Rada Narodowa, KD PZPR, PRON winny pilnie przystąpić do zbadania tego problemu, nie sugerując się wywodami i postawą Cierpikowskich i jemu podobnych.

Łódź, 9.IX.85 r.

(Nazwisko, adres do wiadomości redakcji)

BRUNNER — TY ŚWINIO!

Stało się! Polska TV znów (od 2 września 85) emituje serial „Stawka większa niż życie". I znów ten serial (pó raz chyba piąty) oglądam. A uczucia mam mieszane.

Każda kinematografia ma swoje znaczące pozycje. „Wedle stawu grobla" oczywiście i nie mam zamiaru mówić o Eisensteinie, Chaplinie, kinie niemieckim z lat dwudziestych itp. Z naszych — „Zakazane piosenki", „Skarb" i inne. Wiele pominąłem. Przepraszam.

A jednak bronię „Stawki". Była wojna. Okrutna. I byli ludzie, którzy wbrew możliwościom, nieraz rozsądkowi — działali. Nie dla pieniędzy i sławy. Dęte to określenie i wyświechtane, lecz prawdziwe. Bardziej prawdziwe, niż wiele wymyślonych historii filmowych, przedkładających warstwę psychologiczną nad faktami. Bo czy rzeczywiście ta działalność wynikała zawsze z przemyślenia, z kalkulacji? Chyba nie. Porównajmy „Thiergarten" Strumph—Wojtkiewicza. Ile w takiej działalności rzeczywistej pasji, a nie wyrachowania?

Jeśli więc nawet zarzucimy serialowi szereg naiwności i niedokładności (Kloss jadący na „Junaku" lub radiostacja w metalowej obudowie z lat pięćdziesiątych), nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności — to i tak wolę to oglądać, niż video z kolejnymi przebojami, którymi tak obficie karmi nas TV.

Współczuję S. Mikulskiemu, który przez lata nie mógł się wyzwolić z munduru oficera Abwehry mimo szeregu dobrych ról w teatrach i występów na festiwalu w Kołobrzegu. Choć — czy rzeczywiście jest to powód do współczucia? Hamletów mamy na pęczki, a Klossa jednego — i ten zostanie w pamięci pokoleń.

Kolejna emisja 2 września 1985 r. nie wydaje mi się przypadkiem. Jest zbieżna z pamiętną rocznicą, a poza tym — rosną nowe roczniki powojennych pokoleń. Niech oglądają. Gdyby nawet pewne sprawy w serialu były uproszczone, gdyby Niemcy z okresu hitleryzmu wydawali się naiwnymi — niech się cieszą ze zwycięstw rodaków. Wbrew zapomnieniu lub oczywistym przeinaczeniom Hupki i Czaj, tak ostatnio hołubionym przez władze RFN. I proszę — nie sądźcie, że chcę wygrywać nastroje!

•

„Stawka", tak jak i „Czterej Pancerni" powinna być powtarzana. Dla pamięci, dla kolejnych pokoleń, dla pokazywania minionego czasu, który — tak niby to odległy — może się w każdej chwili powtórzyć. Dlatego namawiam: oglądajcie „Stawkę"!

(Nazwisko do wiadomości redakcji)

NIE MA MOCNYCH NA... KOMINIARZY—

— tak stwierdziła urzędniczka Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście, Wydział Gospodarki Komunalnej, al. Kościuszki 1.

A zaczęło się to tak.

W maju 1981 roku w pokoju zaczął wydobywać się dym. Gdy zadymienie było tak duże, że na odl. 1,5 m nic nie było widać wezwałam straż pożarną. Okazało się, że dym wydobywa się spod podłogi. Przyczyny mogą być dwie — nieszczelny komin lub złe podłączenie do przewodu kominowego (mieszkam na I piętrze). Straż spisała protokół, milicja zakazała używania kuchni przez lokatorkę, do chwili, gdy administracja ustali przyczynę zadymienia i usunie ją.

Już następnego dnia dostarczyłam do ROM-7 ul. Jaracza 32 odpowiednie pismo, wraz z załączonym protokołem straży, która to stwierdziła, że zachodzi zagrożenie życia. Po kilkunastu dniach przyszli robotnicy z ROM wybili dziurę w ścianie, oderwali część podłogi i... nic nie stwierdzili. Zostawili dziurę, aż do powrotu lokatorki, która wyjechała i ekspertyzy kominiarzy. Po kilkudziesięciu dniach zjawili się kominiarze. Byli w „stanie nieważkości". Popukali w ścianę i.. też nic nie stwierdzili. Potem była długa przerwa (parę tygodni), po której przyszli ponownie pracownicy ROM i dziurę zacementowali.

Bojąc się, że sytuacja ta powtórzy się i mogę zaczadzieć z rodziną, poprosiłam ROM-7 o pisemną odpowiedź, że wszystko jest w porządku. I wtedy usłyszałam, że takiej to odpowiedzi nie otrzymam, ponieważ nikt nie chce brać odpowiedzialności za nasze życie!!!

Udałam się do instytucji nadrzędnej tj. do PGM, ul. Buczka 6, prosząc o interwencję. Dyrektor obiecał, że zajmie się tą sprawą. Po pewnym czasie dostałam z PGM pismo, że sprawę ponownie skierowano do Spółdzielni „Kominiarz". Czekałam cierpliwie, przez cały czas bojąc się powrotu sąsiadki i ponownego zadymienia. Owszem, kominiarze przychodzili i to nie raz. Kazali czekać. Obiecywali, że prześlą ekspertyzę do ROM-7. Niestety, kończyło się to tylko na obietnicach. A czas płynął.

Ponieważ nic nie wskórałam w PGM zwróciłam się z prośbą o pomoc do Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście, Wydział Gospodarki Komunalnej. Niestety i urząd nic nie wskórał. Zostały mi tylko kopie pism wysyłanych do PGM i S-pni „Kominiarz". Jest już wrzesień 1985 roku, a ja w dalszym ciągu nie mam odpowiedzi z ROM-7.

Zbliża się kolejna zima, a ja nie wiem, czy sytuacja taka nie powtórzy się. Nikt nie chce wydać ekspertyzy. Nikt nie chce być odpowiedzialny. A ja z dzieckiem i matką mogę się pewnego ranka nie obudzić.

ANNA MARCINIAK

„WALI SIĘ"

Odpowiadając na notatkę prasową pt. „Wali się" zamieszczoną w „Odgłosach" nr 34/1430) z dnia 24 sierpnia 1985 r. — Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Dróg i Mostów w Łodzi uprzejmie wyjaśnia, co następuje:

— schody w przejściach podziemnych na ul. Mickiewicza na wysokości ul. Piotrkowskiej i ul. Sienkiewicza zostały oddane do użytku przez wykonawcę tj. Szydłowieckie Zakłady Kamienia Budowlanego — Oddz. w Łodzi w r. 1979. Do 1982 r. tj. w okresie gwarancji, schody te nie wykazywały jakichkolwiek zniszczeń.

— w czasie 6-letniej eksploatacji, Miejskie Przeds. Oczyszczania — odpowiedzialne za utrzymanie przejść podziemnych w okresie zimowym, w celu przyspieszenia rozpuszczania śniegu i oblodzeń posypywało schody solą lub chlorkiem wapnia.

Technologia usuwania śniegu z przejść podziemnych na terenie m. Łodzi stosowana przez Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania jest skuteczna, powoduje ona jednak przedostawanie się zasolonej wody do betonowej podbudowy (na której ułożone są przednóżki i podnóżki schodów), powodując jej chemiczny rozkład.

WPDiM wystąpi do Urzędu Miasta — Wydz. Gosp. Komunalnej o wydanie zakazu posypywania solą konstrukcji betonowych, chodników oraz dróg w okresie zimy przez służby MPO. Wprowadzenie powyższego zakazu — posypywania solą elementów betonowych, pozwoli wyeliminować dalsze niszczenie schodów w przejściach podziemnych.

Zlecane Szydłowickim Zakładom Kamienia Budowlanego, przez WPDiM w Łodzi naprawy schodów w przejściach podziemnych w latach 1984 i 1985 nie były przyjmowane do realizacji, w związku z tym, tylko najbardziej zniszczone elementy były naprawiane przez naszych pracowników. Obecnie schody te wymagają remontu kapitalnego tj. zdjęcia okładzin z płyt granitowych, usunięcia zlasowanej betonowej podbudowy i ponownego zabetonowania podłoża wraz z ułożeniem stopni. Roboty powyższe wymagają nakładów finansowych rzędu kilkunastu milionów zł, i nie mieszczą się w kwocie środków budżetowych przeznaczonych na remonty ulic.

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Dróg i Mostów w Łodzi jako administrator, ponownie w roku przyszłym podejmie próbę naprawy schodów w przejściach podziemnych — przez specjalistyczne przedsiębiorstwo, zabezpieczając na ten cel środki w planie remontów kapitalnych dróg.

mgr inż. JÓZEF BIES
Z-ca dyrektora ds. programowania i realizacji inwestycji i remontów

PARS PRO TOTO? CZEMU NIE?!

Bardzo cenię Redaktora Lucjana Bogusza, ponieważ dzięki Jego mrówczej pracy, której efektem są „Przeglądy prasy", nie muszę wydawać pieniędzy na inne czasopisma (prócz ODGŁOSÓW), a tym bardziej je czytać. Ale denerwuje mnie, że powtarza jak katarynka, iż „nie sądzi się o całości na podstawie fragmentów" (np. ODGŁOSY nr 27 i 34/85).

Bo jakże nie zżymać się na takie twierdzenie, jeśli w życiu codziennym, w przemyśle, w nauce, w medycynie, sztuce wreszcie — postępujemy odwrotnie. Właśnie po fragmentach, po próbkach sądzimy o jakości całej produkcji, oceniamy ludzi, wyciągamy wnioski naukowe, z paru objawów wyrokujemy o całości zdrowia pacjenta, wreszcie z przeglądu prasy decydujemy, czy warto cokolwiek czytać innego, prócz ODGŁOSÓW. Postępujemy tak z różnych przyczyn: obiektywnych, subiektywnych, materialnych, z braku czasu. Całość niemożliwa jest do objęcia przez archeologa, rolnika, biologa, brakarza w fabryce, socjologa, dlatego też wypracowano statystyczne metody opracowywania wyników, obserwacji danych — tym samym dekretując przez Królową Nauk, tj. MATEMATYKĘ, zasadność i naukowość takiego postępowania.

A jak jest w krytyce literackiej czy artystycznej ogólnie? Jakże ocenimy dzieło całego życia malarza, jeśli obrazy jego są rozsiane po galeriach całego świata? Widziałem Damę z łasiczką w Krakowie, Monę Lizę w Ermitażu, coś tam w Rzymie, resztę w albumach — i to powinno wystarczyć do wyrobienia sobie sądu o twórczości malarskiej Wielkiego Leonarda.

Krytyk literacki umarłby z głodu, gdyby chciał czytać wszystko, o czym chce pisać, „od deski do deski". Oto polski filozof prof. A. Nowicki od 13 roku życia prowadził Dziennik lektur. W młodości, przez 12 lat przeczytał 2604 pozycje, zaś w ciągu czterdziestu lat przeczytał ponad milion stron. Licząc przeciętnie 300 stron na książkę wychodzi, że przeczytał 3333 pozycje. Jakiż to jest ułamek całej produkcji literackiej świata, jeśli nasz J. I. Kraszewski potrafił napisać chyba 1/3 tej liczby książek.

A więc pozwólmy krytykom wyciągać wnioski na podstawie fragmentów, ale skłaniajmy, aby we własnym interesie (aby nie być potem bitymi) starali się opanować przynajmniej podstawowe elementy metod doboru wiarygodnej próbki i wnioskowania statystycznego.

T.E.L.

CHIŃSCY KARATECY W ŁODZI

Zakład Widowisk Estradowych w Warszawie i Stowarzyszenie Artystyczne w Łodzi organizują 15 i 16 października 1985 roku o godz. 18.30 w łódzkiej Hali Sportowej imprezę z udziałem 40-osobowej grupy chińskich karateków. Prezentować oni będą program pt. „Walki z klasztoru Shaolin". Widowisko to prezentowane będzie po raz pierwszy w Europie. Bilety w cenie zł: 400.—, 500.—, 600.—.

Zamówienia zbiorowe i sprzedaż indywidualną biletów prowadzą:

— Agencja Koncertowa SART, ul. Moniuszki 1a, tel. 338463, 361402,

— PBP Orbis, ul. Piotrkowska 68 tel. 322809, 330101,

— PBP Orbis, ul. Piotrkowska 115/119 tel. 325960, 365978,

— SBT Turysta, Piotrkowska 5 tel. 360820, 323399, 335832.

Zapraszamy do wspaniałej zabawy opartej na niespotykanej wręcz sprawności. Biorąc pod uwagę duże zainteresowanie tego typu imprezami prosimy o wcześniejsze składanie zamówień na bilety.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Nie środek lecz cel...

ROZMOWA Z PROF. ZYGMUNTEM GZELLĄ — REKTOREM AKADEMII MUZYCZNEJ W ŁODZI

— Łódzka Akademia Muzyczna, która po wojnie, pod nazwą Państwowego Konserwatorium, jako pierwsza z wyższych szkół muzycznych w kraju rozpoczęła pracę (było to 24.IV. 1945 r.) obchodziła w tym roku swe 40-lecie. Czy przez te lata uczelnia dopracowała się swojej specyfiki, jakiejś — nazwijmy to — „osobowości"?

— Myślę, że tak, aczkolwiek trzeba mieć na uwadze, że w Polsce wszystkie Akademie Muzyczne mają niemal identyczną strukturę 4-wydziałową. Pewna odmienność tych placówek, a więc właśnie określona specyfika, jest rezultatem działania zatrudnionych w nich pracowników naukowo-dydaktycznych, pedagogów, będących często wybitnymi indywidualnościami artystycznymi. To oni przecież decydują o sposobie realizacji programów nauczania. Zresztą mówiąc o roli indywidualności nie chciałbym pojmować jej w przeciwstawieniu do tego co wspólne, gdyż tylko na tle wspólnoty indywidualność może ukazać wszystkie swe walory.

— Silnych indywidualności artystycznych i naukowych w Łodzi chyba nie brakowało...

— Tak, gdybyśmy chcieli popatrzeć na rzecz od strony historii, trzeba by wymienić wiele osób. Szczególnie dużo znakomitych nazwisk związanych było z naszą uczelnią w latach 1945—48, kiedy to Łódź, wobec zniszczenia Warszawy, pełniła obok Krakowa rolę kulturalnej stolicy. Aktywność wybitnych pedagogów w tamtych latach (część z nich odeszła potem do innych ośrodków) nadała kierunek dalszej działalności szkoły. Wystarczy wymienić np. prof. Kazimierza Sikorskiego — znakomitego teoretyka i kompozytora, którego uczniem i kontynuatorem jest pracujący nadal prof. Franciszek Wesołowski, wystarczy wymienić urodzoną w Łodzi światowej sławy kompozytorkę Grażynę Bacewicz, czy też pierwszego rektora Konserwatorium — Kazimierza Wiłkomirskiego. Nie można nie wspomnieć o pedagogach, którzy sprawili, że Łódź stała się prawdziwą „kuźnią pięknych głosów" — byli to tacy profesorowie jak Olga Olgina, Grzegorz Orłow, Adela Comte-Wilgocka.

— Czy w innych dziedzinach kształcenia nie wytworzyły się podobne tradycje?

— Owszem. Na początku lat sześćdziesiątych, m.in. dzięki działalności późniejszego długoletniego rektora — prof. Kiejstuta Bacewicza, Łódź stała się silnym ośrodkiem kameralistyki. Z tego okresu wywodzą się organizowane co 4 lata Ogólnopolskie Międzyuczelniane Konkursy Muzyki Kameralnej. Tradycje mają też w naszej szkole klasy skrzypiec oraz klawesynu (tą ostatnią kierowała niegdyś prof. Emma Altberg. Tutaj istniała ponadto jedyna w swoim czasie w Polsce samodzielna sekcja rytmiki prowadzona przez prof. Janinę Mieczyńską. Wspomnieć trzeba i o zmarłym niedawno gitarzyście Kazimierzu Sosińskim, który przyczynił się do wprowadzenia po raz pierwszy w mury uczelni tak modnej dziś gitary klasycznej, instrumentu, który objęty został specjalistycznym kształceniem wirtuozowskim.

— Zaś jeśli idzie o działalność pozadydaktyczną?

— Łódzka Akademia jest liczącym się ośrodkiem badań nad stylowym wykonawstwem muzyki dawnej, prowadzonych od lat przez Katedrę Teorii Muzyki. Natomiast do niedawnych inicjatyw należy powołanie do życia specjalizującego się w muzyce elektronowej Studia Komputerowego oraz jedynego w kraju Zakładu Korekcji Narządu Ruchu i Rehabilitacji Zawodowej Muzyków.

— Ciekawe, ile w przybliżeniu dyplomów wydała dotąd Akademia?

— Ponad półtora tysiąca. Wśród naszych absolwentów jest notabene wielu sławnych artystów. Oto niektórzy z nich: dyrygent Jan Krenz, kompozytorzy — Kazimierz Serocki, Tadeusz Paciorkiewicz czy przedwcześnie zmarły Bernard Pietrzak, skrzypaczki — Wanda Wiłkomirska i Barbara Górzyńska, pianiści — Zbigniew Szymonowicz i Tadeusz Chmielewski, śpiewaczki — Teresa Wojtaszek-Kubiak i Teresa Żylis-Gara. Poza tym uczelnia wykształciła licznych teoretyków muzyki, rytmiczki oraz specjalistów w zakresie wychowania muzycznego.

— Podejrzewam, że panu rektorowi właśnie dorobek Wydziału Wychowania Muzycznego jest szczególnie bliski. Jednym z powodów może być to, iż poza studiami w zakresie teorii muzyki ukończył pan pedagogikę na uniwersytecie oraz właśnie ten wydział.

— Z tego wydziału, zwanego niegdyś również pedagogicznym, nauczycielskim a także instruktorskim, rzeczywiście się wywodzę i zawsze była dla mnie ważna sprawa uświadomienia wszystkim jego znaczenia w budowaniu podstaw kultury muzycznej społeczeństwa. Bo przecież — jak słusznie zauważył prof. Lasocki — można przywieźć, „zaimportować" obcych artystów, tak jak zrobił to kiedyś Władysław IV sprowadzając do Polski operę włoską, ale sprowadzić publiczności się nie da. Sale koncertowe można zapełnić nie stosując przymusu, lecz tylko wychowując odbiorców, przygotowując ich do rozumienia sztuki, uwrażliwiając ich na swoisty „apel wartości", na piękno muzyki. **Tę odpowiedzialną rolę spełnia właśnie Wydział Wychowania Muzycznego, który w swoim profilu kształcenia stoi jak gdyby na pograniczu teorii i praktyki muzycznej. I tu wspomniałbym o następnym wybitnym pedagogu, który ten wydział w Łodzi utworzył i przez blisko 30 lat nim kierował, a mianowicie o prof. Mieczysławie Kacperczyku.**

— Prof. Kacperczyk był — jak się orientuję — również wieloletnim kierownikiem Katedry Wychowania Muzycznego. Obecnie pan kieruje pracą tej katedry. Na czym się owa praca koncentruje?

— Powiem ogólnie, że w swoim czasie wychowanie muzyczne ograniczone było do wąsko pojętej problematyki szkolnictwa ogólnokształcącego i skupiało się na zagadnieniach metodycznych: np. jak skutecznie uczyć dzieci śpiewu? Tymczasem dziś od pytania — jak? o ileż ważniejsze wydają się być pytania co? i dlaczego? A więc — co jest istotą wychowania muzycznego i jakie są jego cele? Zajęliśmy się zatem w pierwszym rzędzie teorią kształcenia muzycznego, mającą oczywiście swe filozoficzne korzenie. Owocem tego okresu działalności była sesja naukowa w roku 1981. W tej chwili — po zbudowaniu już swego rodzaju teoretycznych fundamentów — opracowujemy temat dotyczący wychowania muzycznego w różnych środowiskach, na różnych etapach życia i edukacji człowieka. Obok spraw dalekosiężnych realizujemy też zadania bieżące. Ostatnio np., dzięki inicjatywie dr Wiesławy Pychińskiej-Kindykiewicz, stworzyliśmy wspólnie z Inspektoratem Oświaty wzorcową z punktu widzenia bazy technicznej pracownię wychowania muzycznego w jednej z łódzkich szkół.

— Jaki wszakże do spełnienia cel ma wychowanie muzyczne w dzisiejszych trudnych i skomplikowanych czasach?

— Wydaje się, że niezależnie od tego, w jakich czasach żyjemy, czy są one mniej lub bardziej skomplikowane, zagadnienie celu wychowania muzycznego, podobnie jak i celów kultury, pozostaje niezmienne. Kultura zawsze dąży do realizacji nadrzędnych wartości duchowych, takich jak Prawda, Dobro, Piękno, Sprawiedliwość. Wychowanie muzyczne zmierza zaś do piękna, które zawarte jest w muzyce, w strukturach dźwiękowych. Uważam zresztą, że w ogóle celem wychowania jest przygotowanie do uczestnictwa w kulturze. Uczestnictwo to pojmuję jako czynne, w różnym stopniu twórcze, zależnie od indywidualnych możliwości.

— Niegdyś lansowane było hasło „wychowanie przez sztukę". Z tego, co pan rektor mówi wynika, że jest pan raczej zwolennikiem tezy „wychowania dla sztuki".

— Sprawa nie jest taka prosta. Nie tworzyłbym bowiem wyraźnej hierarchii — które z tych haseł jest ważniejsze. Wszystko zależy naturalnie od tego, w jaki sposób pojmujemy sztukę: czy ma być ona „służebnicą" i spełniać wtórne funkcje wobec wychowania, czy też ma mieć swój charakter autonomiczny i swoją własną godność. Jak wiadomo wychowanie odbywa się na kilku płaszczyznach i pojmowane może być jako proces biologiczny, społeczny i kulturowy. W owym procesie społecznym muzyka spełniać może różne cele jako sztuka wywierająca silny wpływ na emocje i zachowanie.

— Bynajmniej nie zawsze łagodzi ona obyczaje...

— Właśnie, i sprawą mądrych filozofów kultury jest to, by muzyka traktowana jako środek spełniała w wychowaniu cele szlachetne. Ale nadchodzi w życiu człowieka moment, kiedy wyzwala się on niejako ze szkolnych ram, kiedy staje się indywidualnością i zaczyna samodzielnie myśleć i oceniać, i wówczas zaczyna dostrzegać w muzyce jej autonomiczną wartość, jej piękno samo w sobie. To piękno — jak trafnie ukazał to w swej znanej pracy publicystycznej Karol Szymanowski — posiada siłę stwarzania trwałych więzi międzyludzkich, prawdziwych duchowych wspólnot. Dlatego też można rzec, iż muzyka tym bardziej rozwija i uspołecznia, im bardziej traktuje się ją nie jako środek, lecz właśnie jako cel.

— Powróćmy do spraw kierowanej przez pana uczelni. W związku z tym co pan mówi można by sądzić, że instytucja taka, jaką jest Akademia Muzyczna, a więc oddana całkowicie wyższym celom artystycznym, tworzy wspólnotę harmonijną i pozbawioną wręcz wewnętrznych konfliktów?

— No, może niezupełnie tak jest. Środowisko muzyków jest bowiem niesłychanie wrażliwe, nie tylko, jeśli idzie o skalę przeżyć estetycznych, lecz także gdy chodzi o poczucie własnej godności i własnej wartości. Powiedziałbym nawet, że cechuje je tzw. postawa nadgodnościowa. Rzutuje to na konkretne problemy, z którymi stykam się jako rektor. Może narażę się nawet niektórym moim czcigodnym kolegom, gdy bowiem, że przejawia się to w nie zawsze przecież słusznym przekonaniu, że to, co robiliśmy dotąd, i jak to robiliśmy, jest najlepsze i nie ma potrzeby niczego zmieniać.

— A czy potrzeba taka istnieje?

— Potrzeba zmian występuje w każdej dziedzinie życia, a więc i u nas. Dla mnie ideałem byłaby „schola semper reformanda", w przeciwnym razie z pojęciem „konserwatorium" trzeba by wiązać pojęcie konserwatyzmu. Niestety, nie zawsze proponowane zmiany udaje się wcielić w życie. Przykładem — odrzucony przez senat projekt racjonalizacji w sposobie oceniania studentów w dyscyplinach wykonawczych, projekt, w którym chodziło o zobiektywizowanie, ujednolicenie i ujawnienie kryteriów oceny. Nieufnie potraktowane zostały też interesujące skądinąd wyniki badań ankietowych studentów, dotyczące ich opinii o studiowaniu w naszej szkole, o poszczególnych zajęciach.

— Jaka jest zatem pańska wizja nowoczesnej uczelni muzycznej?

— Jest ona w pewnym sensie zdeterminowana podwójnym rodzajem mych zainteresowań: dotyczą one zarówno muzyki, jak i pedagogiki pojętej jako filozofia wychowania (duże znaczenie miały dla mnie w tym względzie studia u prof. Sergiusza Hessena). Ponieważ istotą każdej szkoły wyższej jest kształcenie poprzez czynne uczestnictwo w badaniach oraz aktywne stosowanie metod naukowych, sprawą podstawową dla wyższej szkoły muzycznej staje się kształcenie poprzez czynnne uprawianie muzyki, wielkiej muzyki. Dlatego też staramy się, ażeby naszą uczelnia była naprawdę aktywnym ośrodkiem życia muzycznego. Osobiście ogromną rolę upatruję w muzykowaniu zespołowym, w ramach orkiestry symfonicznej, chóru, zespołów operowych i kameralnych. Niektóre zespoły działają zresztą poza siatką godzin, mam tu na myśli orkiestrę kameralną „Pro Musica" prowadzoną przez prof. Zbigniewa Friemana, orkiestrę im. F. Chopina, prowadzoną przez doc. Stanisława Firleja oraz chór kameralny, którym sam kieruję. W występach publicznych powinien brać udział także każdy muzyk solista, zarówno pedagog, jak i student. Temu zaś służą różne formy muzycznych prezentacji; wspomnijmy o będących już wizytówką szkoły cotygodniowych koncertach poniedziałkowych, o dorocznych przedstawieniach operowych Wydziału Wokalno-Aktorskiego w Teatrze Wielkim i operetkowych w Teatrze Muzycznym, czy też koncertach orkiestry, chóru i solistów w filharmonii. Uważam, że w dydaktyce powinny być wykorzystane wszystkie osiągnięcia myśli pedagogicznej a kształcenie muzyczne łączyć się winno z zagadnieniami szeroko pojętej humanistyki. Stąd np. wprowadzenie, poza stałymi przedmiotami, zróżnicowanych treściowo wykładów monograficznych.

— Myślę, że problemy łódzkiej Akademii Muzycznej nie są problemami wyłącznie tej placówki. Czego życzyć uczelni w nowym roku akademickim?

— Łagodnej zimy, która pozwoliłaby nam nie odczuwać zbyt dotkliwie skutków niedogrzania gmachu. Reszta jest raczej w zasięgu naszych własnych możliwości.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Ryś. Janusz Szymański-Glanc

Anastasis

(4)

JACEK SAWASZKIEWICZ

XIV »Wątpliwości więc pierzchły. W ich miejsce pojawiła się pewność, a wraz z nią — gnomy.

Lekarze wymyślili wiele poetyckich nazw dla zaburzeń występujących w psychozach reaktywnych, między innymi w chorobie osamotnienia. Ja dla tych -siae'ów, -oidesów i -onesów wymyśliłem wspólną nazwę i jest to mój osobisty wkład w rozwój terminologii medycznej. Nazwa ta brzmi: syndrom „kibla". Pięć lat temu wymyśliłem jeszcze jedną nazwę: syndrom O'Pavela — określającą uczucie strachu, które w całym przerażającym bogactwie oddziaływań ogarnia człowieka stojącego w obliczu nieuniknionej śmierci, z jasną świadomością win w ciągu życia zwalanych do śmietnika sumienia i nigdy nie odkupionych; człowieka samotnego jak Kain.

Jeżeli pominąć nieprawidłowości w funkcjonowaniu organizmu i tak zwane omamy elementarne, gnomy są jednym ze wstępnych objawów syndromu „kibla" — w moim przypadku. Kiedy przed lotem na „Titanię" testowano mnie w komorze ciszy, gnomy były moimi pierwszymi sublokatorami. Wprawdzie na własne oczy zobaczyłem je dopiero po dwóch tygodniach, ale o ich istnieniu wiedziałem wcześniej, bo już ósmego bądź dziewiątego dnia zaczęły wyprawiać harce w sanitariacie. Teraz sytuacja się powtarza. Z tym, że gnomy od razu ujawniły swoją obecność. Po wyjściu Rettmana skończyłem wieczorem pomiar lokalu, utwierdziłem się w przekonaniu, że jest to komora ciszy, i jak za wypowiedzeniem zaklęcia tej nocy przyszły do mnie one.

Były dwa, chudy i baryłkowaty, oba rozchichotane, zasmarkane i obślinione. Miały po trzydzieści centymetrów wzrostu, pokraczne kształty i niemal sprośny wygląd. Emanowała od nich odpychająca cielesność, mimo że nie świeciły golizną. Ten chudszy, z twarzą wklęsłą niczym lustro paraboliczne, okrywał się kusą zbroją z papier-mache, spod której wystawały mu pajęcze, kosmate nóżki i rączki o trzech palcach. Jedno oko zastępowała mu pestka brzoskwini i bez przerwy wpatrywał się tym okiem we mnie, podczas gdy jego drugie oko, małe i płaskie jak cekin, wędrowało od ust do zapadniętego czoła i z powrotem do ust przypominających dziurę w podszewce na wygniecionym jaśku. Zamiast brwi i włosów wyrastały mu miedziane spiralki i nie miał uszu.

Uszy miał za to ten drugi. Mięsiste, białe i porowate, zmacerowane jak u topielca, przylegały do głowy, która uginała się pod ich ciężarem. Jego łysą czaszkę pokrywały gruzłowate fioletoworóżowe narośla. Jedna taka narośl, ciekząca i rozdęta na końcu, podobna do gnijącej bergamotki, znajdowała się w miejscu nosa. Ten baryłkowaty gnom miał na sobie sięgający do połowy tłustych lydek bezrękawnik z liści. Szeleszcząc nim zezował na mnie spod przymkniętych błoniastych powiek.

Nie zapaliłem światła, ale widziałem je wyraźnie, bo stały w poświacie księżycowej, najwyżej metr od tapczanu. Przestępowały z nogi na nogę, poszturchiwały się, piszczały drwiąco, stroiły miny, aż Lustro Paraboliczne otworzył szerzej swój otwór gębowy, jakby rozdzierał podszewkę na jaśku, zaciamkał i oznajmił skrzekliwie, że Evelin przesyła mi pozdrowienia. Rzuciłem w nie kapciem, ale niecelnie, co oba gnomy wprawiło w stan satanicznej radości. Zaczęły podskakiwać, tarzać się po podłodze, młócić w powietrzu piąstkami i tupać. Raz po raz wybuchały wysokim, przenikliwym śmiechem. Słyszałem, jak ubliżają mi i drwią ze mnie, wtrącając hiszpańskie słowa. Gnijąca Bergamotka szyderczo nawoływał mnie do określonych poczynań, wtórował mu Lustro Paraboliczne. Akcentem Jose Martineza gnomy wykrzykiwały:

„Mike, tej ślicznotce ciągle za mało! Gorąca »sangre«. Nie chciałbyś mnie zmienić?"

„Masz już jej majtki? Masz już jej majtki?"

„Dalej, Mike! Teraz twoja kolej!"

„Ona teraz chce ciebie. Gorąca »sangre«, mówię ci, »cuate«".

„Wyjmij swój taster, wyjmij swój taster!"

Potem te chaotyczne pokrzykiwania zamieniły się w dialog. Jeden gnom naśladował doktora Rettmana, drugi — mnie. Mówił głosem, który tak dobrze znam z zapisów magnetofonowych.

„Panie doktorze, panie doktorze, proszę tam niczego nie dotykać!"

„Nie chce pan, żebym włączył radio, panie Cesara?"

„Niech pan tego nie robi, bardzo pana proszę. Oni to zaraz wykorzystają".

„Jacy oni?"

„Pan wie. Pan do nich należy. Zmówiliście się, żeby mną sterować przez radio".

— Dosyć! — ryknąłem i gnomy czmychnęły za stos elementów meblowych pod ścianą.«

XV »Ten stos rozebrałem dziś rano. Z części płyt zmontowałem prymitywne biurko do pracy, dwa krzesła na wzór tego, co wyrychtował Rettman, regał na różne drobiazgi oraz niską etażerkę, gdzie umieściłem końcówkę komputerową i czytnik biblioteczny. Resztę płyt rozłożyłem na podłodze by jej cała powierzchnia była dostępna dla mojego wzroku.

Podczas montowania mebli robiłem krótkie przerwy — na zastanowienie albo po prostu na przepłukanie gardła łykiem kawy. Z papierowym kubkiem stawałem przed oknem i gapiłem się na park w dole. Nigdy nie zauważyłem, żeby się ktoś przechadzał po tych ścieżkach wysypanych białym żwirem. W trakcie jednej z takich przerw wysłałem przez szparę pod drzwiami druai list do moich prześladowców. Było to zaproszenie dla komandora Josepha Bragga.«

»„Niech przyjdzie na koktajl popołudniowy. Powiedzmy o 18.00 GMT"«

»Ten skrót „GMT" napisał mi się sam.

Spóźnił się pół godziny, ale nie miało to znaczenia. Znaczenie miał wózek, przekonałem się o tym później. Bo Bragg przyjechał na wózku inwalidzkim.

— Mike — powiedział z tego wózka. I wlepił we mnie oczy jałówki. — Jak się czujesz, pilocie?

Był w niebieskiej koszuli z podwiniętymi rękawami; z ramion zwisała mu narzucona luźno bluza szamerowana dystynkcjami komandora. Jego lewy nadgarstek, który opierał na poręczy, usztywniał opatrunek gipsowy. Czoło również miał obwiązane bandażem. Wyglądał jak oblatywacz po pechowym katapultowaniu i powiedziałem mu o tym.

— Dziękuję — dodałem. — Czuję się świetnie.

W każdym razie czułem się mniej podle niż pięć lat temu, kiedy w komorze ciszy złamałem mu szczękę. Czułem się mniej podle, nie miałem wyrzutów sumienia i nie było mi go żal. Jakaś cząstka mojego jestestwa? wymykająca mi się spod kontroli, przeniosła na niego nienawiść do Maxa Sterna i nic nie mogłem na to poradzić.

Wskazałem na jego stopy skrzyżowane na podnóżku wózka i spytałem obcesowo:

— Nie możesz chodzić?

— Tak źle ze mną nie jest — odparł Bragg. — To przez Rettmana.

Wstał niezręcznie i sięgnął do kieszeni na piersiach, z której wystawały cygara w złoconym celofanie. Stanowiły kolorystyczne dopełnienie baretek i szamerunku na galonach. Z chwilą, gdy komandor Bragg odszedł na emeryturę, zaczął często nosić mundur galowy i ostentacyjnie go profanować, jak choćby tymi cygarami wystającymi z kieszeni na piersiach.

— Co przez Rettmana?

— Miałem zwykłe wstrząśnienie mózgu, ale on uważa, że jestem Bóg wie jak chory. Zagroził, że przytroczy mnie pasami do tego przeklętego wózka, jeżeli nie usiądę na nim dobrowolnie.

— Ty też tu leżysz? — spytałem zdziwiony. Nie wpadło mi to do głowy. — W tym Zakładzie?

Bragg prychnął ironicznie.

— Przy okazji zabrali mnie razem z tobą — odrzekł.«

Zadowoliłem się tym wyjaśnieniem. Nie wiedziałem, bo niby skąd miałem wiedzieć, że każde posunięcie Rettmana i jego zespołu było celowe i precyzyjnie obmyślone.

XVI »Kuchnia, oprócz zamówionych koktajli, przysłała kilka puszek soków, karton herbatników, smażone kasztany, orzeszki ziemne i paterę owoców cytrusowych. Ten pensjonarski podwieczorek czekał na nas w naczyniach dekoracyjnie rozstawionych na tacy. Zabrałem ją z wnęki kuchennej i kiedy wróciłem do pokoju, Bragg majstrował przy stoliku nocnym. Obracał pokrętłem strojenia radioodbiornika, o czym świadczyły charakterystyczne dźwięki.

— Hej! — zawołałem. — Możesz to wyłączyć?

— Co?

— Wyłącz to, dobra?

Odezwał się czysty głos spikera berneńskiego, który komentował treść nadanej audycji muzycznej. Bragg ściszył radio i w tajemniczym uśmiechu wyszczerzył do mnie zęby zaciśnięte na dymiącym cygarze.

— Zaraz będzie „Przegląd literacki" — oznajmił.

— Interesujesz się literaturą?

— O tyle, o ile. Myślałem, że ty będziesz chciał tego posłuchać.

— Aha. Więc możesz spokojnie wyłączyć radio.

Stałem trzymając przed sobą tacę i czekając, aż zrobi to, o co go poprosiłem. Komandor, w obłokach dymu, wyjął z ust cygaro. Odchylił głowę i spojrzał na mnie z ukosa. Była to poza godna palącego fajkę pokoju wodza Indian. Brakowało mu tylko pióra za tą przepaską na czole.

— Chwileczkę, Mike. Wpierw cię o coś zapytam.

— Daję ci dziesięć sekund.

— Wystarczy. Metternich nie mówił ci o tym?

— O czym?

— W dzisiejszym wydaniu „Przeglądu literackiego" — Bragg wycelował palec w nocny stolik — będzie prezentowana twoja proza. Fragmenty z tej powieści, którą piszesz dla niego. Miał cię o tym zawiadomić.

Położyłem tacę na biurku i zakląłem. Ja tu jestem zamknięty — pomyślałem — tymczasem Reinhard bezprawnie rozporządza moimi tekstami. On też należy do spisku. Im się wydaje, że w ten sposób nakłonią mnie do słuchania radia i zaczną mną sterować. Chodzi im o to, żeby mnie ubezwłasnowolnić, żebym się stał posłusznym automatem. Wtedy Reinhard Metternich przywłaszczy sobie moją nową książkę, Leslie Cesara odziedziczy majątek i bez zobowiązań i przeszkód otoczy Josepha Bragga płomiennym uwielbieniem, za co Joseph Bragg zrobi z niej kochankę i będzie ją chędożył ze swoim krewniakiem Maxem Sternem, który na razie udaje trupa, Emmelina Raya wysunie dodatkowe roszczenia alimentacyjne, Anneliese Bragg zmusi mnie do odbywania z nią regularnych stosunków, doktor Rettman wreszcie będzie miał na kim wypróbować swoje karkołomne testy psychologiczne, specjaliści z OKSZ przemocą wyekspediują mnie poza Układ Słoneczny, żebym wykorkował w kosmosie i nie psuł im dłużej statystyki, jak to powinienem był już dawno uczynić, kamieniarze, uszczęśliwieni okazją do zarobku, ociosają dla mnie nagrobek w Parku Bohaterów, społeczeństwo odetchnie z ulgą, że pozbyło się darmozjada...

— Dziesięć sekund już minęło — powiedziałem.

— Na pewno nie chcesz tego posłuchać?

— Na pewno.

— Szkoda — Bragg z dezaprobatą potrząsnął głową.

Ale wyłączył radio. Posługując się zdrową ręką przystawił dwa krzesła do biurka, w pobliżu tacy, ze swobodą gospodarza wskazał mi jedno z nich, sam usiadł na drugim i z bocznej kieszeni bluzy wydostał piersiówkę Kirschwasser.

— Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe — powiedział. — To wpływ twojej żony. Może o tym nie wiesz, ale przyzwyczaiłem się do naszych wspólnych popołudniowych drinków. Zawsze o tej porze mój organizm woła o odrobinę alkoholu.

Wiem o tym aż za dobrze, ty sukinsynu — pomyślałem.«

Prowokował mnie jak on mnie prowokował! Obecnie jestem mu za to wdzięczny, choć wówczas miałem ochotę rozerwać mu gardło.

»Rozlał swoją wódkę do szklanek, które kuchnia przysłała razem z puszkami soków. Wypiliśmy po małym łyku.

— Znamy się od pięciu lat — powiedziałem. — Poznaliśmy się przed wyprawą na „Titanię", kiedyście kompletowali grupę „Emergency". Byłeś wtedy szefem OKSZ i przyjmowałeś nas kolejno w swoim gabinecie. Pamiętasz?

Zaciągając się cygarem odpowiedział mi wielaznacznym uniesieniem brwi. Uznałem, tę odpowiedź za dostatecznie komunikatywną i zachęcającą.

— Spytałeś mnie wtedy — mówiłem — czemu ja cię nienawidzę. To było celne pytanie, bo ja faktycznie żywiłem do ciebie uczucie nienawiści. Nie wiedziałem, skąd to uczucie we mnie się wzięło, ale nienawidziłem cię jak cholera. I jak cholera było mi głupio z tego powodu. Nadal jest mi głupio. Nie zmienia to jednak faktu, że ta nienawiść nie wygasła do dzisiaj.

Upiłem następny łyk ze swojej szklanki. Pozwoliłem, by Kirschwasser rozpłynęła mi się po języku.

— Bragg, jesteś jak sęp trupojad. Odkąd cię poznałem, krążysz nade mną niczym widmo i czekasz na moją śmierć. Wypatrujesz stosownej chwili, żeby zatopić szpony w moim ciele. Szykujesz na mnie zasadzki, a ja nie potrafię ich omijać. Łamałem ci gnaty, przeganiałem cię ze swego domu, uciekałem przed tobą i wszystko na nic.

Znowu zrobiłem pauzę na przepłukanie gardła i zebranie odwagi.

— Będę z tobą szczery, komandorze — rzekłem. — Dwukrotnie nadstawiałem dla ciebie karku: na „Titanii" i na Trytonie. Na „Titanii"... Wiesz, jakie szanse przeżycia miałem na tej stacji? Jedną na dwadzieścia pięć. Z góry przyjęto, że muszą być ofiary. I były. Pesymiści wyrażali przekonanie, że „Titania" po wyjściu ze Strefy będzie zdemolowanym wrakiem z sześcioma trupami. Dopiero niedawno „Biuletyn OKSZ" opublikował te rewelacje na swoich łamach, do użytku wewnętrznego. Jeszcze mniejsze szanse mieliśmy z Leslie na Trytonie: jedną na trzydzieści siedem, jak to wykazała Centrala Analityczna. I to pod warunkiem, że zostaniemy tam najwyżej godzinę, bo każda następna godzina diablo te szanse zmniejszała. A nam to pieprzone zadanie za tych pieprzonych pięćdziesiąt tysięcy franków zajęło aż sto czterdzieści siedem minut. Cholera, Bragg, do dzisiaj nie są znane przyczyny śmierci Nevilla i Epsteina, ale od początku wiadomo było, że oni stamtąd nie wrócą. Krzyżyki, które przy ich nazwiskach wydrukował komputer, kiedy typował kandydatów, te krzyżyki miały dosłowne znaczenie. Makabra, co? Ciekawe, do jakich wniosków nas to wszystko doprowadzi? Że OKSZ jest wytwórnią mięsa armatniego? Więc może darujmy sobie ogólne wnioski i porozmawiajmy o szczegółach. Szczerość za szczerość, komandorze. Po raz trzeci rozpostarłeś nade mną skrzydła i kładziesz na mnie złowieszczy cień. Powiedz, co mi szykujesz tym razem?

Zasapałem się od tej tyrady. Bragg zaglądając do swojej szklanki obracał ją w palcach i milczał jak skarcony uczniak z obandażowanym czołem. Moje pytanie zawisło między nami, ale nie żądałem, by na nie odpowiedział. Wylałem na niego cały swój jad, gniew i żal, i już mi ulżyło. On jednak poczuł się zobligowany do odpowiedzi.

— Niczego ci nie szykuję, Mike — rzekł nadspodziewanie kategorycznym tonem. — Przeceniasz mnie. — Jego słowa zdawały się wpadać z hałasem do pustej szklanki, którą potrząsał przed sobą. — Rozumiem twoje rozgoryczenie, widziałeś zbyt wiele trupów. „Titania", Tryton... Och, mógłbym ci tu wymienić kilkadziesiąt podobnych przykładów. Ale ludzie giną wszędzie, tyle że śmierć w kosmosie jest bardziej spektakularna. Życie pilota to stawka w kosmicznym hazardzie uprawianym przez całą ludzkość, dlatego przegrana staje się publiczną tragedią, budzi takie emocje i rodzi tyle wątpliwości. Organizator wyprawy podbiegunowej będzie spokojnie stać nad świeżymi grobami niedoszłych zdobywców szczytów antarktycznych i w rozmarzeniu snuć plany kolejnej wyprawy, ale niech no się dowie, że któryś z naszych chłopców trafił na wieczną orbitę, z miejsca podniesie krzyk, czy to było konieczne i czy podjęto wszelkie środki ostrożności.

— Szansa jedna na trzydzieści siedem! — krzyknąłem tak, jak może by krzyknął ów teoretyczny organizator wyprawy podbiegunowej. — Co o tym mówią Międzynarodowe Przepisy Bezpieczeństwa?

Bragg uniósł zdrowe ramię.

— Pewnie to samo, co kodeks karny mówi o przestępstwie — odpowiedział z lekceważącym uśmieszkiem. — Jakie to ma znaczenie, Mike? Gdybyśmy przestrzegali tych wszystkich przepisów, bylibyśmy dzisiaj na etapie eksploracji Księżyca. Ta gra musi się toczyć według własnych reguł. Przegrane w ruletkę nie podlegają asekuracji, wygrane są czasem horrendalne i nie płaci się od nich podatku, dlatego hazard jest taki emocjonujący. Stwórz pechowcom ubezpieczenie, opodatkuj szczęśliwców, a doprowadzisz do zamknięcia kasyn, bo hazard przestanie być hazardem, straci swój urok. Co ofiarujesz tym ludziom w zamian, żeby zaspokoić ich potrzebę walki, pragnienie zdobycia, chęć posiadania, ambicję ekspansji i dominacji, popęd agresji czy wręcz ich dążność do upadku, samodestrukcji i samozagłady, bo to też pcha ludzi do podejmowania ryzyka?

— Co to ma do rzeczy, Bragg? — wtrąciłem.

Ale on nie dał sobie przerwać. Formułował okrągłe, gładkie zdania i bombardował mnie nimi, wypowiadając je potoczyście, jak lekcję wykutą na pamięć.

C.D.N.

1

Spojrzenie znad szachownicy

Grzeczne dzieci z Białej Podlaskiej

Jakiś czas temu wyraziłem na tym miejscu niezbyt może słuszny pedagogicznie, ale za to sprawdzony przez całe pokolenia uczniaków pogląd, iż ważniejsze jest to, co się czyta pod ławką, od tego, co leży na tej ławce głównie dla kamuflażu.

Oczywiście nie miałem na to żadnej solidnej dokumentacji, prócz – powiedzmy – możliwości powołania się na doświadczenia własne, tudzież doświadczenia kolegów, z których, dodajmy, wielu „wyszło na ludzi", obrastając w tytuły naukowe oraz stanowiska. Jednak i materiały ankietowe z nagła się znalazły, słowem jest jak było, choć może ociupinkę gorzej.

2.

„Komisja problemowa KW PZPR w Białej Podlaskiej ds. oświaty, wychowania, nauki i kultury – cytuję tekst jednego z biuletynów PAP, który we fragmentach wykorzystał również łódzki „Express" – *przeprowadziła badania aktywności kulturalnej młodzieży. Objęto nimi 703 osoby w wieku 17—19 lat, w tym uczniów z dziewięciu liceów ogólnokształcących i z siedmiu zespołów szkół zawodowych. Około 70 proc. ankietowanych stanowiły dziewczęta, a około 30 proc. chłopcy.*

Niemal 2/3 dziewcząt i prawie tylu chłopców informuje o istnieniu księgozbiorów w domach rodzinnych. Stanowią one jednak przeważnie własność rodziców. Niewielkie są to zbiory, liczące 20—25 woluminów, a tylko w nielicznych przypadkach ok. 100 tomów. Pozostaje zatem potrzeba korzystania z bibliotek. Z tym zaś różnie bywa. Niektórzy młodzi czytelnicy twierdzą, że w bibliotekach nie znajdują informacji o książkach, pisarzach i w ogóle o literaturze. Znacznie częściej sięgają więc po określony tytuł wydawniczy, kierując się koleżeńską poradą lub anonsem w telewizji czy prasie.

(„) Niemal wszyscy ankietowani – uwaga, uwaga – *przeczytali ostatnio m.in „Raz w roku w Skiroławkach" Z. Nienackiego, „Seks partnerski" L. Starowicza i „Sztukę kochania" M. Wisłockiej.*

(Być może ze względu na te dwie ostatnie – dorzucam od siebie – informacja całkiem niespodzianie ukazała się w biuletynie „NAUKA I TECHNIKA"...).

W przypadku tej ostatniej książki dziewczęta z dwóch różnych liceów ogólnokształcących stwierdzały, że niektóre jej rozdziały wzbudzały w nich taką odrazę i niesmak, iż musiały przerwać lekturę i sięgnąć po tom Prusa czy Sienkiewicza, by „dojść do siebie". Nie przeszkadzało to jednak tym dziewczętom w zapoznaniu się z treścią całej książki".

3.

Przerwijmy już cytat, był długi, ale się opłacił. Nazwałem grzecznymi dzieci z Białej Podlaskiej (inna sprawa, jakie to dzieci – nastolaty i nastolatki), jak się zdaje zeznawały bowiem całkiem szczerze, choć można uznać je też za niegrzeczne, gdyż czytały, co nie trza.

W każdym razie z literatury pięknej zgodnie wymieniali wszyscy jeden jedyny tytuł: „Raz w roku w Skiroławkach". Natomiast – to już ostatni fragmencik PAP-owskiej relacji – *dla wielu, poza jednostkami, obce są nazwisko Jacka Londona, Honore de Balzaca, Aleksandra Dumasa, Wiktora Hugo. Niewiele mówią ankietowanym nazwiska: J. Andrzejewskiego, Cronina, Hemingwaya, Seghers, Szołochowa. Wygasło także wśród obecnego młodego pokolenia zainteresowanie książką wojenną. Niby zauważa się fascynację literaturą młodzieżową, ale nikt nie wymienia takich nazwisk jak Karol May czy Jules Verne".*

Cieszyć się oczywiście nie ma z czego, ale mogło być gorzej; mogli nawet tych „Skiroławek" nie przeczytać.

Wprawdzie nie dowiadujemy się z tak omówionej ankiety, kto ile z książki Nienackiego zrozumiał, kto szukał w niej głównie tak zwanych „momentów" i kto wreszcie czytał ją pod ławką, a kto po prostu w domu. W każdym razie czytali i to się liczy, zaś pełne zrozumienie głębszych warstw powieści przyjdzie po prostu z wiekiem.

4.

Sztuka rozsądnego czytania, podobnie jak i sztuka kochania zresztą, wymaga bowiem pewnej dojrzałości, zaś w rozwijaniu jednej i drugiej – dorzucam to całkiem bezinteresownie – cholernie przeszkadza telewizja. Mnie było z tym łatwiej i trudniej równocześnie, w latach okupacji – a i później – nie tylko, jak wiemy, nie było telewizorów, ale często gęsto i elektryczności, zaś choć – jeśli chodzi o sztukę kochania – rychło odkryłem, że pan powinien coś robić z panią, nikt jakoś nie chciał mi wytłumaczyć, co właściwie.

No i z braku, rzekłbym, kontropozycji, przeczytałem sobie to i owo, nawet „Pamiętnik pani Hańskiej", który tata trzymał pod kluczem. Gdyby nie trzymał pod kluczem, pewno bym po to powieścidło nawet nie sięgnął, że jednak zamykał – musiałem się dobrać. Potem jednak zmarnowałem sobie rękę od pisania na maszynie i nawet klucz wchodzi mi krzywo, co dopiero – wytrych.

Wszelako ja znów o sobie i o sobie a chciałem zakomunikować czytelnikom coś ważnego. Aha, już wiem – młodzież z Białej Podlaskiej dość zgodnie przeczytała „Skiroławki".

„*Ponad połowa dziewcząt* – po raz ostatni powołamy się na PAP – *czyta co najmniej jedną powieść polską rocznie, a około 1/4 (wydatnie mniej chłopców) – jedno tłumaczenie z literatury obcej*". Tłumaczenie pozostaje zagadką, natomiast jaka to powieść – już wiemy!

JERZY P.

2

Felieton pesymistyczny

Menu po łódzku...

Ledwiem tylko zakończył pomyślnie obowiązkową kwarantannę zaaplikowaną mi po powrocie z sanatorium w B., o czym pisałem, postanowiłem co rychlej wysłać kolejną korespondencję z naszego szpitalika, w którym sporo nowego, tak wśród kadry jak i pacjentów.

Przede wszystkim odbyły się w czasie mojej nieobecności wielce atrakcyjne wybory Miss Ekshibicjonistek Pawilonu D, czyli damskiego. Startowało bodaj siedem zawodniczek, a głównym punktem programu był przemarsz korytarzem na pierwszym piętrze w organizacyjnym stroju naturystów polskich. Wszystkie ponoć były pod wpływem narkotyków, czyli po przewertowaniu tygodnika konsumentów „Veto", którego kilka egzemplarzy zostało przeszmuglowanych na teren naszego ośrodka. Wygrała jednogłośnie Pelagia Ż., starsza wiekiem pacjentka, niemniej udało jej się przebiec korytarz dwukrotnie, a nawet zdążyła opowiedzieć jury fragment swego życiorysu, nim wpadli tekstylni sanitariusze i zabrali ją w pasy. Teraz chwilowo spokój, choć wiem, że niezrażeni jurorzy szykują jakiś Bal Ekshibicjonistów w pomieszczeniach kotłowni, a co ważne, palacz jest wielkim zwolennikiem tego ruchu. Obiecał nawet wziąć organki i przygrywać do tańca.

Póki co pracujemy ostro w naszych kołach zainteresowań. Między innymi zrzeszeni w kole motoryzacyjnym pucują swe sale i szykują już łóżka dla gości specjalnych. A spodziewają się nie byle kogo, wizyty kolegów z dalekiej Japonii, która, o czym doniosła prasa, zakupiła bodaj 100 naszych „polonezów". Musieli być po znacznych ilościach sake, inaczej nie da się tego faktu wytłumaczyć i jeśli tylko przyjadą jeszcze do FSO – być może i do nas trafią.

Z obowiązku odnotować też muszę kolejny sukces naszych pacjentów z kółka celników, kontrolerów i rewizorów, których listy, a przede wszystkim jak sądzę, „plecy i układywainie przyczyniły się do ostatniego, zaiste rekordowego w skali nie tylko europejskiej, skoku naszej taryfy celnej. Ponoć dostali nawet list dziękczynny z firmy „Pol-Mot", która nareszcie po skutecznym zniszczeniu konkurencji, będzie mogła swobodnie ograniczać swą samochodową ofertę i podkręcać ceny w popularnych walutach wymienialnych.

Szykuje też jakąś niespodziankę kółko ajentów i pompiarzy; z zagadkowymi uśmiechami wycinają jakieś kartki paliwowe i przy przemyconym przez bramę „Autowidolu" rozpatrują różne warianty podwyżki cen etyliny. Bryluje zwłaszcza prezes W., znany i szanowany po słynnym „numerze" z dentystą. Kiedyś w RFN (po kolejny samochód) rozbolał go strasznie ząb. Porządnie spuchnięty udał się do lekarza, a że zna nieźle języki obce, wskazał na chory kieł i oświadczył krótko: — Diesel!...

Ja będąc wczoraj na proszonej kolacji w kole gastronomicznym też ubawiłem się setnie. Między innymi koledzy z Łodzi opowiadali różne facecje o ostatnim swym osiągnięciu, a mianowicie o zaproszeniu do nas restauratorów z zaprzyjaźnionego województwa słupskiego z równoczesną rewizytą. Długo rozwodzili się nad wartościami smakowymi różnych dań przywiezionych przez słupszczan, o wyższości pikantnej zupy rybackiej czy polewki kaszubskiej nad granatem firmowym (autentyk – wyczytane z karty...) i zrazami słupskimi. Chwalili desery: jabłko z raju i gruszkę po słowiańsku. Przywieźli też goście niezłe piwo: „okocimskie", bo jakie inne mogą produkować w Słupsku?

Gdy już jak zwykle spłakaliśmy się nad serią znanych dowcipów o aroganckich kelnerach i muchach w zupie, spytałem nieśmiało, cóż my w rewanżu wysłaliśmy nad morze, jakież to specjały łódzkiej kuchni zaproponowaliśmy wygłodzonym rybakom. Przewodniczący koła zainteresowań uspokoił wszystkich gestem ręki, sięgnął za pazuchę, skąd wyciągnął sążnisty karton z nadrukiem „Menu" i z zawodowym uśmiechem gastronomicznego truciciela, zaczął:

— Na przystaweczkę polecamy pierożki czesankowe, tytle panierowane z bułką „grohmanką" i zimne nóżki „Na Mani". Dla wybrednych: czopki karolewskie, czyli łódzkie „anchois" i sałatka wielkoprzemysłowa z metką.

— Teraz zupy kierowniku, zupy... — zatarł ręce chudy pacjent z kelnerską muszką na szyi.

— Proszę bardzo, służę uprzejmie — czytający rozpływał się w uśmiechach — zupa pikantna „Wizamet", polewka fabryczna, ewentualnie barszczyk „Czerwony Rynek", lub kołduny po żubardzku.

— No i dania zasadnicze, uwaga... — grubas w fotelu smakowicie przełknął ślinę.

— Dla jaroszy: gołąbki barlickie, bigos bałucki. Danie główne: gulasz „Prząśniczka", mostek wieprzowy z dodatkami, kotlecik „Uniontex" na grzance, zapiekanka „Wólczanka", pieczeń cielęca „Elektromontaż", baranie udka „Żabieniec" z kopytkami typu „smolarki". Dla dzieci? Polecamy omlecik „Dywilan".

— Czy można się czegoś u was napić? — wyszeptałem lekko przerażony.

— Ależ oczywiście! — bryloważ wciąż rozpromieniony kierownik. — Dziś podajemy koktajl wieloowocowy „Ner", napój gazowany „Retkinia", herbatę podmiejską „41-bis" i kawę „Wodny Rynek". Polecam też torcik bakaliowy „Budopol" i lody „Lodex".

Nie zdążyłem napić się aromatycznej „kranówy", wyparował zupełnie niepotrzebnie sanitariusz Józio z zastrzykami...

STEFAN ŻYCIOWY

3

Jak zabić komara?

W serwisie informacyjnym radiowych „Czterech pór roku" usłyszałem niedawno, że grzyby rosnące pod drzewami liściastymi zawierają więcej substancji trujących niż grzyby rosnące pod drzewami iglastymi. Bezpieczniej jest więc zbierać grzyby rosnące pod drzewami iglastymi. Nie była to żadna kaczka dziennikarska a jedynie wyniki badań uczonych jakiegoś zachodnioeuropejskiego instytutu. Innym znów razem posłyszałem w serwisie informacyjnym tejże radiowej audycji kolejne naukowe rewelacje na temat długości brody. Otóż wnikliwe i bezlitosne studia porównawcze wykazały, że długa broda zimą sprzyja lepszej pracy mózgu, a latem krótka. Zimą bowiem ogrzewa, a latem sprzyja przegrzaniu, a mózg przegrzany pracuje gorzej. Wnikliwi ci badacze doszli też do wniosku, że im dłuższe są włosy w brodzie tym szybciej mężczyzna łysieje.

Koledzy z radia podają te informacje z należytym dystansem i lekką kpiną i wdzięczny im jestem za to. Ale nie zmienia to faktu, że jacyś poważni ludzie w jakichś poważnych instytutach biedzą się nad tak poważnymi zagadnieniami. Jestem zupełnie pewien, że tematów im nie zabraknie. Okazuje się bowiem, że można badać różne rzeczy i zjawiska i ustalać zależność między tym, gdzie zależność nie istnieje, jak i tam, gdzie istnieje, ale nie zdajemy sobie sprawy z tego. Potęga nauki jest nieograniczona.

Mając tę potęgę nauki na względzie oraz fakt, że tego mokrego lata zaroiło się wszędzie od komarów, proponuję ludziom uczonym, aby zastanowili się nad skutecznym sposobem zwalczania komarów. Najskuteczniej jest komara zabić. Ale komarów jest tak wiele, że zabijanie pojedynczych okazów jest nie tylko uciążliwe, jest też mało skuteczne.

Byłem niedawno na kolacji u przyjaciół, którzy mieszkają w Łodzi, a więc mieście, gdzie raczej środowisko komarom nie powinno sprzyjać, ale jest odwrotnie. Zanim zasiedliśmy do smakowitej kolacji pobiegaliśmy po mieszkaniu z gazetami w rękach, tłukąc niemiłosiernie tych przedstawicieli komarzego rodu, którzy bezczelnie porozsiadali się na ścianach. Wszystkich wszelako nie wytłukliśmy.

Lato spędziłem w lesie raczej suchym. „Encyklopedia leśna" określa go jako bór świeży. Jest to na ogół las iglasty z małą ilością drzew liściastych, przeważnie brzozy i dębu, a więc grzyby można tu zbierać bezpiecznie wedle opinii zachodnioeuropejskich badaczy. Las taki o piaszczystym podłożu nie sprzyja rozmnażaniu się komarów. A było ich mnóstwo. Winę za to ponosi mokre lato. Ale dlaczego ja mam cierpieć bezlitośnie cięty przez komary. Podjąłem więc próby walki z nimi. Powszechnie stosowany sposób bicia komarów na ścianie — jak już wspomniałem — okazał się mało skuteczny, a poza tym brudzi ściany. Szukałem więc innych sposobów.

Zacząłem łapać komary otwartą dłonią. Pikuje komar prosto na mnie, a ja go bęc! — ręką. Zaciskam pięść. Wszystko wskazuje, że komara zdusiłem w zaciśniętej pięści, a on bezczelnie nadal sobie wesoło bzyka i gotów jest utoczyć mi kropelkę krwi. Na nic to machanie ręką. Lepsze skutki przyniosło łapanie komarów mokrą dłonią. Komar przykleja się do mokrej ręki i można go zabić. Ale i ta metoda, choć dość kłopotliwa — trzeba chodzić stale z mokrymi rękoma — okazała się mało skuteczna. Mój sąsiad z leśniczówki wyszedł któregoś wieczoru na dwór z patelnią i zaczął nią machać w nadziei, że tak wielką i ciężką powierzchnią zatłucze naraz wiele komarów. Skutki były raczej mizerne. Jeśli więc za ten temat nie wezmą się bezlitośni i bezkompromisowi badacze, to komary gotowe są nam wytoczyć tyle krwi, że padniemy z jej braku.

Proponuję więc wnikliwym badaczom zajęcie się znalezieniem najskuteczniejszego sposobu na zabijanie komarów. Wiem, że nawoływanie do wszelkiego mordowania biednych stworzonek nie jest wcale humanitarne, ale proszę wybrać się na przykład na grzyby do lasu pełnego komarów, albo stanąć z wędką nad rzeką, gdy gryzą komary. Wystarczy latem siąść na werandzie, aby powdychać trochę czystego powietrza. Co prawda, lato już mamy raczej z głowy, ale problem komarów wróci niechybnie za rok razem z wiosną i latem. No, i wiadomo: człowiek plus komar równa się malaria a i inne choroby być może też.

Wprawdzie mój przyjaciel Andrzej K. opowiadał mi, że ponoć już gdzieś na świecie wynaleziono jakieś smarowidła, które odstraszają komary. Ale ja mu nie wierzę. Gdyby coś takiego istniało, to nasi prywatni importerzy już dawno sprzedawaliby te smarowidła na różnych bazarach i byłoby o tym głośno. Przed wojną, a i jakiś czas po niej, różni cwaniacy usiłowali wmawiać ludziom, że wynaleźli skuteczny środek na odciski. Skutecznym środkiem jest wygodne obuwie, czyli nie mieć odcisków. Nie mieć komarów w naszym klimacie nie można. Proszę zatem ten temat wziąć pod uwagę.

I proszę nie doszukiwać się tu żadnych ukrytych aluzji, bo ich nie ma. Wystarczy dać się pogryźć komarom, aby zrozumieć ogrom mego cierpienia i błagalność mojej prośby. Panowie badacze do dzieła!

ZENON POROWATY

4

Lewym okiem

System sznurkowo—papierowy

Rzadko który rodzaj działalności publicznej w naszym kraju może wykazać się tyloma eksperymentami, co handel. Są to przeważnie eksperymenty o wielkiej wadze i doniosłości. Wprowadza się na przykład tytułem eksperymentu „Tydzień uprzejmości dla klienta", albo „chleb w zaopatrzeniu ciągłym", albo „klient zawsze ma rację". Przeżyliśmy też eksperymenty „sprzedajemy towar według wagi netto", „żądajcie prześwietlania jaj", „przyjęcie towaru bez zamknięcia sklepu" i setki innych. Przeżyliśmy i nic z tego nie zostało oprócz zapewne grubych segregatorów z aktami o pomyśle, wdrożeniu, przebiegu i ocenie.

Zdaje się, że teraz przeżywamy eksperyment sznurkowo-papierowy. Nie, z opakowaniem nie ma to nic wspólnego. Po prostu rozciąga się sznurki wzdłuż całych stoisk w większych sklepach, na tych sznurkach wiesza się arkusze papieru i takim improwizowanym parawanem (Polacy to jak wiadomo genialni improwizatorzy) odgradza się towar od cholernego klienta. Wchodzi taki typ do sklepu i od razu widzi, że stoisko nieczynne; że z dziesięciu stoisk w sklepie osiem nie funkcjonuje. No to po co drzwi do tego sklepu otwarte? Dla draki, dla jeszcze jakichś tam sprawozdań, czy żeby uzasadnienia listy płac dla personelu?

Mógłbym łatwo wymienić wiele takich sklepów (zwłaszcza konfekcyjnych) w Łodzi. Bywają też sznurki, które nie unieruchamiają stoiska, ich celem jest bowiem wyłącznie przeszkodzenie klientowi w nabyciu towaru. Na całym świecie handel wychodzi naprzeciw potencjalnemu nabywcy, towar pcha mu się sam do rąk, na ulicach zachodnich miast człowiek jest osaczony i ogłuszony olbrzymią ofertą — wszystko w zasięgu palców, wszystko można pomacać, powąchać, obejrzeć; wszystko ułożone jak najapetyczniej, kusi, namawia: weź mnie, kup mnie...

Jakże inaczej dzieje się na przykład w naszym wzorcowym pawilonie chemicznym! Całe piętro przegrodzono sznurami w połowie i wszystko to, co znajduje się za sznurami, a co stanowi także towar do sprzedania, można sobie zobaczyć z odległości kilkunastu metrów. Wstęp wzbroniony! Leżą tam sterty materacy, jakieś kable, węże, kształtki meblowe, pokrycia do siedzeń samochodowych i splot już całkiem nie wiadomo czego. Wejść tam nie tylko nie wolno, ale i nie można, bo nikt towaru niląk nie ułożył, konwojenci zwalili na kupę i leży. Od samego tego zwalenia co trzeci materac pękł w połowie, co widać nawet z tak daleka, a z bliska pewnie każdy okazałby się wadliwy. Sprzedawczyni siedzi przy swym biurku i na pytanie o cenę materaca odpowiada: pan naprawdę chce kupić?

Cóż, nie widząc z tej odległości koloru, deseniu, pokrycia, kształtu, nie mogąc zmierzyć i spróbować twardości, nie wyciągnę w ciemno siedmiu tysięcy, za które może ktoś wyszarpałby dla mnie z walącego się stosu pierwszy lepszy materac i zabrałby się do wypisywania „paragonu". Ot i cały wzorcowy handel...

O braku elementarnej uprzejmości w handlu — nie tylko tam, gdzie podekscytowane tłumy dochodzą do granicy, za którą jest już tylko rzucenie się sobie do gardeł – można niestety pisać a pisać. W wywiadach z działaczami tej branży słyszy się jedno w kółko, że klienci też są winni i że zarobki słabe, płynność wielka, bo gdzie indziej lepiej płacą. Muszę sobie notować reportaże z najróżniejszych zakładów, że wszystkich branż. Obawiam się, że długo będę notował i że zawsze, wszędzie znajdzie się samo: musi tak być, bo ludzie uciekną tam gdzie lepiej płacą. To znaczy gdzie? Może też tam pójdę? Ale tam już pewno szpilki nie wsadzisz, tak zapchane etaty!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Wielki las

(14)

ZBIGNIEW NIENACKI

Nie umieli go na niczym nakryć, niczego wyśledzić. Bullow zapewne puściłby tego faceta z informacją, że jest czysty. Ale sprawą zajął się Bunder, a on był prawdziwym mistrzem. Przekupił pokojówkę hotelową, która zaniosła facetowi kieliszek koniaku, do którego Ivo bezczelnie wrzucił dwie ampułki hypnodormu. Pokojówka wyjaśniła facetowi, że w tym hotelu panuje zwyczaj darmowego częstowania koniakiem każdego gościa nazajutrz opuszczającego hotel. Facet dał się na to nabrać, nie znał smaku koniaków; weszli do niego nocą, spenetrowali kieszenie marynarki i odkryli grubą kopertę z pieniędzmi. Tę kopertę znalazł on w kontrakcie podanym mu do podpisania przez firmę nie mającą nigdzie zbytu na swoje towary. W rok później odbył się proces owego faceta, ale Bullow ani przez chwilę nie miał wyrzutów sumienia, a nawet doznał czegoś w rodzaju satysfakcji. Tylko, że nie zawsze bywało tak jak z tamtym człowiekiem. Zdarzało się, że tacy sami, z lepkimi dłońmi, mimo wysłanych do centrali informacji, powracali jako wyżsi rangą i do coraz lepszych hoteli. „To jakaś podwójna gra" — myślał Bullow i nie zaprzątał sobie tym głowy, gdyż — jak sądził — nie do niego należało roztrząsanie podobnych spraw.

W tym czasie dzięki firmie poznał Bullow Erykę, kobietę niepospolicie piękną. Nastąpiło ich małżeństwo i wspólnie zamieszkali przy Squere Severine. O Eryce dowiedział się Bullow tylko tyle, że miała obce obywatelstwo i podobnie jak on współpracowała z jego firmą. Z Eryką żyło się Bullowowi przyjemnie i zgodnie, nie była zazdrosna o kobiety, które Bullow musiał od czasu do czasu mieć dla zdobycia informacji, przeważnie kelnerki i posługaczki z podrzędnych hoteli. Na Dapperstraat bywał rzadko, ale zawsze pamiętał, że najpierw należało Yvette porządnie storturować, powykręcać jej ręce i nogi, tylek aż do krwi złoić paskiem, a dopiero potem — jak gdyby nic — załatwić po męsku. Ciągle pytała go, czy już można wykończyć Karela i od kiedy będą razem. Nie wiedziała, że Bullow ożenił się i nigdy nie miała się tego dowiedzieć.

Czy Kristopher Bullow przeżył kiedyś chwile strachu? Tak, to się zdarzyło. Chyba w trzecim miesiącu małżeństwa z Eryką. Nagle stwierdził, że ktoś go obserwuje, to znaczy śledzi — jak mówili w swym żargonie — „po japońsku", ciągle za nim łażąc. Średniego wzrostu, chyba latynos. Bullow przeraził się i chciał zaalarmować Bundera, ale przed tym zwierzył się z tego Eryce, a ta mu to odradziła. Postanowiła sama zająć się facetem i zwabiła go do hotelu, co przy jej urodzie nie było trudne. Powróciła chichocząc: „To skończony facet. Nie potrafi rżnąć. Kiedyś bardzo go przestraszyli i od tego czasu nie idzie mu z kobietami. To koniec w tym zawodzie". Sama powiadomiła o tym Ivo Bundera i ten w jakiś sposób ostatecznie załatwił tego człowieka, po prostu kazał mu się zmyć z okolicy, co nie było trudne, gdyż, jak twierdził Bunder, ów facet stał się kupą trzęsącego się lajna. Nie należał zresztą do branży, ale po prostu był zazdrosny o Bullowa, który załatwiał jego dawną dziewczynę, posługaczkę hotelową. Był złodziejem hotelowym, policja wzięła go na przesłuchanie trzeciego stopnia i od tego czasu szło mu coraz gorzej z tą dziewczyną. Śledził więc Bullowa przez zwykłą zazdrość.

Z tej historii Bullow zapamiętał jedno: „Jeśli się nie może rżnąć to koniec z zawodem". Kto nie potrafił wydupczyć kobiety na każde zawołanie, z przyjemnością lub bez przyjemności, musiał prędzej czy później wpaść.

Czy Józef Maryn też był osobnikiem na zawsze już załatwionym, to znaczy nie nadającym się do swego zawodu, choć jeszcze o tym nie wiedzieli ci, co go tutaj wezwali? I czym się tak załatwił? Dwoma miesiącami aresztu czy też jednym widzeniem z Eryką, gdy wyznała mu, że rzygać jej się chciało od jego rżnięcia i że pójdzie do takiego, co robić tego nie potrafi, ale ją kocha. A potem przyszedł strach, że naprawdę nie będzie już potrafił tego robić na każde zawołanie, ponieważ dupczenie nie jest czymś najważniejszym, jak to kiedyś myślał. Z powodu tego strachu, tak mocno i nerwowo reagował na to skrzypienie łóżka nad jego głową, choć powinno to mu być obojętne i kiedyś rzecz jasna było mu zupełnie obojętne. Mógł spać, choćby drugi facet dogadzał dziewczynie na sąsiednim łóżku w tym samym pokoju — sapał, kwiczał, podrygiwał.

Tam, w leśniczówce w Mordegach, kiedy nie mógł spać i naszły go myśli o miłości, jakiej nigdy nie przeżył, zaczął też dokładnie analizować swoje małżeństwo z Eryką i doszedł do wniosku, że właściwie od początku nie wszystko układało się między nimi najlepiej, choć on o tym nie chciał wiedzieć. Ale był to bardzo nerwowy okres. Z kraju dochodziły wiadomości coraz bardziej niepokojące, a chwilami wręcz groźne. Runął tam jakiś świat układów, i choć Ivo Bunder po dawnemu nieustannie żartował i tłumaczył, że wszystko i wszyscy się mogą zmienić, tylko oni, to znaczy tacy ludzie jak dwaj panowie B. — Bunder i Bullow — zawsze są potrzebni i pozostają na swoich miejscach, to jednak niepokój narastał w Eryce i Bullowie. Nadszedł nawet taki dzień, gdy Bullow stwierdził, że jest śledzony przez własną żonę, nie z zazdrości przecież, bo o tym nie mogło być mowy w ich zawodzie. Powiedział jej o tym i ona wybuchnęła płaczem, nie wyjaśniła mu jednak czemu go śledziła. Poradziła mu — co także było niepokojące — aby uważał na Ivo Bundera i stał się wobec niego nieufny. Zabawna propozycja dla Bullowa, który tak naprawdę nie miał pojęcia kim był Ivo Bunder, ani gdzie mieszkał. Zresztą lubił Ivo Bundera za jego wesołość i pogodę ducha, jakąś dziwną czystość — tak nazwał Bullow ów zadziwiający fakt, że stykając się ciągle z brudnymi sprawami sam Bunder nie stawał się brudny wewnętrznie. W przystępie szczerości powiedział Bullowowi — on, Bunder, bywalec burdeli i podejrzanych lokali — kocha swoją żonę i swoje dzieci, wierzy w miłość czystą i wielką, człowiek zaś, który paprze się w gnoju nie przez cały dzień musi być brudny i śmierdzący, powinien myć się, zmieniać ubranie i koszulę, żyć normalnym istnieniem, bo w przeciwnym razie pożre go gangrena. Bullow wiedział, że człowiek potrafi być dwoisty — i czysty, i brudny, lecz chyba tylko do pewnego stopnia. Nie byli przecież urzędnikami, kończącymi pracę o określonej godzinie i po zamknięciu biura spieszącymi do swoich gniazdek rodzinnych. Dlatego nie wierzył w istnienie takiego miejsca na ziemi, gdzie Ivo Bunder przestaje być czujny i wydmuchuje z siebie czujność jak dym z papierosa. Wyznał to zresztą Bunderowi, a ten po swojemu tylko roześmiał się i rzekł: „Masz rację, choć tego nie rozumiesz. A nie rozumiesz dlatego, że jak do tej pory udaje ci się pracować tylko dla jednej firmy. Niestety, na dłuższą metę jest to niemożliwe. Też kiedyś będziesz musiał wykonywać robotę dla kilku firm naraz. Wówczas pojmiesz, że nie ma dobra i zła, i człowiek zawsze pozostaje czysty, jeśli jest odpowiednio opłacony. Zresztą, jeśli się poczujesz brudny, spraw sobie lepszą wannę, częściej się kąp i kup droższy szampon do kąpieli". Powtórzył te słowa Eryce, ale ona stała się wtedy jeszcze bardziej nieufna. „Bądź ostrożny, Kristopher — powiedziała — Nie każdy brud można zmyć przez najdroższy szampon".

Tymczasem z kraju napłynęła ogromna rzesza ludzka i firma żądała informacji, co niektórzy z nich robią, w jaki sposób się organizują, jak chcą się mścić za to, co ich spotkało. Bullow zajął się nimi z pewnymi wewnętrznymi oporami, ponieważ to już były sprawy polityczne, o on się na nich nie znał, a co najważniejsze — nie lubił takich kwestii roztrząsać. Jego domeną były ludzkie brudy, zdrada, przekupstwo, oszustwo, a niektórzy z tych, których mu kazano obserwować, wydawali mu się ludźmi szlachetnymi, uczciwymi, przepełnionymi jakimś wewnętrznym ogniem czynienia dobra we własnym rozumieniu i własnym pojęciu. Oczywiście, trafiali się i tacy, którzy tylko czekali, aby ktoś ich kupił i najczęściej bywali kupowani, bo mieli na sobie brud i lepkie ręce. Ale firma nakazywała dostarczanie informacji o wszystkich, co aktywniejszych i Bullow chcąc nie chcąc musiał to czynić. Zapisał się do najróżniejszych towarzystw i organizacji, tego lub innego wspierał datkami, wysłuchiwał nieskończoną ilość referatów na najróżniejszych zebraniach, badał nastroje, powiązania, oceniał szanse zwalczających się grup i ugrupowań. Nudziło go to śmiertelnie, nie wymagało bowiem owej precyzji z jaką musiał działać dawniej; robota nie niosła ze sobą już tak dużego elementu niebezpieczeństwa i ryzyka, które ukochał. Ale wykonanie zadań zleconych przez firmę okazało się niezwykle czasochłonne — Bullow nie mógł się dwoić i troić. Rozumieli to w firmie i dlatego przekazali mu pieniądze i polecenie zwerbowania kilkunastu współpracowników. Kilku znalazł sam, kilku — niestety — otrzymał od Bundera, który od dawna miał ich w swoim ręku i odstąpił ich za nie wielką opłatą. To był oczywisty błąd, który mu zaraz wytknęła Eryka, gdyż można handlować informacjami, ale handel ludźmi jest o wiele niebezpieczniejszy. Siłą rzeczy powstała sytuacja, w której Bunder znał kilku ludzi, których także znał Bullow. Ale skąd Bullow mógł sam zdobyć tyle zaufanych osób do spełnienia zadań firmy?

Nadeszła zima i pewnego dnia zadzwonił do niego Ivo Bunder, podając hasło: „Czy to pan Feldman? Nie. Omyłka". Jak zwykle w tym czasie spotykali się w parku Montsuris koło zamarzniętego o tej porze jeziorka. Bullow przybył na spotkanie swoim wozem, Bunder przyjechał metrem, co trochę zdziwiło Bullowa. Zresztą powodów do zdziwienia i niepokoju wkrótce znalazło się więcej, Ivo zaproponował, aby odbyli rozmowę w mieszkaniu. Miał dwa czy trzy mieszkania w różnych dzielnicach miasta, ale pojechali tam, gdzie Bullow jeszcze nigdy nie był, to znaczy poza miasto do willi obrośniętej glicynią. Na furtce w wysokiej ozdobnej kratownicy ogrodzenia widniała elegancka tabliczka z nazwiskiem: Emanuel Krause. W malutkim ogródku stał bałwan ulepiony ze śniegu, w starym kapeluszu i z miotłą pod pachą. W tym domu musiały być jakieś dzieci, kobieta, ale chyba już spali. Ivo zaprowadził Bullowa na coś w rodzaju oszklonego i dobrze ogrzanego tarasu z egzotycznymi roślinami. Przyniósł coś do jedzenia i trochę wina. A także papierowe teczki. Dwanaście teczek — Bullow dobrze to zapamiętał, ponieważ rozmawiając z Bullowem Ivo ciągle się nimi bawił, tasował je, przekładał jedną na drugą.

To, co mówił, było oszałamiające, a nawet można powiedzieć druzgocące. Bunder zdecydował wycofać się z roboty, choć sam tylekroć Bullowowi mówił, że tego nigdy nie można dokonać. To znaczy, nie dosłownie rzekł, że się wycofuje, ale tak to należało wyczytać z jego ust, z doboru słów.

„Obracaliśmy się zawsze wśród rekinów — powiedział Ivo. — I poniekąd sami byliśmy rekinami. Poznaliśmy prawidła wielkiej gry i umieliśmy grać z mocnymi partnerami. Ale ostatnio na naszym rynku pojawiło się mnóstwo małych firm z wielkim kapitałem. Potrafiliśmy współżyć z rekinami, zapomnieliśmy jednak, że istnieją piranie. A kiedy taka pirania wczepi ci się w łydkę, możesz się jej pozbyć tylko odrywając ją od siebie wraz z kawałkiem żywego mięsa. I mnie się to właśnie przydarzyło. Moją łydkę schwyciła pirania, ponieważ byłem nieostrożny i zwracałem uwagę wyłącznie na rekiny. Raz w swoim życiu wpadłem, Bullow, ja, twój mistrz i nauczyciel. Wpadłem i musiałem zacząć pracować dla pewnej małej firmy. To się zdarza w naszym zawodzie, wiesz o tym. Każdemu to grozi, prędzej czy później zostanie zmuszony, aby pracować także jeszcze dla jakiejś innej firmy. Rzecz w tym, że ta mała firma po prostu splajtowała i ktoś na mnie zwalił za to całą winę. Gówniarze z takich małych firm są gorsi od rekinów. Chcą mnie załatwić. Zabiją mnie, żeby na mnie potem zwalić całą winę za swoją plajtę. Nie uratujesz mnie przed nimi ani ty ani nikt z twojej firmy. Muszę mieć bezpieczne schronienie, przynajmniej na jakiś czas, dobrych obrońców i dlatego wycofuję się z naszej współpracy".

— „Pomogę ci uciec" — zaproponował Bullow.

— „Mają mnie wciąż na oku. Dlatego przyjechałem metrem na spotkanie z tobą, dlatego siedzimy tutaj, a nie gdzie indziej. I dlatego to ty, twoim samochodem, zawieziesz mnie za chwilę do centrum miasta".

I Bullow powinien był postąpić tak jak nakazywała mu instrukcja i czego uczył go sam Bunder. Nie uczynił jednak nic takiego, bo lubił Ivo Bundera. Najważniejsze zaś, że mu ufał. Jeszcze mu ufał.

Nie zrobił protestującego gestu, ani też nie powiedział ani słowa, gdy tamten dziewięć teczek włożył do płaskiej walizeczki, a trzy zaniósł w głąb mieszkania. Potem — a zbliżał się późny zimowy świt — zawiózł Bundera do centrum miasta i tam wstąpili do małego, dopiero co otwartego bistro. Wypili po filiżance czarnej kawy i zjedli po świeżym rogaliku. To tam, w tym bistro, Bunder nagle położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

„Przekaż swoim, że wpakowałem się w paskudną historię i muszę wycofać się z roboty. Przekaż, że nikogo z twojej firmy nie zdradzę. Ale ja też chcę żyć, Bullow, i dlatego muszę zrobić to, co zrobię".

To powiedziawszy wziął do ręki swoją walizeczkę i opuścił bistro. Bullow ruszył za nim, ale Bunder obrócił się i rzucił mu jak zwykle żartobliwym tonem:

„Po co idziesz za mną? To niebezpieczne".

Mimo tej pogróżki Bullow poszedł za Bunderem i widział jak tamten przekroczył dwie przecznice i wszedł do gmachu policji. W tym momencie przestał ufać Bunderowi, żadne jego słowo nie wydało mu się wiarygodne. Wskoczył do swojego samochodu, pojechał do mieszkania przy Square Severine, w ciągu kwadransa spakował rzeczy swoje i Eryki, i pomknął na lotnisko.

Tego, co wtedy obydwoje przeżyli — nie potrafił wspominać bez uczucia wewnętrznej męki. „Mówiłam ci, ostrzegałam" — raz tylko odezwała się Eryka. Nie mieli wizy do kraju, więc po przylocie zatrzymano ich na lotnisku. Bullow zadzwonił do firmy i zaraz po nich przyjechało dwóch ludzi.

Byli bardzo młodzi, przystojni, eleganccy i grzeczni. Mówili „Proszę usiąść wygodnie. Proszę się rozprężyć". Częstowali papierosami. A kiedy on chciał ich poczęstować swoimi i sięgnął do kieszeni, chwycili go za ręce. „Niech pan tego nie robi przed rewizją osobistą, bo w przeciwnym razie założymy panu kajdanki". Bullow był pogodny, rozprężony, czuł się dobrze. Popatrzył na swoje smukłe dłonie kieszonkowca i powiedział im z uśmiechem, że jeżeli wzięli ze sobą typowe kajdanki, to on im pokaże jak się z nich uwalniać. Uśmiechnęli się i oświadczyli, że to był tylko żart, nie mają przy sobie żadnych kajdanków. Później również byli grzeczni, ale on nie stawiał się. Kazali mu się rozebrać do naga, wzięli jego rzeczy, a dali mu więzienne łachy. Tak znalazł się w miejscu, które oni nazwali „bezpiecznym", bo nie było to oczywiście więzienie, tylko wygodny pokój z telewizorem i radiem, tapczanem, biurkiem, nawet maszyną do pisania. Ale okna posiadały kraty i wychodziły na zamknięty murami ogród, po którym od czasu do czasu, w towarzystwie tych młodzików mógł spacerować godzinkę albo nawet dłużej. Cztery razy badali go wykrywaczem kłamstw, potem trwały długie wielogodzinne przesłuchania, które oni nazywali rozmowami. Pytał go jego dawny zwierzchnik, ten sam, co go po raz pierwszy wysłał w świat i jeszcze jeden; tego Bullow nie znał. Pytania były monotonne i krążyły wokół jednego: jak to się stało, że mimo ostrzeżeń Eryki, nie zorientował się, co ma zamiar uczynić Ivo Bunder. Ile teczek zabrał ze sobą Ivo Bunder, co zostawił, jakie i kogo kompromitujące dokumenty i fotografie zawierały teczki, które zabrał ze sobą na policję, a co zawierały teczki jakie pozostawił. Co mówił tamtej nocy — dokładnie, słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Jaki miał wyraz twarzy, co czuł wówczas Bullow i co to znaczy, że lubił Bundera. Kazano mu także wyjaśnić czemu popadł w panikę, skoro Bunder zapewnił, że go nie zdradzi i faktycznie prawdopodobnie (choć to ciągle jeszcze dokładnie gdzieś tam sprawdzano) nikogo z ich firmy do tej pory nie zdradził.

Jedzenie otrzymywał dobre, poprzez wewnętrzny telefon mógł poprosić o kawę lub herbatę, ale w drzwiach był „judasz". Z faktu, że od jego powrotu tylko czterech ludzi miało z nim kontakt, wywnioskował, że zapewne wkrótce każą znowu mu wyjechać w świat. Wręczyli mu kartkę z ankietowymi pytaniami, dotyczącymi spraw, z którymi się stykał i poprosili, żeby na nie obszernie odpowiedział. Całe dnie, a nawet noce — pisał na maszynie swoje sprawozdania. Jakich miejsc — restauracji, kawiarń, bistro — należy unikać. W jakich można spotkać pederastów, w jakich lesbijki. Gdzie najłatwiej nawiązać kontakt z ludźmi z obcych firm, jak chodzić ubranym, jakie papierosy palić, jakie hotele mają po dwa albo trzy wyjścia. Kiedy należy unikać podróży samolotem, a kiedy pociągiem lub samochodem. Po sześciu tygodniach powstała z tego cała książka, którą mu zabrali i chyba powielili; on też przed laty musiał czytać podobne sprawozdania. Ale sprawy Bundera nie potrafił do końca wyjaśnić i to rzucało ponury cień na wszystko, co mówił. Bo w jaki sposób wytłumaczyć, że się kogoś lubiło i to utrudniało całą sprawę. Do diabła, przecież nie mógł zaprzeczyć, że własnym samochodem zawiózł Bundera niemal pod gmach policji. A skoro tak, to skąd ta straszliwa panika, nieprzytomna ucieczka, która komuś mogła się rzucić w oczy. Należało po prostu zmienić miejsce zamieszkania, ukraść komuś paszport i dalej prowadzić robotę. Błąd, oczywisty błąd w sztuce.

I to widzenie z Eryką, która mu wyznała prawdę o ich pożyciu i oświadczyła, że odchodzi do kogoś innego, kogo poznała i pokochała. „Nie chcę tam wracać" — wybuchnął potem złością podczas kolejnej rozmowy, która była przesłuchaniem. Popatrzyli na niego jak na wariata. „To przecież oczywiste, że pan już tam wrócić nie może". A jednak chyba nie mówili prawdy, ponieważ nadal tylko czterech ludzi go oglądało. Aż pewnego dnia zwrócili mu jego rzeczy, nawet pasek z krokodylej skóry z ukrytą w nim cieniutką blaszką i obcymi banknotami, każdy drobiazg wyjęty z jego kieszeni, i odwieźli go do jego mieszkania. Wręczyli mu dowód osobisty na nazwisko Józef Maryn i poprosili, aby jednak nie opuszczał swego mieszkania. Przez trzy a właściwie cztery dni przebywał w tym mieszkaniu z Eryką, przyrządzała mu ona posiłki, ale nie rozmawiali ze sobą ani na temat przeszłości, ani na temat przyszłości.

CDN

Rys. Janusz Szymański-Glanc